



L A U R A  
*Adori*

Owoce  
*Lukrecji*

*Jak uwolnić uczucie i nie uwięzić samej siebie?*

L I R A  
WYDAWNICTWO

L A U R A  
*Adori*

Owoce  
*Lukrecji*

L i R A  
WYDAWNICTWO

## SPIS TREŚCI

Rozdział 1. Jeśli boisz się eksplozji, sama zrób jakiś wybuch

Rozdział 2. Dziurawe serce monstery może cię pocieszyć

Rozdział 3. Tańcz z przeznaczeniem, ale nie czepiaj się brzucha

Rozdział 4. Kiedy nadciąga wodospad, nie myśl o odcieniach nocy

Rozdział 5. Wyglądaj cudów, ale ich nie oczekuj

Rozdział 6. Pulsuj, nieważne, czy po sodzie, czy bez niej

Rozdział 7. Zawyj i uwolnij, reszta zrobi się sama

Rozdział 8. Dzikość działa na twoją korzyść

Rozdział 9. Trafieni, odurzeni w cieniu paproci

Rozdział 10. Kochaj albo rzuć, ale i tak kochaj

Rozdział 11. Naszkicuj sobie raj i wskakuj do środka

Rozdział 12. Słuchaj ciała, ale daj mu czas

Rozdział 13. Otwórz się na nowy początek

## ROZDZIAŁ 1

### *Jeśli boisz się eksplozji, sama zrób jakiś wybuch*

Szukasz ciepła? Zamiast się dręczyć, po prostu podkręć ogrzewanie. Najlepiej to we własnym ciele, w okolicach pępka. Użyj oddechu lub czułych myśli na swój temat. Pierwsze siwe włosy to dowód, że miałaś już szansę usłyszeć tę podniecającą teorię: to, co myślisz o sobie, decyduje o tym, jak odbierają cię inni. Nieraz zapewne unosiłaś się nad ziemią, wcielając ją w życie. Dlaczego teraz, podtopiona samotnością we własnej wannie, nie uchwycisz się jej jak koła ratunkowego? Tylko w kolejny sobotni wieczór, wdychając lawendową woń świec, sączysz kieliszek prosecco i analizujesz gęstość bąbelków. To jest właśnie to, czego singielki nie lubią najbardziej, a robią częściej, niż się do tego przyznają. No ale ty? Nowa, lepsza ty przecież już nie jesteś singielką. A w każdym razie tak ci się zdawało... od dobrych dwóch tygodni.

Ciepły wiatr porusza zasłoną delikatnie, jak tamtego dnia poruszał moją sukienką, gdy na rogu ulicy w dobiegający zza witryny zapach palonej kawy wmieszała się żywiczna woń, pogłębiona mszystymi nutami i cytrusowym akordem. Ktoś, kto używa tak wyrafinowanej mieszanki nowoczesnych molekuł i czegoś, co przywodzi na myśl stylowe szypry, nie może być pospolitym hipsterem, artystą bez aspiracji czy jakimś imitatorem życia — pomyślałam. Intuicja mnie nie zawiodła. Sama nie wiem, skąd miałam wtedy odwagę, by zaprosić go jako brakujący męski element na kolację dla singli. Zaraz po niej był SMS i propozycja, byśmy wybrali się razem do Hali Mirowskiej po jaja od kur, które niosą się przy dźwiękach muzyki klasycznej. Czy muszę dodawać, że urzekł mnie fantazją? Potem był spacer między posągami w ogrodzie Saskim i gra w słowa, które przywołują kontrastowe smaki. Na moje borówki odpowiedział słoną czubricą. Gdy rzuciłam: anchois, zaserwował anyż, a ja poczułam, że eksplozja zmysłów nadciąga z nieujarzmioną siłą. Miał na sobie starannie wyprasowaną białą koszulę w kolorowe papugi. Wnosiła jednocześnie słońce egzotycznych wysp i przewrotny szyk wielkomiejskiego życia. Zwieńczeniem spaceru była Ipanema, zmysłowa jak plaża w Rio de Janeiro o tej samej nazwie, porcja musu z orzechów laskowych z kremem marakujowym i pralinowym lukrem. Jadł powoli, celebrując każdą warstwę słodczy, a ja zerkałam w jego ciemnobrązowe oczy. Płonęły. Czułam, jak bulgocze mi w żołądku, i modliłam się, żeby ten akompaniament nie przedarł się przez powłokę obcisłej sukienki.

Tydzień później zabrał mnie na spacer przez Wisłę, a potem na białe wino w restauracji Biała na Saskiej Kępie. Wchodząc, powiedział: „Poproszę, żeby puścili dla nas bossa novę, pasuje do tego popołudnia”. Pasowała, nie tylko ona. Pasowało wszystko. Nawet wiatr. Po powrocie do domu zadałam pytanie chińskiej

wyroczeni I Ching, czy to się dzieje naprawdę, czy może znów projektuję na kogoś swoje marzenia. Wypadł heksagram 51: Wstrząs. *Piorun na górze i piorun na dole. Niespodzianka wywróci twoje życie do góry nogami. Bądź przygotowana na wszystko. Nie trać jednak kontroli nad swoim życiem.*

Dlaczego więc po szesnastu dniach rozbudzonych nadziei wyleguję się samotnie w wannie? Przecież jeszcze wczoraj, spacerując po Łazienkach, obiecywał skonstruować dla mnie rozpraszacz chmur, który za pomocą małej rury do przepływu energii odmieni aurę tego chmurnego czerwca. Dźwięk telefonu poderwał mnie na równe nogi. Czyżby Konstanty jednak wybrał mnie? Kieliszek wypadł mi z rąk. Zlekceważyłam jego brzęk i rozchlapując wodę, popędziłam do torebki.

— Jak życie i okolice, *my dear*? — zaćwierkała Wera. — Mam nadzieję, że jesteś jeszcze przy pudrowaniu nosa, a nie przy aperitifie?

— Jestem na dnie wanny, *bella* — wymamrotałam.

— Czyżby Konstanty zatonął? — na wpół żartobliwie rzuciła Wera.

— Na razie trafiło-zatopiło plan wspólnej kolacji, ale kto wie. Zresztą, Weri, bądźmy realistkami, jeśli facet na cztery randki odwołał już drugą, to chyba...

— Odwołał czy przesunął? Bo tydzień temu mówiłaś przecież, że to chodzenie pod mostem...

— Nie pod mostem, tylko po moście.

— Pod niebem, po moście, niech będzie. Ważne, że tylko przesunął na następny dzień, a to się liczy wyłącznie w kategoriach „bardzo mu zależało, ale...”. — Wera jak zwykle szukała sposobów na pocieszenie. — Lukrusiu, sama wiesz, jak to bywa w świecie interesów, nieoczekiwanie ktoś coś przestawia, a ty musisz być elastyczna, bo inaczej wszystko runie — zawiesiła głos.

— Tylko, Wera, dlaczego zawsze to ja mam być elastyczna? — jęknęłam.

— Jakie zawsze? Zlituj się, dopiero drugi raz.

— Jak mawia popowa bogini męskiej wyobraźni: drugą szansę mężczyzna może dostać, ale od drugiej kobiety — zażartowałam.

— Demonizujesz! No, chyba że to pracoholik? — rzuciła podejrzliwie Wera.

— Skąd! Mówiłam ci, że on jest zenistyczno-metodyczny i przepracował już temat balansu między pracą a życiem.

— Słuchaj, a czy on nie jest spod ryb? Bo wtedy to wiesz, zmienność zodiakalnych ryb będzie silniejsza od niego i trudno mieć o to pretensje. Będzie się ciągle wahał.

— Ale on się nie waha.

— Słuchaj, a może on jest w roku siódemki? To jeszcze wyższy stopień utrudnienia, bo będzie aktualnie szukał głębi wewnętrznej i do tego udawał, że wcale tego nie robi. To byłby niefart. Brrr... Znasz jego datę urodzenia?

— Weruś, daj spokój. Na pewno nie jest w siódemce i nie jest wahlivy, nie

ma syndromu pracoholika, seksoholika ani kryzysu wieku średniego — wyrecytowałam, kierując się w stronę wanny, bo poczułam, że chodzenie nago po pokoju z cieknącą po plecach wodą w połączeniu z moim stanem ducha zaczęło wywoływać niemiłe dreszcze.

Zapadła chwila ciszy. Miałam wrażenie, że moja empatyczna przyjaciółka ma na końcu języka jakieś pytanie ciężkiego kalibru, ale miota się, nie wiedząc, czy może je zadać. Wera w odróżnieniu od Claudynki była mistrzynią taktu.

— O, w mordę! — wrzasnęłam, nadziewając się w łazience na ułamek szkła ze stłuczonego kieliszka.

— Żyjesz?! — zaniepokoiła się Wera.

Oszczędziłam jej detali o krwawiącej stopie. Obłożyłam ranę mokrymi wacikami i zaczęłam zmiatać szkło, starając się za żadne skarby nie doszukiwać się w tym potłuczonym kieliszku metafory swojej dopiero co zaczętej relacji z Konstantym. Odkąd przestałam zaglądać w karty tarota, przerzuciwszy się na internetową stronę z wyroczniami I Ching, zdałam sobie sprawę, że każda przepowiednia może działać na twoją korzyść, wystarczy tylko odpowiednio ją przeczytać.

— Wera, a może on tylko chciał mnie przelecieć? — powiedziałam rozgoryczona.

— Przecież nawet się nie całowaliście.

— No właśnie, czy to nie dziwne?

— Może i dziwne, ale wyklucza motyw przelecenia.

— A może chciał, ale się rozmyślił? — wydusiłam z siebie wreszcie dręczące mnie od kilku godzin podejrzenie.

— Ale czy wspominał, że...

— Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli o to chodzi, to nie napomknął jak jakiś dupek z Tindera, że po trzech spotkaniach musi sobie coś przemyśleć — prawie krzyknęłam.

— Gej? — wyszeptała Wera.

— Nie! — jęknęłam. — Stój!

— Proszę?

— *Pardon*, nie do ciebie, *bella* — wyjaśniłam, próbując spacyfikować rozchlapującego wodę buldożka, który wkroczył na teren rozbitych resztek. — Wyłaż, ale już! I nie chlap. Spokój!

— Zaburzenia erekcji? — kontynuowała przyjaciółka.

— Weruś!

— To musi być żona! — Podekscytowała się. — Tak czułam, to było zbyt romantyczne, co o nim opowiadałaś. No i wiesz, ten jego zadbany *look*. Single nie prasują koszul.

— Jest po rozwodzie, mówiłam ci.

— Może ma porozwodowy ciąg alkoholowy?

— Jeśli lubiący życie, atrakcyjny, zrównoważony czterdziestodwuletni heteryk nie ma ciągu alkoholowego i nie ma żony, możesz być pewna, że ma coś, co pochłania go bardziej niż najbardziej absorbująca żona pod słońcem — wyrecytowałam jak formułkę z poradników z cyklu: jak rozszyfrować faceta.

— Szykuje się do maratonu?

— Niestety, nie biega — westchnęłam. — Przyczyna mojej samotności ma dwanaście lat i na imię Lena.

Wera była bezdzielną singielką, ale równie dobrze jak ja wiedziała, że żadne sportowe wyzwanie na świecie nie umywa się do ambicji rodzicielskich wrażliwego tatusia, który próbuje wynagrodzić swojej ukochanej córce fakt, że rozstał się z jej mamusią. Może dlatego nie zadała żadnych pytań o osobowość Lenki i szczegóły ich relacji. Rzuciła tylko, że dziś na Saskiej Kępie jej klient, adwokat z wyraźnym potencjałem rozrywkowym, urządza parapetówkę. W pięknym domu, który niedawno nabył za jej pośrednictwem. Właśnie się do niego wybiera, więc przyjechałaby po mnie za kwadrans, gdybym tylko zechciała wynurzyć się wreszcie z wanny pełnej domysłów i rozterek. O niczym bardziej nie marzyłam.

Moje stopy, ta najintymniejsza część ciała wystawiana latem na tacy wygłodniałym oczom jak aperitif dla wyobraźni, nie dość, że rozmoczone przydługą kąpielą prezentowały się jak pergamin po deszczu, miały jeszcze po lewej stronie ohydny ślad po szkle. Syberyjski olejek z cytryńca chińskiego i cedru wcierany łagodnymi ruchami przywracał skórze nawilżenie, ale nalepiony plaster pozbawił mnie szans na seksowne sandały na koturnach. Wciskając się w turkusowe szpilki, poczułam nieprzyjemny skurcz. Nie wywołała go rana ukryta pod plastrem, lecz nagły przebłysk, że to dziwne sfalbanienie wokół pięt to wcale nie musi być tylko rezultat rozmoczenia. Bo co, jeśli starość zaczyna się właśnie tutaj? Marszczą się brzegi stóp, łączące nas z ziemią, natrętnie alarmując, że składamy się z minerałów, które z wiekiem kruszeją, i z płynów, pod wpływem lat wysychających w nas jak nasze niespełnione marzenia o barwnym życiu.

Domofon i szczekanie rozradowanego Dolcevita wyrwały mnie z budzącej się właśnie starczofobii. Wera wparowała do środka jak torpeda. A raczej jak niebieski meteoryt. W zwiewnej sukience z błękitną falbaną falującą poniżej ramion, z odsłoniętą łabędzią szyją i jaskrawoceglastymi ustami wyglądała jak bogini wszelkiej namiętności.

— Woow, *bella*, onieśmielasz! A do tego... — Z zachwytem zbliżyłam nos do obojczyka Wery. — Czuję nowość! Jaśmin przełamany bergamotką, piżmo, czyżby zaplątał się tu też jakiś fiołek? O, madonno! Cóż to za rozkoszna słona słodycz?

— Mój nowy uwodziciel, Mr Frédéric Malle.

— Chyba jest i drzewo sandałowe. Piękne. Leżą na tobie, jakby właśnie dla ciebie powstały.

— Dzięki, królowo zmysłów.

Wera z czułością wytarosiła buldożka, a ja podpięłam grzywkę i boki w minikoczek, by uczynić bardziej widocznym mój nowy, ekstrawagancki naszyjnik, imitujący liście cukrowego groszku w strąkach. Zbiegłyśmy po schodach, komplementując nawzajem nasze kreacje. Czerwcowy wieczór otulał miasto wspomnieniem niedawnego deszczu, utrzymując w powietrzu miłą rzeźkość. Nieliczni poszukiwacze wrażeń zmiierzali w stronę placu Zbawiciela, skąd dobiegały odgłosy nocnego życia. Jakiś brodacze w koszulce z napisem „*Less dress, more sex*” adekwatnie do manifestu prowadził wtuloną w niego dziewczynę w sukience, spod której wylaniały się całe uda i zaczątki bielizny. Byli tacy piękni w tej swojej synchronizacji, że cmoknęłam do nich z uznaniem. Spojrzeli na mnie zdumieni i bez słowa poszli dalej. Wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Czy to się nazywa różnica pokoleniowa? — zażartowałam, zaskoczona i ubawiona jednocześnie.

— Raczej różnica temperamentów — rzuciła Wera i odpaliła dynamicznie auto.

\*\*\*

Ulica Francuska w niczym nie przypominała starej, lirycznej Saskiej Kępy, po której mogłaby się snuć jakaś rzucona przez narzeczonego Małgośka albo rozczarowana facetami Mariola. W knajpkach dzwoniły kieliszki, brzęczały sztucce, roześmiane dziewczyny przekrzykiwały się nawzajem, towarzyszący im faceci próbowali wejść im w słowo. Na wysokości odremontowanej starej willi zaprojektowanej przez Korngolda, na skrzyżowaniu z ulicą Zwycięzców, zatrzymałam się na chwilę. Wewnątrz mieściła się restauracja, z której docierał zapach przyjemnego winnego sosu. To tu byliśmy tydzień temu na winie. Czy los naprawdę musiał mnie pchnąć w ten sam rewir? Przeszłyśmy na drugą stronę ulicy i po chwili znalazłyśmy się w pięknym ogrodzie. Gęsta roślinność całkowicie izolowała odgłosy ulicy. Białe lampiony rozwieszane wzdłuż ogrodzenia tworzyły magiczną poświatę.

— Fajna obroża.

— Proszę? — Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

— Aż się prosi, żeby chwycić i zawładnąć — zagał mnie jakiś wstawiony pan w zbyt głęboko rozpiętej koszuli.

— Właściciel na szczęście jest trochę dowcipniejszy — szepnęła Wera i pociągnęła mnie za rękę, kierując się w stronę stołu ustawionego pod rozłożystym kasztanowcem.

Jeszcze nie wiedziałam, czy jest dowcipny, ale już byłam pod wrażeniem



jego wzroku. Do tego miał niezwykle uwodzicielski głos, którym serdecznie nas przywitał. Wera szybko rzuciła „przepraszam”, zaatakowana wylewnym uściskiem efektownej blondynki, która najwyraźniej też była jej klientką, i odbiła w bok, wdając się w jakąś rozmowę o nieruchomościach.

— Jestem zaszczycony, słyszałem, że masz najczulsze podniebienie w mieście i wielki talent kulinarny — zaczął, jak przystało na mistrza kurtuazji, i nalał mi szampana. — Mam nadzieję, że kucharz, który zadbał o nasz wieczór, cię nie rozczaruje.

— Przyjemność odczuwania smaków tylko w części zależy od kucharza — zawiesiłam tajemniczo głos, a adwokat zawiesił spojrzenie na moim naszyjniku.

— Czy te wyrafinowane fasolki to jakaś zachęta?

— To groszek.

— O, *pardon*. Jadalny?

— Cukrowy.

— A czym się różni od zielonego?

— Słodyczą.

— Brzmi podniecająco. Jak bardzo jest słodki?

— Najśłodszy — urwałam na moment. — W towarzystwie warzyw. Nie wytwarza twardej wyściółki pergaminowej, która tak nas dręczy w tym zwykłym.

— Nie mogę się powstrzymać przed zjedzeniem jakiejś słodczy w twoim wykonaniu — jeszcze bardziej zniżył głos i jeszcze głębiej się nachylił.

— Na pewno będzie okazja.

— Nie lubię czekać — już prawie szeptał mi do ucha.

Chyba miałam ambicję, żeby rzucić jakąś dowcipną ripostę, ale poczułam, jak lekko uginają się pode mną kolana, a miednica miękko się luzuje. Przyjemna drzewna nuta jego zapachu wdarła się do mojego ciała przez skórę dekoltu, szyję, ramiona i zupełnie mnie obezwładniła. Przymknęłam lekko oczy.

— No, jesteś, Karol, chodźże wreszcie, moja prezes przyjechała, musisz ją pobajerować — syknęła jakaś blondynka, smukła jak trzcina i chłodna jak skandynawskie morze.

Wyglądała na tą, która zarządza losem szarmanckiego Karolka. Pociągnęła go tak gwałtownie, że zdążył jedynie rzucić mi głupawy półuśmiech, który miał chyba znaczyć: żegnaj kotku, miło było. No cóż, jak mawiała nieodżałowana ciotka Aurelia: *Przystojny mężczyzna otworzy ci oczy, inteligentny umysł, a dżentelmen serce*. Chwilowo zmuszona poprzestać na zamknięciu pierwszego otwarcia, rozejrzałam się za Werą. Najwyraźniej pochłonął ją bardziej obiecujący wariant otwierania, bo nigdzie nie było jej widać. Zdecydowałam się sprawdzić, co urodziwy mecenas Karolek, a może raczej jego dynamiczna blondynka, wybrał na kulinarne tło wieczoru. Stół robił wrażenie. Bakłażany nadziewane orzeszkami pinii, od których zaczęłam, nie zawiodły mnie. Delikatne, o świetnej konsystencji,

w idealnej chwili wyjęte z piekarnika. Aromatyczny rozmaryn, którego zapach docierał znad jagnięciny, nęcił do wykonania kolejnego ruchu widelcem. Ale skusiła mnie jeszcze nadziewana papryczka. Klasyk — z cebulą, fetą, pieprzem. Pikantność papryczek z wyczuciem przełamana przyjemnym posmakiem kolendry. Było też modne w tym sezonie ceviche — ryba marynowana w soku z limonki, ale zostawiłam ją sobie na później. Tymczasem sięgnęłam po jagnięcinę.

— Mięsożerczyni o tak łagodnym wyrazie twarzy? — usłyszałam zza ramienia.

— Czyżby wegetarianin z zacięciem do tępienia zwolenników odmiennych rozkoszy? — rzuciłam zaczepnie, odwracając głowę.

Mężczyzna, który wyrósł mi przed nosem, nie był tym, który otwiera kobiecie oczy, ale miał niezwykle przenikliwe spojrzenie i coś tak ciepłego w uśmiechu, że trudno było oderwać wzrok od jego twarzy. Postanowiłam więc zaryzykować minutę uwagi. Zawsze warto sprawdzić, czy nie trafiło się właśnie na kogoś godnego chwilowego otwarcia umysłu. Otwierania serca nie brałam pod uwagę.

— Czy to nie nonszalancja łączyć oprószone ziołami zabite jagnię z rozkoszą? — zapytał prowokująco, nie tracąc uśmiechu.

— Gdyż?

— Skoro już wiemy, że zdolność odczuwania nie jest zarezerwowana tylko dla ludzi, czy można tak po prostu zjadać kogoś, kto żył i czuł, że żyje? — ciągnął dalej, a ja byłam coraz bardziej zaintrygowana dziwną mieszanką siły i delikatności, które w doskonale harmonijny sposób współistniały w tym facecie.

— Ja nie tylko jadam.

— Mordujesz?

— Tylko mężczyzn — szepnęłam. — Jeśli chodzi o zwierzęta, to czasem maczam palce w tym, by jedli je inni — zaatakowałam, ale niegroźnie.

— To znaczy?

— Przyrządzam.

— Niewinnego baranka dusisz w sosach?

— Akurat jagnięcinę bardzo lubię w kiszzonej kapuście, przesyconą aromatem suszonych borowików w czerwonym winie, do tego słodycz żurawiny, pachnący akacją miód, rozmaryn, kminek, świeży majeranek.

— Brrr... paskudztwo.

— Zupełny odlot, o którym nie śnili wegeortodoksi.

— Mięso mnie odrzuca, ale twoja zdolność rozkoszowania się smakami robi wrażenie. Pytanie tylko, czy hedonizm nie jest już *passé* w erze transformacji duchowości? — zawiesił zaczepnie głos. — Może wody?

— Dziękuję, piję wino.

Może i nie cierpię radykałów, ale ten, jeśli rzeczywiście nim był i nie

blefował, miał w sobie coś intrygującego. Smukły, pogodny i nierzucający się w oczy mężczyzna, o którym nic nie wiedziałam, poza tym, że z jakiegoś powodu znalazł się na przyjęciu zamożnych prawników, choć zupełnie od nich odstawał. Nie wyglądał na kucharza, a tym bardziej na ogrodnika. Zastanawiało mnie, skąd się tu wziął. A jeszcze bardziej — dlaczego w jego obecności czułam się tak swobodnie, mimo że wszystkim się różniliśmy?

— Po co zaraz mylić rozkosz z hedonizmem? — zapytałam.

— A to nie jest to samo? — Zdziwił się.

— Rozkosz to po prostu radość.

— A hedonizm to nie radość?

— Ja mówię o radości, którą praktykuje się dla zdrowia. Hedonizm to już zniewolenie przyjemnością, przymus ucieczki przed cierpieniem.

— No, no, jest hedonizm, jest zabawa — zaświergotała Wera, która wyrosła jak spod ziemi.

Była w świetnym humorze. Wyraźnie się wstawiła i, jak to jej się w takich chwilach zdarzało, gestykulowała nieco wyraźniej niż to konieczne. Nie to jednak było najzabawniejsze, lecz fakt, że zbliżyła się do mojego tajemniczego rozmówcy i znieścacka pocałowała go w czoło.

— A jak życie? — dodała, patrząc w jego stronę.

— Dokładnie takie, jakie ma być — odrzekł ze stoickim spokojem i tajemniczo się uśmiechnął, zerkając raz na mnie, raz na nią. — Oddychanie, poruszanie, czucie.

— No tak, ty jak zwykle na wyższych wibracjach — odpowiedziała z uznaniem Wera.

Byłam zdezorientowana. Czyżby Wera aż tak się wstawiła, że pomyliła tego gościa z kimś innym? To zupełnie do niej niepodobne. A może rzeczywiście się znali. Jeśli tak, to skąd? Wir dociekań został przerwany przez dźwięk SMS-a. Zrobiło mi się gorąco, oddaliłam się na bok, bo coś w moim ciele wiedziało już, że to on: *Rano odwożę Lenkę, może potem zjemy razem śniadanie z widokiem na rzekę? Buziaki.*

Zaszumiało mi w głowie. Poczułam się napełniona boską mocą. W jednej chwili gotowa byłam tańczyć i krzyczeć, że oto jestem! W całej swojej radosnej, wulkanicznej i bezwstydnej naturze! Zapragnęłam wskoczyć na stół, rozbryzgać te kolorowe koktajle na koszule wszystkich eleganckich panów, którzy dolewali szampana eleganckim paniom w nadziei, że wreszcie staną się mniej eleganckie, mniej taktowne i bardziej nieprzewidywalne. Wzbierała we mnie potrzeba, by wydać dziki okrzyk triumfu, który odbije się echem od fasady tego wyhajpowanego domu i pomknie gdzieś wzdłuż brzegu, z prądem Wisły do mieszkania Konstantego, żeby wiedział, jak bardzo już wyczekuję naszego poranka, wspólnego patrzenia na rzekę i zjedzonego razem śniadania.

\*\*\*

Ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Gęsta zawiesina szarości za oknem sugerowała, że daleko jeszcze do świtu. Czyżby moja zdyscyplinowana przyjaciółka Claudynka, która potrafiła wstawać o najdziwniejszych porach, by ćwiczyć swój charakter lub zestaw mięśniowy, właśnie zapragnęła podzielić się jakimś rewolucyjnym odkryciem?

— Lukrusiu, mam pilną prośbę, chcę ci podrzucić na tydzień naszego Kicusia, bo wiesz, Helena miała go wziąć, ale wczoraj mnie wystawiła do wiatru, gdy się zorientowała, że jej wczasy głodówkowe u doktor Dąbrowskiej, po których ma zamiar wbić się w trzydzieści osiem... między nami mówiąc — marzenie ściętej głowy, jeśli chodzi o Helenę, już jej mówiłam, bo ona ma takie same tendencje do tycia co ty i jeszcze gorszy metabolizm, ale ona nigdy nie słucha — roztrajkotała się w słuchawce matka. — W każdym razie turnus odchudzający jest w tym samym terminie, co nasz wyjazd.

— Mamuś, jakiego Kicusia? — zapytałam półprzytomnie.

— Córeńko, czy ty nie musisz łykać magnezu? Widzę, że coraz bardziej ci siada pamięć... — Zniecierpliwiła się matka. — Przecież mówiłam ci, że Miecio, to znaczy, że my mamy kotka, Kicusia, słodziaczek taki milusi, znajdeczka niewinna, aniołek, któremu Miecio ocalił życie. Znalazł go zagłodzonego pod blokiem i jak to mój Miecio, dusza człowiek, zabrał, przytulił, zadbał i teraz mamy kochanego Kicusia. Moja przyjaciółka Helenka miała się nim zaopiekować, bo my płyniemy na ten Bornholm.

Dałabym sobie głowę uciąć, że o żadnym kotku mi nie wspominała, a tym bardziej o wycieczce na Bornholm, ale dyskusja na ten temat nie miała sensu, nie z nią. Zresztą, odkąd matka weszła w związek z młodszym od niej o jedenaście lat przebojowym Mieciem, wszystko w jej życiu dzieje się ze zdwojoną prędkością i trudno nadażyć za dynamiką zdarzeń. Tłumaczenie, że o niczym mi nie wspominała, albo napomknięcie o tym, że ja mam w domu psa, a poza tym także swoje życie — było czystą stratą energii. Jedyne, czego pragnęłam, to przypomnieć jej o tym, że jest błądny niedzielny świt i nie musi zadrećcać mnie kwestiami swoich miłosnych wojaży o takiej porze, ale nieopacznie spojrziałam na zegarek. To nie ciemności nocy rozsnuwały się za oknem, lecz chmury deszczu. Dochodziło wpół do dziewiątej. Zerwałam się z łóżka jak poparzona.

— Dobrze już, mamo, wezmę tego Kicusia. Po południu zadzwonię, to się na jutro jakoś umówimy — rzuciłam do słuchawki, gotowa na każdy kompromis, byle tylko spławić matkę i znaleźć się wreszcie pod prysznicem.

— Córus, jakie jutro, jak my za trzy godziny wyjeżdżamy? — powiedziała swoim nieznoszącym sprzeciwu tonem matka. — Za pół godziny przyjedziemy z Kicusiem, kuwetą i wszystko ci wytłumaczę, gdzie co masz kupować, jak mu

gotować, żeby go prawidłowo odżywiać, bo wiesz, Kicuś jest po przejściach gastrycznych i wymaga specjalnej diety.

Morderstwa w afekcie muszą się przytrafiać nawet zupełnie normalnym, opanowanym kobietom. Nigdy w to nie wątpiłam, ale teraz zdałam sobie sprawę, że mogą się zdarzać równie często w niedzielne letnie poranki, co w jesienne wieczory. Do spotkania z Konstantym miałam czterdzieści pięć minut. Głowa ciążyła mi po nadmiarze wczorajszego szampana, pod oczami wisiały wory, na stopie sterczał wykwit, który z wczorajszej ranki przeobraził się w wystający burchel i osiągnął właśnie apogeum centymetrowego rozmiaru. Nie miałam pojęcia, w co się ubrać, a do tego za pół godziny miała mi się tu zwalić matka z kotkiem specjalnej troski. Wahając się między mordem na matce a zbrodnią zakłócenia poranka najbliższej sercu istocie, zdecydowałam się na to drugie. To, co inni nazywają czuwaniem opatrności, ja, szczęśliwa posiadaczka najwspanialszych przyjaciółek pod słońcem, nazywam po prostu solidarnością jajników.

Wera leczyła kaca po wczorajszym party — wychodziła właśnie z ożywczym kefirem ze spożywczego w alei Wyzwolenia. Prosto stamtąd zgodziła się przyjść do mnie. Zabrała Dolcevita na spacer, a ja spokojnie wskoczyłam pod prysznic. Motywacja, by zdążyć wymknąć się przed nalotem własnej matki, przyspieszyła wybór stroju może nawet bardziej niż lęk, że spóźnię się na randkę. Wybrałam sportową dzinsówkę przed kolana i niezobowiązującą koszulę w zielonkawym kolorze, w której po rozpięciu dwóch guzików robił się, jak to optymistycznie określiła Wera, ekscytujący punkt zaczepny dla wyobraźni. Jedyne, czym mogłam domknąć ten zestaw w obliczu katastrofy na stopie, były ciut rozklekotane czółenka na płaskim obcasie, w tygrysie wzory. Zdążyłam. Dokładnie w chwili, gdy ruszyła moja taksówka, matka wypakowywała się z auta Micia z kotkiem pod pachą. Wiedziałam, że nikt inny nie przejmie lepiej zwierzaka, jednocześnie nie wywołując eksplozji w mojej nieobliczalnej matce, niż działająca kojąco na ludzi Wera.

\*\*\*

Ależ on jest stylowy — pomyślałam, patrząc na cienie rzucane przez arkady kawiarni, którą Konstanty wybrał na nasze śniadanie. Minimalistyczne, a jednocześnie ciepłe wnętrze było dokładnie takie, do jakiego sama miałabym ochotę go zabrać w rześki poranek. Nawet niebo stanęło na wysokości zadania i pojaśniało na chwilę naszego powitania. Siedział odprężony, w koszuli w delikatne prążki, na gołych stopach miał piękne mokasyny z bladoczerwonej skóry. Na mój widok wstał energicznie. Obdarzył mnie tym swoim ciepłym, serdecznym uśmiechem, ujawniając idealną biel zębów, i musnął wargami mój policzek. Nasze pierwsze śniadanie nie było co prawda zwieńczeniem upojnego

wieczoru, ale dawało to przyjemne, niezmacone niczym poczucie, że rozkosze licznych nocy są już o krok od nas.

Zaprawiona w moich praktykach rozluźniającego oddechu, raz po raz nabierałam powietrza, wstrzymywałam je, a potem wypuszczałam, by uwolnić się przynajmniej myślami z potwornego ucisku mojego burchla. Aż w końcu poczułam się na tyle swobodnie, by wysunąć stopę z buta, i spokojnie mogłam już oddać się kontemplacji pięknych oczu Konstantego oraz wchłanianiu wyrafinowanej, żywiczno-cytrusowej mieszanki jego perfum.

Po niedługim wstępie o tym, jak miło spędzili wczoraj popołudnie i wieczór z Lenką — który to wstęp zniosłam z najwyższą dzielnością — Konstanty przełączył się na mnie.

— A ty jak spędziłaś wieczór? — zapytał, topiąc we mnie jedno z tych swoich przenikliwych spojrzeń.

— Z Werą. Byłyśmy na parapetówce jej klienta. Największą atrakcją były imponujących rozmiarów drzewa w ogrodzie, starsze niż willa.

— A wiesz, że drzewa porozumiewają się między sobą? — Podekscytował się tematem.

— Za pomocą wiatru?

— Nie, drzewa tworzą wspólnotę.

— Prawie jak ludzie.

— Może nawet bardziej. Młode i silne wspierają te starsze. Uzdrawiają się nawzajem, przesyłając sobie soki i informacje systemem korzennym. Są przesłanki, by sądzić, że to szalenie empatyczne byty.

— Ciekawe, czy drzewa nas słyszą.

— Kto wie? — zawiesił głos. — Może słuchając nas, często pukają się w korę, bo żyją na tyle długo, by wiedzieć, że problemy, które spędzają nam sny z powiek, z perspektywy czasu i tak okażą się śmieszne.

Nie śniłam. Niczego sobie nie projektowałam. Konstanty po prostu uosabiał męczyznę moich marzeń. I nie tylko moich. Miałam wrażenie, że ucieleśnia pragnienia całego pokolenia dziewczyn wychowanych przez matki trawiące latami rozczarowania, jakich doświadczyły ze strony facetów, których nie było albo byli, ale nie tacy, jakich dałoby się znieść. Konstanty trzymał się ziemi, był praktyczny, poukładany i zaradny, a jednocześnie pozostawał idealistą. Nie przeszkadzało mi nawet, że zamówił jajecznicę na boczku i strasznie się tym boczkiem podekscytował. Choć przemknęło mi przez myśl, czy gdy razem zamieszkamy, temat boczku, którego ja za nic w świecie bym nie tknęła, nie stanie się jedną z tych drobnych, z pozoru nic nieznaczących różnic, które psują atmosferę małżeńskich poranków. Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

— *À propos* empatii: przedwczoraj oglądałem kolejny odcinek *Hannibala*. Znasz ten serial?

— Jeszcze nie.

— Świetne! Cień Hannibala to człowiek, którego słabością jest zbyt duża empatia. Z jednej strony, dzięki niej może zrozumieć psychopatów, z drugiej, łatwo wpada w pułapki. Bardzo interesujące. Musisz to zobaczyć. Może do mnie przyjdiesz w tygodniu? — rzucił mimochodem i zanurzył usta w swoim owocowym koktajlu.

— Chętnie. — Przełknęłam ślinę, wpatrując się w piękny kontur jego ust.

— Co tak patrzysz? — zapytał czujnie. — Wiem, wiem, popijanie przy jedzeniu to barbarzyństwo, ale czasem wolno nam chyba łamać reguły? — Roześmiał się.

Był uważny. A jego znajomość zasad żywienia, może nie całkiem tożsamy z moimi, w tym przypadku zasługiwała na uznanie. Do tego siedział w niezwykle stylowy, a jednocześnie niewymuszony sposób, trzymając prosto kręgosłup. Przykuwał spojrzenia. Kawiarnia zapełniała się ludźmi. Szczupła blondynka przejechała obok nas spacerówką z bliźniętami, a gdy jedno z nich upuściło grzechotkę, Konstanty błyskawicznie wstał, żeby ją podać. Miał wspaniałą sylwetkę. Wyobraziłam sobie jego brzuch, na którym zapewne nie było żadnej fałdy tłuszczu. Pomyślałam o swoim własnym. Nagle, przyglądając się pięknej linii ramion, których kształt dawał się zauważyć przez koszulę, poczułam lekki niepokój. Czy on nie jest zbyt doskonały? Czy to możliwe, że po tylu niewypałach przyciągnęłam kogoś tak odpowiedniego? Konstanty poszedł do łazienki, a ja rzuciłam okiem na telefon.

*Dolcevito, urażony najazdem Kicusia, położył się na balkonie, ale nie robił scen. Mamcia obłaskawiona, a ten mamy Miecio naprawdę ma jaja i zero łysienia. Baw się dobrze, lofka.*

Odetchnęłam z ulgą. Wera nigdy nie zawodziła. Była mistrzynią obłaskawiania, wybawiania i ulepszania rzeczywistości. Była chodzącą dobrocią.

— Mój żywioł to woda, tylko dlatego nie spalam się z emocji — mówiła żartobliwie. — Ty jesteś ogniem, więc musimy ciągle mieć cię na oku, żebyś nam nie spłonęła, a Claudynka, nasz anioł stróż, to ziemia. Można powiedzieć, że idealnie się ustawiliśmy.

Nie miałam jasności w sprawie tych żywiołów. Często wydawało mi się, że Wera spala się bardziej niż ja w przygodach sercowych, tyle tylko, że o wiele skuteczniej to skrywa. Claudynka też się spalała, ale zaraz potem zaczynała racjonalizować i logika, jej wentyl bezpieczeństwa, z zawrotną prędkością stawiała ją do pionu. Rzeczywiście zgadzałyśmy się finalnie prawie we wszystkim, ale zanim do tego doszłyśmy, każda z nas trzech zwracała uwagę na zupełnie inne elementy rzeczywistości. Mimo wszystko Wera wydawała się najbardziej empatyczna. Jak to możliwe, że wciąż przyciągała do siebie młodocianych wymoczków lub wyrafinowanych uwodzicieli, którzy okazywali się gejami? Tego

nie mogłam pojąć. Przypomniałam sobie tajemniczego gościa, który odstawał od całej reszty na wczorajszym przyjęciu. Czy to jej znajomy? Wracając, byłyśmy tak padnięte, że w taksówce nawet jej o to nie zapytałam. Czy Wera nie mogłaby zainteresować się kimś takim? Bezpretensjonalnym, wrażliwym i pogodnym? Zamiast co chwilę zakochiwać się w tych wystylizowanych wydmuszkach. A może Claudynka ma rację? Wera ciągle się zakochuje, żeby uniknąć miłości. Może my wszystkie właśnie po to chcemy żyć w płomieniach — patrzeć na mężczyznę rozgrzane endorfinami, oddalając dzień, kiedy trzeba będzie stanąć naprzeciwko niego i zobaczyć go takim, jaki jest.



## ROZDZIAŁ 2

### *Dziurawe serce monstery może cię pocieszyć*

*Szałwia i szal prawej półkuli — tak to zatytułuję.*

*Zanim dostosujesz ciało do potrzeb umysłu, weź pod uwagę, że tak jak Ziemia ma dwa bieguny, tak Ty masz dwie półkule do smakowania rzeczywistości. Zamiast analizować, czy z logicznego punktu widzenia coś milego, co trwa, ma szansę przetrwać, możesz po prostu rozkoszować się tym, co czujesz w danej chwili. Rozpamiętywanie, analizowanie, prognozowanie to antypody przyjemności. To jak stąpanie boso po szkle. Idealny na zapomnienie i czerpanie przyjemności z chwili jest imbirowo-cytrynowy napar z gojnika. Gojnik, nazywany szalwią libańską, przywędrował do nas ze środkowo-wschodniej Europy. Używano go do wzmacniania odporności, i słusznie, bo wymiata toksyny z krwi i złogi z mózgu. Zawiera między innymi cynk, sód, magnez, kobalt, miedź, żelazo, taniny i olejki eteryczne. Wzmacnia nasze nerki, pozwala wziąć głębszy oddech — tak, właśnie taki, o jakim marzycie. Do tego reguluje niedokrwistość i dodaje energii. Bułgarzy nazywają go viagrą. A ja proponuję parzyć gojnik kwadrans pod przykryciem z odrobiną utartego imbiru, potem dodać cytrynę i trochę miodu. Przyjemność przyjdzie szybko i — mam nadzieję — rozkręci Was na dłużej.*

Skończyłam wpis i wciągnęłam przez nozdrza słodkawą woń naparu. — Mój blog, moja miłość! — krzyknęłam z triumfalnym uśmiechem. Uwielbiam te chwile. Chwywanie wątków, które same wypływają ze zdarzeń codziennego życia. Snucie historyjek, gry skojarzeń. Łączenie smaków, mieszanie, próbowanie, dziwienie się tym, co wyszło. Robienie zdjęć, szukanie cieni, odbić, lepszego światła. I ten moment, gdy biorę głęboki oddech, liczę: *uno... due... tre...* i klikam „Udostępnij”. A potem patrzę na spadające z nieba jak płatki babiego lata niepochwytnie lajki i spływające w ślad za nimi komentarze. I wiem, że przynależę do jakiejś tajemniczej wspólnoty, która nie tylko podgląda mój świat, ale ma ochotę w nim uczestniczyć.

Zrobiłam przerwę na nakarmienie kota, psa i podlanie kwiatów oraz dwadzieścia przysiadów, by przypomnieć własnym pośladkom, że ich kształt nie jest mi obojętny. Jak radzi Claudynka, mów do swojego ciała wszystko to, co sprawia mu przyjemność, a ono odwdzięczy ci się tym samym. Odpowiedziałam na kilkanaście komentarzy do poprzedniego wpisu, o anyżkowych makaronikach. Nawet na ten, który głosił, że podniecanie się słodyczami w czasach, gdy dwie trzecie Polaków zмага się z problemem cukrzycy, jest dowodem na brak kontaktu z rzeczywistością i czystą lanserką. Życzyłam czytelnikowi, jak zwykle w przypadku hejtu, słodkiego życia. Od kilku dobrych tygodni takie komentarze

nie wywoływały już we mnie emocji, były częścią blogowego świata — ani gorszą, ani lepszą od widoku wywróconego do góry nogami śmietnika na miejskim skwerze, na którym ktoś odreagował rozjazd swoich pragnień z rzeczywistością.

Polajkowałam na Instagramie najnowsze stylizacje majtek dla odlotowych dziewczyn marki Miss Boomboom, które projektuje Claudynka, i zabrałam się wreszcie do układania menu na kolejne warsztaty kulinarne, zaplanowane na przyszły weekend. Rozpracowywałam właśnie semolinowe ciasto nasączone limoncello, z kandyzowanymi cytrynami, kiedy nagle usłyszałam złowrogie warknięcie DolceVita, a zaraz potem łomot i brzęk. Mój buldożek najwyraźniej w relacji z kotkiem odczuwał podobne napięcie jak ja w relacji z matką. Stylowa lampa Juliana, od którego wynajęłam mieszkanie, runęła na podłogę. Zaletą mojego ekscentrycznego i majątnego posesora jest nonszalancki stosunek do przedmiotów. Nie musiałam więc wpadać w panikę. Poza tym: być wierną sobie i swoim czytelnikom to podstawa! Wykrzyczałam to hasło, by przebudzić swoją moc kundalini, gdziekolwiek teraz drzemała. Zgodnie z zaleceniem danym w ostatnim poście z mojego bloga wzięłam głęboki oddech i kilka łyków aromatycznego naparu z szaławii. Postanowiłam niczego nie analizować. Nie doszukiwać się we wszystkim zwiastunów szczęść i nieszczęść. Zmiotłam szczątki i wyrzuciłam je do śmieci. Puściłam Kurta Ellinga. Zawsze dobrze na mnie działa. Zanuciłam razem z nim.

*If I should write a book for you*

*That brought me fame and fortune too*

*That book would be,*

*Like my heart and me,*

*Dedicated to you.*

Za oknem pełzające po niebie chmury znów przybrały ciemnoszarą barwę, liście paprotki falowały, zapowiadając nadchodzącą burzę. Nawet jeśli był to najbardziej deszczowy czerwiec dziesięciolecia, mój nastrój, jakby na przekór warunkom atmosferycznym, sięgał dziś wyżyn. Dwie kolejne propozycje poprowadzenia warsztatów kulinarnych w lipcu uspokajały drżącą duszę

freelancerki. Zapowiadało się nieźle. Ponad dwadzieścia osób na jednym spotkaniu, a na drugim około piętnastu. Lubię to. Stać nad górą pachnących produktów i opowiadać, co możemy z nich zrobić. Najprzyjemniejsze są te chwile, gdy po pierwszych kilku minutach ogólnego spięcia grupa zaczyna czerpać przyjemność z samego wachania, dotykania i nazywania smaków, z ich łączenia. Zaraz potem wszystko zamienia się w towarzyską zabawę, w której poprzez preferencje określonych smaków ujawniają się odmienne osobowości uczestników. To była treść mojego życia, która wypełniała je raptem od trzech miesięcy, a ja już nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak przez kilkanaście wcześniejszych lat mogłam wysiadywać przy korporacyjnym biurku, w szumie drukarek, wiecznie dzwoniących komórek i zacinających się plików Excela.

Nawet jeśli śniadanie z Konstantym jeszcze wczoraj wydawało mi się za krótkie, zbyt nagle przecięte przez kolejne wątki wypełniające jego dzień, dzisiejszy poranny SMS z zaproszeniem na oglądanie *Hannibala* wszystko rekompensował. Ożywia! czerwone krwinki, rozprężył mięśnie twarzy i przesunął te wszystkie organiczne płyny, którym eksperci od długowieczności przypisują sukces młodego wyglądu i samopoczucia. Myśl o tym, że właśnie jutro będzie pewnie gotowy mój debiutancki alasz, napawała mnie tym dziwnym rodzajem przyjemności, który odczuwają dzieci, gdy po raz pierwszy ulepią babkę w nowej piaskownicy. Mieszany przeze mnie równo od dwóch tygodni eksperymentalny likier na bazie wódki, kminku, skórek pomarańczowej i cytrynowej, z dodatkiem gorzkich migdałów, korzenia dzięgla, kolendry i syropu trzcinowego, zrobiłam specjalnie dla Konstantego. Zaraz po tym, gdy podczas pierwszego spaceru opowiedział mi, że jego litewski dziadek pijał go rytualnie ze swoim najlepszym przyjacielem z Łotwy, więc nazwa tego trunku kojarzy mu się z trwającą przez lata bliską więzią, a mimo to on nigdy jeszcze go nie skosztował. Sądząc po odcieniu i konsystencji alasz zapowiadał się wspaniale i jakże adekwatnie komponował się z czekającym na nas mocnym *Hannibalem*. Wyobraźnia poszybowała w krainę tajemniczej gry, może nie śmiertelnie niebezpiecznej, jaką toczą ze sobą na ekranie przystojny Mads Mikkelsen z Hugh Dancym, ale tej, która rozgrywa się między niewinnością a rozkoszą jej przełamania.

— *Ciao, bella mia!* — Usłyszany w słuchawce elektryzujący głos Claudynki wyrwał mnie z odważnych wizualizacji jutrzejszego wieczoru. — Nawet nie masz pojęcia, w czyich ramionach spędziłam dzisiejszy poranek. Zgaduj!

— Czyżbyś już oswoiła tego nowego sąsiada, o którym mówiłaś, że gdyby Gosling był brunetem, można by ich pomylić? — Prawie zaniemówiłam z wrażenia.

— Pudło. Druga szansa...

— To ten twój inwestor, który chce współprodukować sportowe majtki, ale nie lubi umięśnionych kobiecych ud?

- Nie! Kochana, myśl nowocześniej!
- Szesnastoletni syn twojego trenera od pilatesu?
- Lukrusiu, nie bądź zboczona — skarciła mnie.

Być może istnieją jakieś nowinki w dziedzinie nowoczesnych związków miłosnych, o których Claudynka nie posiadała rzetelnej wiedzy, ale jedno jest pewne — jeśli ona o czymś w tym temacie nie wiedziała, ani ja, ani Wera zapewne nawet nie miałyśmy szansy o tym słyszeć. Kiedy z ust Claudynki padało słowo „nowość”, zgadywanie, o co chodzi, miało się z celem. Mogłam być pewna, że do mnie jeszcze ta nowość nie dotarła.

— Umieram z ciekawości — powiedziałam ze śmiechem. — Od razu jednak dodam, że nie zmartwychwstanę na dźwięk imienia tego podtytego właściciela kawiarni, który wciąż proponuje ci saunę z biczami. Nawet jeśli okazałby się omnibusem w kwestii kobiecych stref erogennych.

— *Bella*, nie ubliżaj mi — obruszyła się Claudynka. — Mój nowy czuły blondyn to... — zrobiła stosowne napięcie.

— To?

— *Hug chair!* — krzyknęła triumfalnie.

— Kto to?

— Raczej co to — zaśmiała się Claudynka. — Mój najnowszy nabytek to krzesło do przytulania dla singli.

— Co takiego?!

— Też się w nim zakochasz!

— Claudynko, czy twój tygodniowy wskaźnik snu jest w porządku?

— Mówię ci, pełna gwarancja satysfakcji — ciągnęła z całym swoim entuzjazmem. — Ten, kto je wymyślił, zasługuje na Nobla. Dla mnie bomba!

— Claudynko, o czym ty mówisz?

Odkąd Claudyna kilka tygodni temu, po latach miotania się w zagadkowej dla nas, jej przyjaciółek, relacji z lowelasek Giovannim, wreszcie zakończyła ten toksyczny związek, co chwilę wyszukiwała w świecie nowości rynkowych jakieś rozwiązania ułatwiające życie singlom. Nie wszystkie wywoływały w nas oczekiwany przez nią entuzjazm.

— Nie masz pojęcia, jak precyzyjnie dopracowano sposób, w jaki to krzesło cię opatula. Ten poziom docisku, miękkości, odpowiednia skala ciepła! Naprawdę po chwili czujesz się jak w ciepłych ramionach mężczyzny. To jest genialne! Kupię ci taki na urodziny. Jestem pewna, że te fotele wywołają rewolucję.

— W przytulaniu czy w wojnie płci?

— No, niestety prawda jest bolesna. I tak już marna pozycja mężczyzn znów się pogorszy.

— Szkoda tylko, że z tym Mr Chairem nie można uprawiać seksu. — Westchnęłam.

W krótkiej chwili pauzy, w czasie której, sądząc z odgłosów, Claudynka zanurzyła się w swoje espresso, prawdopodobnie jej ekspresyjna i piękna twarz nieco posmutniała. Może to rewolucyjne krzesło wydało jej się teraz mniej doskonale, niż było jeszcze tego poranka.

— No wiesz, z tym modelem akurat nie — powiedziała w końcu, już mniej euforycznym tonem. — Ale kto wie, jakie będą kolejne warianty w następnym sezonie? *À propos* seksu, jak ten twój pan z litewskim pieskiem? — Porzuciła marzycielski ton na rzecz swojej wrodzonej czujności.

— Pies krajowy, tylko imię ma litewskie — uściśliłam. — A seksu jeszcze nie było.

— No, no... — Zamyśliła się Claudynka. — Powiem ci, że to dobrze rokuje, zależy mu.

— Ach, Konstanty to jest wyższy poziom wrażliwości i typ wojownika w jednym: ciepły, stanowczy, konkretny, a jednocześnie metafizyczny. Nie wyobrażasz sobie, jaki te cechy tworzą w nim synchron! To jest właśnie ten mężczyzna, Claudynko, czuję to! — wyliczyłam podekscytowana.

— Brzmi podejrzenie — rzuciła Claudyna swoim badawczym tonem. — A jakie miał dzieciństwo?

— Pojęcia nie mam. Co to za pytanie?

— Lukrusiu, zupełnie podstawowe. Mężczyźni poranieni w dzieciństwie nie szukają bliskości, tylko sublimują sobie ból. Jak myślisz, skąd się biorą seksoholicy?

— Zgadzam się, Claudynko, ale po Konstantym widać od razu, że jest otwarty na bliskość.

— Oby! A czym on się zajmuje?

— On... — Zawiesiłam się. — A wiesz, że nie wiem.

— Nie wierzę! — krzyknęła, a brzęk w tle sugerował, że towarzyszył temu jakiś nagły ruch ciała. — Takie rzeczy mogą się zdarzyć chyba tylko tobie. Miałaś już z tym supermenem dwie randki i nie wiesz nawet, co on robi? Lukrusiu!

— Trzy, a dziś będzie czwarta.

— *Bella*, czy ty już na zawsze zostaniesz najromantyczniejszą wersją siebie? — jęknęła. — Może już czas na zmianę?

Milczałam. Podeszłam do ekspresu zaparzyć kawę i rozdrobniłam kilka ziaren kardamonu, które zamierzałam do niej dosypać. Nie to, że nie rozumiałam wzburzenia Claudynki. Po prostu sama byłam równie zaskoczona jak ona. Jak to się stało, że nie zadałam mu tego pytania? Za pierwszym razem, na rogu ulicy, w ogóle nie przyszło mi do głowy. Na kolacji dla singli byłam zbyt zajęta gotowaniem i czuwaniem nad całym przyjęciem. A potem? Tak wspaniale nam się rozmawiało o tym, co widać, co jest obok nas, ciągle pojawiały się jakieś tematy, szybowały wątki, dygresje. Zaabsorbowała nas rzeczywistość. Czasem to się

zdarza. Siadasz obok kogoś obcego i wszystko płynie tak, jakbyście spotykali się od bardzo dawna. Wydajecie się sobie zbyt bliscy, by pytać o podstawowe rzeczy.

Poczułam dziwny skurcz w żołądku. Jakieś pomieszanie lęku z ekscytacją, że dziś, kiedy zadam mu to pytanie, odsłoni przede mną nowe, zaskakujące oblicze. W głowie już miałam wyścig przypuszczeń.

— Może jest lekarzem. Z taką wrażliwością na drugiego człowieka byłby idealny — powiedziałam na głos.

— A on wie dokładnie, czym ty się zajmujesz, prawda? — ciągnęła Claudynka.

— Oczywiście, wie nawet, gdzie będę prowadzić w sobotę warsztaty kulinarne. Tym się różni od znanych mi mężczyzn, że naprawdę interesuje się tym, co robię.

— A jeśli on jest łowcą głów i cię checkuje?

— Claudynko, czy ty zawsze musisz szukać dziury w całym? — Zniecierpliwiłam się. — On nie jest z żadnej mafii, nie planuje uciąć mi głowy ani wykraść nerki.

— Puściły ci emocje, to znak, że już nie masz pełnej kontroli nad sytuacją. Niedobrze. Nikt nie mówi o mafii. Może to headhunter z jakiegoś korpo, które robi suplementy żywieniowe? Nie masz pojęcia, jakie wojny staczają teraz między sobą farmaceutyczne korporacje.

— Wybacz, że to powiem, ale może to ten przytulający fotel cię ciut otumania? — zażartowałam najszybciej, jak potrafiłam. — Po co miałby mnie checkować?

— Bo jesteś idealna na influencerkę.

— Na kogo?

— Lukrusiu, zaloguj się do rzeczywistości — pisnęła moja troskliwa przyjaciółka. — Masz popularny blog o żarciu, który w ciągu kilku miesięcy sprawił, że robisz mające wzięcie warsztaty. Napisałaś trzy teksty o afrodyzjakach, które miały rekordowe liczby udostępnień!

— Dwa teksty, trzeci dopiero piszę.

— Jesteś piękna, światowa, błyskotliwa. Byłabyś doskonałą twarzą do promowania nowej wersji viagry. — Claudynka już odlatywała i co gorsza, była w tym niezła. — Tak się to robi. Ot, zamieszczasz między słowami w swoich wpisach pochwałę jakiegoś suplementu, wrzucasz fotkę: ty na plaży, w majtkach, plus nagi tors faceta, nie widzimy jego twarzy, a z boku pudełko po nowym odpowiedniku viagry.

Właściwie to już nawet miałam to przed oczami. Ja w bikini w szafirowym kolorze, no, może chudsza o pięć kilogramów. Rozpuszczone włosy, chyba musiałabym je najpierw trochę rozjaśnić, może nawet zdecydowałabym się na balejaż, żeby robiły się ładne refleksy na słońcu. Leżę z wypiętym biustem, a obok

tors Konstantego. Ale dlaczego miałyby to być reklama jakiejś badziewnej próbki leku na erekcję?

— Claudynko! — Wybuchnęłam śmiechem. — Mój ty strategu, to się nawet dobrze składa, mogłybyśmy przy okazji wypromować twoje hipernowoczesne majtki — zaproponowałam.

— To nie taki zły pomysł... — przytaknęła pojednawczo Claudynka, lecz po chwili dodała już poważniejszym tonem: — Lukrusiu, chodzi tylko o to, że jak się ma, tak jak ty, zainfekowaną podświadomość programem pt. Idealizacja Facetów, to trzeba trzymać się podstawowej zasady.

— Której tym razem? — Westchnęłam.

— Szybka weryfikacja. To twój najlepszy środek zapobiegania bólu — odpowiedziała kategorycznym tonem.

Właśnie taka była. Gardziła konwenansem. Nie grzeszyła taktem. Zawsze do bólu szczerą, przenikliwą do szpiku kości, podejrzliwą, krytyczną, a jednocześnie dobrą jak anioł. Przez lata przyjaźni nieraz doświadczyłam przykrego nakłucia jej ostrym językiem, a jednocześnie zawsze czułam się przy niej bezpieczna i zaopiekowana. Tajemnicze tropy, którymi wędrował analityczny umysł Claudynki, często mnie zaskakiwały, czasem wzburzały, ale dziwnym trafem zazwyczaj, wcześniej czy później, byłam gotowa przyznać jej rację. Była świetnym psychologiem, jej wrodzona intuicja i chłonny umysł, którym pożerała poradniki psychologiczne, sprawiały, że po chwili rozmowy z kimś potrafiła wyłapać jego słabości. Nie znam kobiety, która z taką prędkością umiałaby rozszyfrowywać męskie gierki. Jediną jej wadą było to, że zdarzało jej się, jeszcze zanim kogoś dobrze poznała, rozważać na głos najgorsze scenariusze rzeczywistości. Czerpała z tego jakąś dziwną przyjemność.

\*\*\*

Założyłam psu obrożę i korzystając z chwilowego przejaśnienia, wyszłam z nim na spacer. Rześki powiew wiatru sugerował raczej czas kwietniowego rozkwitu drzew niż typowy dla pierwszych czerwcowych dni, czający się w powietrzu posmak owocowej słodyczy. U straganiarki na placu Zbawiciela różowiły się rozkwitające piwonie. Nie mogłam się oprzeć. Kupiłam cały bukiet. Przypomniałam sobie, że rok temu w noc świętojańską rzucałyśmy z Claudynką wianki, uplecione właśnie z piwonii, wykrzykując życzenia, by nasze życie wywróciło się do góry nogami. A jeśli rzeczywiście mózg nie odróżnia marzeń od prawdy? Wyobrażasz sobie, że masz coś, co chciałabyś dostać. A kiedy już to czujesz, działasz tak, jakby to było twoje. Nie mogłam uwierzyć, jak bardzo w ciągu tego roku zmieniłam bieg mojego losu. Przyglądałam się peoniom niczym tajemnym inspiratorkom tych zmian. Noszą w sobie dziwny symbol nieskończoności, procesu odradzającego się życia w kolejnych warstwach płatków,

które wciąż się rozsuwają. Nawet gdy kwiaty zaczynają już przekwitać, nie można zajrzeć do środka. Zupełnie jakby do końca chciały skrywać tajemnicę swojego wnętrza, na przekór współczesnym trendom obnażania wszystkiego, co się da, na facebookowych ściankach i instagramach. Może z powodu tej tajemnicy wydawały mi się trafny obrazem prawdziwej miłości. Do tego jeszcze tak nęcąco pachniały. Pamiętam je z dzieciństwa. Latem matka stawiała peonie w kryształowym wazonie na kuchennym stole. Do ich koloru dobierała obrus. Miały w sobie coś odświętnego.

Na targu warzywnym było pustawo. Kupiłam u mojego ulubionego Pana Ziółko sałaty. Miał najlepsze w mieście. Wybrałam cały zestaw: pachnącą rozszponkę, moje ulubione bordowolistne radicchio i pieprzowo-chrzanową w smaku rukolę. Znalazłam nawet rzadko spotykaną endywię o wąskich ząbkowanych listkach, z lekką goryczką w środku. No i boskie zioła. Cytrynowy tymianek, aromatyczna mięta, świeży rozmaryn, kolendra. Rozkosz. Jeszcze kwiaty cukinii, cebula cukrowa, malinowe pomidory — krągłe i pachnące jak boginie sezonu. Obładowana ruszyłam do wyjścia. Zanim opuściliśmy bazar, Dolcevito zaczął podskakiwać i kręcić łbem, pewien, że będziemy wracać naszą ulubioną trasą przez Pole Mokotowskie. Uwielbiał to. Z domowego wiercipięty przeobrażał się tam w mgnieniu oka w duszę psiego towarzystwa i zaczepiał, kogo się dało. Werka żartowała, że z każdym tygodniem Dolcevito staje się coraz bardziej do mnie podobny. Nie dociekałam, co ma na myśli, ale rzeczywiście miałam wrażenie, że ten śmieszny buldożek rozumie mnie bez słów.

Szansa na uzupełnienie witaminy D była żadna, ale rześkość powietrza przyjemnie łaskotała twarz. Mijały nas prawie wyłącznie młode dziewczyny z wózkami. Co druga z nich była w kolejnej ciąży. Zdałam sobie sprawę, że niektóre mogłyby być moimi córkami, i poczułam nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Czy to możliwe, że jestem już w wieku, w którym kobiety zostają babkami? Dałabym sobie głowę uciąć, że w Mediolanie na kilometr kwadratowy przypada dziesięć razy mniej kobiet w ciąży niż w Warszawie. Odkąd tu przyjechałam, gdzie nie pójde, tam zaokrąglone brzuchy. Claudynka twierdzi, że każdy nasz lęk chce być zauważony. Może widzę u wszystkich to, czego ciągle nie mam?

Strząsnęłam z oka jakiś paproch. A jeśli to już babie lato, przedwczesna nic przędna pająka, który wyszedł przed szereg, nie czekając na wrześnie dni?

— Piesek dziś podenerwowany, już czuje, co się święci. Wcale mu się nie dziwię, ja też całą noc nie spałam — zagadnęła mnie starsza pani, którą często tu widuję z jazgotliwym białym pudelkiem.

— Dzień dobry. Zapowiadali jakąś burzę?

— Żeby tylko burzę. — Ożywiła się staruszka. — Od dzisiaj nad Ziemią oddziaływania jonosferyczne. Coś strasznego, może potrwać z tydzień.



— Grożą nam błyskawice? — Uśmiechnęłam się.

— Błyskawice to pikuś. — Machnęła ręką i zaczęła rozglądać się kontrolnie za swoim psem.

— Będą wichury?

— Proszę pani, będą takie oddziaływania magnetyczne, że się ziemia może zatrzęść.

— O, trochę poruszenia nie zaszkodzi.

— To nie są żarty, droga pani. Wulkany się mogą ruszyć, przy takim oddziaływaniu zawsze powstają wstrząsy sejsmiczne. Naprawdę, bez tragedii się nie obejdzie.

— No to szczęście, że przynajmniej nie mamy w Śródmieściu żadnego wulkanu — powiedziałam, z nadzieją na ukrócenie katastroficznego wątku.

— Pani się w ogóle nie orientuje w rzeczywistości. To są takie ładunki, że wszystko się może zdarzyć. Ataki terrorystyczne, zamachy, spadające samoloty, karambole na drogach, naprawdę najgorsze zło jest możliwe.

— Ale wcale nie musi tak być, więc może lepiej... — nieśmiało próbowałam przerwać wywód.

— Ja już nie mówię o skali zawałów, udarów mózgów i drobnych stłuczek. Najgorsze, że z ludzi wychodzą wtedy ich mroczne strony, żądze, szaleństwa, agresja.

— To może niech pani przez ten czas na wszelki wypadek nie wychodzi z domu? — Chciałam się od niej uwolnić, a jednocześnie nie miałam odwagi tak po prostu jej zostawić z tym mętlikiem w głowie.

— Co ja mogę? Komórki nie odbierać, żeby nie ściągnąć na głowę ładunku. A i tak mi ktoś w okno kamieniem walnie i po mnie. Przed mrokiem nie ma ucieczki, będzie, co ma być, wola boża.

Na szczęście zadzwieczał SMS. Idealny pretekst, by wymknąć się z opresji przedłużającego się monologu. Sięgnęłam po telefon, ale zatrzymałam dłoń. A jeśli to Konstanty, który chce odwołać nasze wieczorne spotkanie, bo właśnie za sprawą oddziaływania magnetycznego coś się przydarzyło jego córeczce? Nieprzyjemny dreszcz przeszedł po moim ciele, od miednicy w górę. Wsunęłam telefon z powrotem do kieszeni, nie patrząc nawet na ekran. Pożegnałam staruszkę, zawołałam Dolcevita, który rzeczywiście wydawał się jakiś rozdrażniony, i ruszyliśmy w stronę domu. Niebo zupełnie pociemniało. Przyspieszyłam kroku, ale i tak na wysokości Mokotowskiej dopadł nas deszcz. Ulica była opustoszała. Zaczęłam biec. Dolcevito pędził, zataczając koła. Nagle rozjeżdżająca się w mokrym sandale stopa poślizgnęła się. Upadłam jak długa, warzywa wysypały się z torby. Pomidory sturlały się z krawężnika do kałuży. Mokra i ubłocona zaczęłam je zbierać.

\*\*\*

*Uno, due, tre...* Po serii głębokich wdechów i wydechów, które wykonałam zaraz po wyjściu spod gorącego prysznica, zaparzyłam imbirową herbatę i zajęłam się robieniem sałaty z pigwą na lunch. Melodia przeciągającego się deszczu brzmiała jak akompaniament. Włożyłam do piekarnika pomidory oprószone ziołami. Nastawiając termostat, usłyszałam dźwięk SMS-a. Przypomniałam sobie o tym nieprzeczytanym.

*Wylicytowana na Allegro monstera do odbioru osobistego w naszym magazynie. Wejście przez pasaż sukni ślubnych, otwarte dziś do godziny 19.00*

— informował ten pierwszy. W drugim firma kurierska anonsowała, że jutro dostanę zamówione książki. Podziękowałam opatrności za ochronę i pomyślałam z czułością o staruszce spotkanej na spacerze. Ocalona od apokaliptycznych eksplozji, jeśli nie liczyć otartego kolana, zabrałam się za opracowywanie programu na kolejne warsztaty. Dolcevitto ułożył się u moich stóp i po chwili słyhać już było jego miarowy oddech. Próbowałam się skupić, ale nie szło mi najlepiej. Może rzeczywiście trwa jakieś pulsowanie fal nad Ziemią? Nonsens! Weszłam na blog. Zaroilo się od lajków, znów przybyło komentarzy. *Czy można zrobić chłodnik z agrestu? — pyta pani Krystyna. Proponuję zagotować pół kilograma dojrzałego agrestu, dodać pięć owoców kiwi, odrobinę miodu i zmiksować.*

Nie minął kwadrans, gdy poczułam nieprzyjemny zapach z sypialni. Pies spał spokojnie pod stołem. Kolejny podmuch wiatru wzmocnił niemiłe wrażenie. Zajrzałam do sypialni.

Kicusz leżał skulony w kłębek i ciężko oddychał. Obok była kałuża wymiocin. Wyglądał naprawdę marnie. Poglaskałam jego łepkę, potem łapkę. Nie reagował. Ułożyłam go na poduszce. Był kompletnie bezwładny. Sprzątnęłam pospiesznie odchody i spanikowana wybrałam numer telefonu matki. W ostatniej chwili cofnęłam palec znad słuchawki. Poczułam pot na plecach. Zamówiłam taksówkę i wygooglowałam najbliższe pogotowie weterynaryjne. Zapakowałam kota w koszyk podróżny. Narzucając płaszcz przeciwdeszczowy, wybiegłam z domu.

W klinice czekał jakiś pan z jamnikiem i młoda para z kotem na oko trzy razy zdrowszym od Kicusia. Śmierdziało środkami chemicznymi. Nie mogłam znieść tego odoru, wdzierał się przez pory skóry aż do trzewi. Przebierałam nogami, a Kicusz coraz ciężiej oddychał. Minuty dłużyły się w nieskończoność. Gładziłam jego małą główkę, drugą ręką ogrzewając mu brzuch. W końcu weszliśmy do gabinetu. Weterynarz długo go badał w milczeniu, zrobił prześwietlenie i wykrzywił usta.

— Będę rznąć! — zawyrokował.

— Co rznąć? — Zbladłam.

— Nie panią, kota! — Zaśmiał się całym sobą przysadzisty łysielec, w którego ręce oddałam biednego Kicusia.

— A nie można przepłukać mu żołądka czy coś takiego? — spytałam błagalnie.

— Jest ostry sajgon w brzuchu, trzeba rznąć, i to szybko.

— Niech pan zaczeka. Trzy minuty! — jęknęłam.

Wybiegłam na korytarz. Przerazona tym, co usłyszę, wyszukałam numer telefonu do matki. Nie odbierała. Nie miałam wyboru. Zdecydowałam więc, żeby zaczynali operację. Czułam, jak kolejne strużki potu suną mi między piersiami. Jak zaciska mi się brzuch. Siedziałam otępiała, patrząc na wiszące na ścianie zdjęcia psów i kotów. Dlaczego oprawili je w takie czarne ramki, nikomu nie przyszło do głowy, że to się źle kojarzy? Czy łysielec właśnie wyciąga Kicusowi jakiś organ z trzewi? A może on coś połknął i muszą tylko znaleźć ten element? Nie mogłam powstrzymać łęku i trzęsących się kolan. Co za idiota wymyślił, że cierpienia wzmacniają ludzi? Mocni ludzie po prostu lepiej je znoszą.

— Dochodzi do siebie, ale to potrwa. — Weterynarz wreszcie wyszedł z sali zabiegowej.

— Czy już możemy wracać do domu? — Poderwałam się raptownie z krzesła.

— Pani tak, kot nie.

— Jak to?

— Zostawimy go tu na noc, żeby monitorować, czy jelita zaczęły pracować — oznajmił stanowczo.

— Przecież i tak będzie tu sam.

— Nie sam, z nami. Proszę przyjechać jutro rano.

Ten jeszcze kilka dni temu nieznany mi Kicus teraz w swoim nieszczęściu wydał mi się tak bliski, jakby towarzyszył mi od zawsze. Czy to dlatego, że wszyscy jesteśmy jak drzewa połączone wspólnymi korzeniami? Czy wprost przeciwnie, tak bardzo czujemy się osobni, że lgniemy do każdej żywej istoty, która okaże nam jakieś zainteresowanie?

Kot spał nafaszerowany lekami. Pocałowałam go na odchodne. Ani drgnął. Weterynarz przeniósł go do sąsiedniego pomieszczenia i kazał zadzwonić rano. Nie wiedziałam, gdzie się podziać. Dlaczego matka nie raczyła mnie uprzedzić, że jego jelita są w tak katastrofalnym stanie? Przecież musieli wiedzieć, że kot jest bardzo chory. Zdecydowałam, że pojedę odebrać kwiat. Może chociaż to poprawi mi nastrój?

\*\*\*

Suknie w pasażu były wyjątkowo obrzydliwe. Kto to kupuje? Nie wyobrażam sobie, żebym mogła się wystroić w takie koronkowe bezy na własny

ślub. Wolałabym jakąś subtelną zwiewność, jedna warstwa dopasowana, blisko ciała, krócej, druga prześwitująca, wirowałaby na wietrze, gdy wysiadziemy z auta. A może lepiej z łódki, którą dobijemy do brzegu. Żadnych welonów, ewentualnie subtelny wianek, może jaskry albo bladuróżowe eustomy. Konstanty mógłby mieć smoking, pytanie tylko, czy biały to już przesada. A mucha w jakimś pastelowym odcieniu. Najlepiej w kolorze mojego wianka.

Ochryple „dzień dobry” kwiciarza przerwało te mrzonki. Monstera okazała się większa, niż się spodziewałam, i jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Była zachwycająca. Tyle tylko, że nie bardzo umiałam ją pochwycić. Sprzedawca podwiązał roślinę wstążką, co ułatwiło transport. Deszcz na szczęście już tylko lekko kropił, więc zaryzykowałam przeniesienie jej na piechotę. Musiałam wyglądać komicznie, drepcząc przez Śródmieście z tym monstrualnym tworem, z kolanem zalepionym plastrem po wcześniejszym upadku i kompletnie potarganymi włosami. Ale odwracające się co jakiś czas za mną spojrzenia były mi zupełnie obojętne. Modliłam się tylko, żeby donieść monstere w całości i położyć się na łóżku.

— Cóż za spotkanie — usłyszałam, czekając na zielone światło przy przejściu dla pieszych.

Zaskoczona odwróciłam się w lewą stronę. Z czerwonego auta wysunęła się głowa mężczyzny. Miałam najwyraźniej zaćmienie umysłu, bo przez dobrą chwilę wpatrywałam się w zarys jego twarzy i nie umiałam dostrzec w niej właściciela.

— Wracasz z rajy z tym drzewem? — Mężczyzna rzucił kolejne pytanie, a ja dopiero teraz rozpoznałam w tym łagodnym uśmiechu tajemniczego wyznawcę vegetarianizmu, którego poznałam kilka dni temu na przyjęciu u klienta Wery.

— Raczej go szukam, a na wypadek, gdyby raj był pusty, noszę przy sobie własne drzewo — zawołałam.

— W rajy zawsze czeka to, co jest w nas. Jak masz w środku światło, to w rajy będzie słońce — krzyknął znajomy-nieznajomy. — Powodzenia! — dorzucił, naciskając pedał gazu, bo zmieniło się światło i klakson z tyłu dał mu to właśnie do zrozumienia.

— Nawzajem. — Pomachałam mu ręką, bardziej niż pewna, że mój głos utonął w odgłosie ulicznych aut.

Monstera wydała mi się lżejsza. Może sprawił to majaczący już na widnokręgu kontur mojej ulicy, a może to ja nabrałam nowych sił po tej energetyzującej wymianie zdań z kimś, o kim zupełnie nic nie wiedziałam ponad to, że nie mógł z pewnością być jednym z tych zepsutych prawników i bankowców, którym Wera pośredniczyła przy zakupie i sprzedaży domów. Dopiero kiedy postawiłam kwiat na podłodze salonu, poczułam zmęczenie. Padłam na łóżko i tęsknie pomyślałam o przytulającym fotelu, który sprawiła sobie Kaludynka. Jeszcze parę godzin temu brzmiało to śmiesznie, ale teraz jego obraz dryfował mi

przed oczami niczym łądz ocalenia, a co najmniej najwspanialszy wynalazek ludzkości.

Musiałam na moment przysnąć. Ocknęłam się na dźwięk telefonu. Zawahałam się, ale nie odważyłam się podnieść słuchawki. Nie miałam siły odeprzeć nieuniknionego ataku matki, który nastąpi, gdy powiem jej, że Kicusz przeszedł operację. Zdecydowałam, że oddzwonię jutro, kiedy zwierzak już spokojnie wróci do siebie, a ja przywiozę go do domu.

Ustawiłam monsterę na tle lewego skrzydła drzwi balkonowych. Nie mogłam oderwać wzroku od jej bajecznych liści w kształcie ponacinanych serc. Przyćmiła swoją urodą pozostałe rośliny w pokoju. Nawet mojego ulubieńca — fikusa benjamina. Zaczęłam przestawiać kwiaty na drugą ścianę, żeby nie zabrakło im światła w cieniu mojego nowego rajskiego drzewa, które z zaciekawieniem obwąchiwał właśnie Dolcevitto. Monstera działała kojąco. Czułam dziwne poruszenie. Coś mnie tknęło i kliknęłam w chińską przepowiednię. Wypadł heksagram 24: *Powrót. Ziemia na górze. Piorun na dole. Problemy miną i znów będzie tak, jak dawniej. Twoje nadzieje i marzenia spełnią się, jeśli będziesz cierpliwy i zaufasz odpowiedniej osobie.*

Poczułam się jak w raju. Chwyciłam za telefon.

*Bella, jak życie? Ja dziś randkuję z Konstantym, przyjdź jutro zakochać się w mojej nowej monsterze. PS Kim był ten jegomość z przyjęcia na Francuskiej niepasujący do innych?*

— napisałam do Wery i poszłam pod prysznic, żeby niespiesznie przygotować się na wieczór z Konstantym. Ten pierwszy, który miał realną szansę przedłużyć się do śniadania. Nie istniał chyba żaden inny logiczny powód, by w czerwcowy wieczór, w mieście, które zbikowało na punkcie gastronomii, proponować dziewczynie wspólne oglądanie serialu w domowym zaciszu? Wyobraziłam sobie zapach jego skóry. Delikatne ruchy dłoni, które szybko zaczną zmieniać tempo. Wspólną kąpiel o poranku albo chociaż prysznic we dwoje z jakimś drzewnym akcentem zapachowym. Dotknęłam dłońmi swoich piersi, pieściłam je delikatnie, zataczając koła. Przypomniałam sobie — choć nie pamiętam, skąd to wiedziałam — że kiedy jesteśmy embrionami, tkanka dłoni jest połączona z tkanką serca. Dlatego potem tak silnie reagujemy na dotyk. Dlatego dotykając, wysyłamy energię serca w te miejsca, które znajdują się pod naszymi palcami. Tymczasem wybrałam dla swojej skóry mydlane odkrycie sprzed kilku dni. Tłoczona na zimno kompozycja z oleju konopnego, esencji drzewa herbacianego, paczuli, sosny, geranium i drobinek galki muszkatołowej. Zostawiała skórę gładką jak alabaster. Jej urzekający zapach przenikał przez tak głębokie warstwy, że może docierał nawet do pulsującej w żyłach krwi. Pasował do jego wyszukanych perfum.

Czarna mini wydawała się trochę zbyt ostentacyjnym wyborem wobec

perspektywy empatycznego cienia Hannibala. Pomyślałam o ołówkowej spódnicy w kolorze grafitu. Może zestawić ją z czerwoną, lekko prześwitującą bluzką? Tylko czy to nie będzie za sztywne? Dylemat rozwiązał się sam, gdy wsunęłam na siebie szykowną grafitówkę. Nie wierzyłam własnym oczom. Kiedy to się stało? W ostatnich dwóch tygodniach? Rzeczywiście tak się wkręciłam w te warsztaty kulinarne, że opuściłam się trochę w jodze i przestałam chodzić na orgazmiczny pilates, ale żeby aż tak szybko pojawiły się te żalosne konsekwencje? Tuż nad linią bioder wyczułam powrót baleroników, jeszcze nie tak okazałych, jak to bywało w przeszłości, ale już jak najbardziej odstających. Zdołowana odkryciem zdecydowałam się na rozszerzaną zielonkawą sukienkę, która świetnie kryła nadprogramowe dwa, a może trzy kilogramy, jednocześnie seksownie odsłaniając jedną z kości obojczyka i kawałek ramienia. Łagodny ruch zsuniętej z ramion falbany jak esencja kobiecości falował nad światem, przypominając o wciąż toczącej się grze między tym, co kobiece, a tym, co męskie. Może falbany z takim impetem wróciły w tym sezonie do łask, bo świat, pogrążony w kryzysie męskości, poprzez płynne i falujące formy próbował obudzić mężczyzn z drzemki?

Darowałam sobie wkładanie dyżurnego zestawu najbardziej wyrafinowanej bielizny, jaką posiadam. Już kilka razy ten cały Provocateur przyniósł mi pecha, nie chciałam znów ryzykować. Ulokowałam nadzieję w klasyku gatunku, białej bardotce, która przynajmniej nie robiła sfałdowanej tragedii z moich dodatkowych kilogramów. Podkreśliłam włosy, wzmocniłam odcień brwi, wywinęłam rzęsy i z niedowierzaniem stwierdziłam, że jestem gotowa pół godziny przed czasem. Zapakowałam prezent dla Konstantego. Pachnący likier alasz, który specjalnie dla niego zrobiłam. Zamówiłam taksówkę, nalałam sobie kieliszek valpolicelli i rozsiadłam się naprzeciwko monstery. Rozłożysta, ze swoimi powyginanymi pędami, wyglądała dziko i pięknie. Z Konstantym będziemy mieli oranżerię, rozmarzyłam się. Po pierwsze monstera, duże fikusy, palmy i cała kolekcja moich ulubionych sukulentów. Strzeliste agawy, wyrosnięte aloesy, mięsiste awonie pokryte srebrzystymi łuskami, afrykańskie cotyledony z niebieszczącymi się krawędziami pofalowanych liści, różowawe aeonia z liśćmi układającymi się w kolorowe rozety. Kilka gruboszowatych, bo podobno przynoszą szczęście rodzinie. Odplynęłam.

Podróż po wyobrażonej oranżerii przerwał telefon. Wstrzymałam dłoń. Wzięłam głębszy oddech i patrząc na wyświetlacz, wypuściłam powietrze z ulgą. To nie Konstanty z jakąś bombą pod hasłem „nieoczekiwana opieka nad córeczką”. Żaden obco brzmiący numer nie robił na mnie wrażenia. Po wszystkich przejściach dnia czułam już taki spokój, że byłam gotowa nawet na ewentualny urząd statystyczny z ankietą na temat szczęścia kobiet w średnim wieku. No... może niekoniecznie w średnim. Powiedzmy — kobiet, które weszły w fazę świadomości siebie.

— Halo! — rzuciłam do słuchawki, rozkoszując się posmakiem wina, i zawiesiłam stopy na ramieniu fotela.

Najpierw poczułam, jak zaciska mi się żołądek, a zaraz potem, jak straszne ciśnienie, gdzieś u styku czaszki z szyją, roznosi się po całej mojej głowie. Jakby chciało ją rozsadzić, a zaraz potem wylać całą ciecz z organizmu jak wulkaniczną lawę. Po chwili wcisnęło mnie w fotel, a słowa, które płynęły ze słuchawki, brzmiały jak zniekształcone. Nie byłam pewna, czy chwytam ich sens. Płynęły jak ze zwolnionej taśmy. Nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Kiedy odłożyłam słuchawkę, byłam cała mokra. Jak to możliwe, tak nagle? Czy gdybym baczniej go obserwowała już wczoraj, wszystko potoczyłoby się inaczej?

*Konstanty, wybacz, że w ostatniej chwili, ale nie przyjadę, właśnie umarł kot mojej matki, muszę to przetrwać.*

Wysłałam SMS i rozplakałam się jak dziecko. Dolcevito przyczłapał do mnie zdezorientowany i polizał mnie po rękę. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że to się stało. Kiedy wychodziłam z kliniki, przecież już wracał do siebie. Jeszcze wczoraj kręcił się między moimi stopami. A może to było przedwczoraj? Może wczoraj właśnie był już jakiś nieswój. Pobiegłam do miski. Dziś prawie nic nie zjadł. Zaczęłam chodzić między kątami domu, jakbym chciała w nich znaleźć wytłumaczenie dla tego, co się stało.

Zadzwiećczał dzwonek SMS-a.

*Ten czuły dziwak to ekspert od gwiazd i milioner. Nie powiesz mi chyba, że o nim fantazjujesz? Na razie baw się dobrze ze swoim przystojniaczkiem i miej oko na Plutona, dziś szaleje na niebie w kwadraturze, może więc być gorąco! Lofka i do jutra.*

Nie miałam siły, by odpisać Werze. Mijały minuty, Konstanty milczał. Czulałam się tak podle, że nawet nie próbowałam dociekać, czy poczuł się wystawiony do wiatru i czy w ogóle jeszcze się odezwie. Siedziałam zaryczana na brzegu wanny. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę, jak dzwoni telefon. Ale to tylko w głowie zadzwiećczały mi słowa, które usłyszałam, stojąc na pasach: *W raju zawsze czeka to, co jest w nas...*

## ROZDZIAŁ 3

### *Tańcz z przeznaczeniem, ale nie czepiaj się brzucha*

Przetarłam oczy z niedowierzania. Słoneczne światło wypełniało po brzegi wnętrze sypialni. Monstera rzucała na ścianę obłądne cienie, wyglądały jak postacie z kreskówek. Za oknem świergotał ptak. Chyba nigdy jeszcze go tu nie słyszałam. Musiało być bardzo wcześnie. Lżejsza niż zasłona delikatnie kołysząca się na wietrze poszłam do łazienki. Na szyi, dłoniach, twarzy, wszędzie go czułam. Cyprysowy akord tonący w lekko żywicznej woni. A jeśli to wszystko było tylko kolejnym snem? W lustrzanym odbiciu przeżyła się stojąca w wazonie różowawa lilia od Konstantego, rozłożysta, pięknie rozwinięta, dokładnie taka, jakie lubię. Otulała słodkavo-duszną wonią całe mieszkanie. Gdy weszłam do pokoju, zatrzymałam wzrok na pistacjowych ciasteczkach, które przyniósł. Skąd wiedział, że mam bzika na punkcie pistacji? Może wyczytał to na moim blogu. A więc czyta go, chce być na bieżąco, zależy mu... Spojrzałam na zegarek. Było trzy godziny później, niż myślałam, dochodziła dziesiąta. Dopiero teraz odczułam pulsowanie w głowie. Wirowały w niej ładunki wczorajszych emocji. Odciski wyładowań magnetycznych, przez które przyszło mi balansować między miłością a śmiercią, upadkiem a obrazem rozkwitu. Wypiłam szklankę wody z łyżeczką soli himalajskiej. Nic lepiej nie nawadnia ciała i szybciej nie uwalnia głowy.

— Weruś, jesteś zajęta? — zadryndałam, czując, że muszę czym prędzej podzielić się z kimś częścią wypełniających mnie wrażeń, by odzyskać poczucie realności.

— *Ciao!* No jak się miewasz, były wyżyny?

— Było tornado, *bella*.

— Seksualne? No, wreszcie! Opowiadaj!

— Nie, seksu jako takiego nie było, ale...

— Łeee! — wybuczała mnie Werka. — Głosik masz dziwny. Tylko nie mów, że odwołał, bo zachorowała córka?

— Ja odwołałam, bo kot umarł.

— Co?!

— Może to przez tę kwadraturę Plutona. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

— Ale umarł metaforycznie, w sensie: odwiozłaś go matce, tak?

— Fizycznie umarł, ale nie na moich oczach — powiedziałam ciężkim głosem.

— Lukrusiu, czy ty się dobrze czujesz? — Zaniepokoiła się Wera. — Mów po kolei!

Sądząc z odgłosu jej szpilek stukających w chodnik z prędkością, którą chyba tylko ona potrafiła osiągnąć, pędząc na wysokościach ośmiu centymetrów,



Wera właśnie gnała na spotkanie. Nie byłam pewna, czy to dobry moment na serwowanie jej wybuchowej mieszanki wczorajszych przygód. Ale czy przywilejem przyjaźni nie jest właśnie ta wieczna gotowość do wzajemnego wysłuchiwania życiowych historii w najmniej odpowiedniej chwili?

— Zaczyna się tak: kot ma torsje. Jedziemy do weterynarza. Rozpruwają mu brzuch. Ja wracam. Kot zostaje. Wciskam się w spódnicę. Pojawiają się trudności.

— Z kotem?

— Na razie ze spódnicą. Niespodziewane podtycie. Szybka akcja, szersza sukienka, już prawie wychodzę, a kot umiera. Zupełnie nagle. No więc nie wychodzę. Zwała mnie z nóg. Odwołuję randkę. Konstanty milczy. Więc myślę, że już koniec. Że związek też runął. Wiesz, że wczoraj były straszne wyładowania?

— Gdzie?

— Nad Ziemią!

— *Bella*, co ty opowiadasz?

— Skup się, Wera. Mija dwadzieścia minut, nagle dzwonek.

— On? — Wera aż zwołniała.

— Mówi, że jest pod klatką. Chce wejść, żeby mnie przytulić w tej stracie.

— Ale właśnie: dlaczego kot umarł?

— Wysiadły mu jelita!

— A widzisz, czyli Claudynka miała rację, że jelita to nasz drugi mózg. On się pewnie zestresował rozłąką.

— Mógł mieć nawet długotrwałą depresję. Wiesz, jaka jest moja matka.

— Straszne, musimy czym prędzej zrobić kolonoskopię, Lukrusiu — wtrąciła naprawdę przejęta Wera. — Ale zaraz, on stoi pod tym domofonem, a ty?

— No, ja płaczę w łazience, ale go wpuszczam.

— Taka zapłakana?

— Nie analizuję, wpuszczam.

— Odważnie. Zupełnie jak w filmie.

— On z lilią i ciastkami.

— Rany boskie, ale romantyk!

— Wchodzi — zawiesiłam głos. — Żadnych zbędnych słów. Jak wojownik...

— Czyli jednak był seks?

— Nie. — Złapałam oddech. — Wszedł do domu. Po prostu mnie przytulił, bardzo mocno, czule, a potem piliśmy matchę.

— W sumie wołałabym, żeby jednak coś powiedział. W filmie byłby jakiś dialog.

— Daj spokój, Wera. Nie masz pojęcia, jaką siłę ma w takiej chwili prawdziwe męskie milczenie. Nigdy w życiu nie czułam się taka zaopiekowana. On ma totalną moc, taki spokój wewnętrzny — opowiadałam coraz bardziej

podeksytowana. — Jak wychodził, byłam w siódmym niebie.

— Ale dlaczego wyszedł? — zapytała zaskoczona Wera.

— A co miał zrobić?

— Tak normalnie, zostać...

— Wera, on jest na wyższym poziomie duchowym, rozumiesz to? — mówiłam przejęta. — Medytuje, ćwiczy oddechy, trenuje kyūdō.

— Lukrusiu... — zająknęła się Wera. — Ale ta medytacja i to kudo czy kujdo to chyba nie zamiast seksu, co?

Mkniemy zawsze w tę samą stronę. Jakbyśmy płynęły nurtem tej samej rzeki. I to jest piękne. Ale nawet w najbardziej zażyłej przyjaźni, w naszym siostrzeństwie, kobiecym bziku, obok setek telepatycznych ekscesów, dziesiątków aktów synchronizacji myśli i słów, zdarzają się momenty, w których odkrywam, że nagle mówimy innymi językami. Zgadza się co do tego, że seks jest kluczowy. Inaczej świat nie byłby podzielony na wgłębienia i wyrzuszenia. Na kobiety i mężczyzn. Ale dlaczego Wera nie bierze pod uwagę, że seks zaczyna się w głowie i rozgrywa w małych gestach, które popychają w stronę łóżka, choć czasem tańczą swój taniec obok niego, równoległe do innych czynności.

— Kyūdō! Wera, k-y-ū-d-ō! — przeliterowałam.

— A co to właściwie jest?

— Łucznictwo ceremonialne, wywodzi się z tradycji samurajskiej.

— O, madonno! To on naprawdę jest wojownikiem. — Podeksytowała się Wera.

— To sztuka szukania równowagi pomiędzy walką a filozofią zen. Wiesz, forma rozwoju duchowego.

— Duchowy, nie duchowy, facet z wielkim łukiem musi być sexy. — Zaśmiała się Wera.

— Podobno ma ponad dwa metry — powiedziałam z dumą. — Ale jeszcze nie widziałam.

— *Bella*, obyś zobaczyła ten wielki łuk, a zwłaszcza ten mniejszy. — Zaśmiała się. — Bo jeśli zawsze będzie wychodził od ciebie tak szybko jak wczoraj, to...

— Jesteś potworem! — Roześmiałam się. — Wczoraj wsparł mnie w bólu po odejściu kota. No, a następnym razem... Tylko pomyśl, pierwszy seks na stypie, to by nas straumatyzowało.

— Fakt... Ale to on ci tak to wyjaśnił? — Wera zwolniła kroku, a ja nie mogłam pojąć, dlaczego tak drąży ten wątek.

— No, nie wprost, dał mi to do zrozumienia. Weruś, ja naprawdę czuję, że to jest on, ten facet, na którego czekałam całe życie.

— A co powiedziała twoja matka?

— Nie mówiłam jej o Konstantym.

— Lukrusiu, pytam o kota.

Wbiło mnie w fotel. Na samą myśl o tym, że muszę odbyć tę rozmowę, zrobiło mi się zimno. Burze i wyładowania ziemskie były niczym wobec furii, w którą potrafiła wpaść moja matka wobec niesprzyjających okoliczności. Wyobraziłam sobie te wszystkie epitety, którymi mnie obrzuci, przypisując mi nieumyślne albo i umyślne dokonanie zbrodni na Kicusiu. Czekala mnie jeszcze wyprawa do kliniki i urządzenie pogrzebu. Kochana Wera zadeklarowała swoje towarzystwo. Pytanie, gdzie pogrzebać kota, nie dawało mi spokoju. Pomyślałam o tyłach świątyni Sybilli w Łazienkach, tej, przed którą stoi rzeźba „pępka świata”. Ale może jak na miejsce odpoczynku wiecznego jest trochę zbyt oblegane? Poza tym, jak wdrzeć się tam w nocy i wykopać dół? Zrobiło mi się gorąco. By przekierować myśli, zajrzałam do skrzynki mailowej. Pojawiły się nowe zapytania o kolejną kolację dla singli. Po tym, jak zamieściłam dwa tygodnie temu fotki dokumentujące wygląd stołu z pierwszej imprezy, popularność mojego bloga wzrosła dwukrotnie. Rekomendacje dwóch par, dla których poznanie się tego wieczoru przerodziło się w coś więcej, podbiły zainteresowanie ideą. A gdybym zrobiła kolejną kolację w noc świętojańską? Czy może istnieje doskonalsza data na poznanie miłości swojego życia? Poczulałam ten ekscytujący dreszcz w brzuchu, który zawiadamia, że dzieje się więcej, niż umiemy nazwać. Co jeśli nie znajdę tylu chętnych w ciągu kilkunastu dni? Julian, który poprzednio użyczył mi swojego wielkiego tarasu, wyjechał na dwa tygodnie do Ameryki. Zresztą nie miałabym odwagi znów korzystać z jego uprzejmości. Działać, czekać? Gdzie się ulokować? Żeby się nie nakręcać, kliknęłam I Ching. Wypadł heksagram 26: Ograniczona siła wielkiego. *Góra na górze. Niebo na dole. Spotkasz kogoś, kto okaże się większy i potężniejszy, niż wydawał się na pierwszy rzut oka. Spotkasz bratnią duszę, która zaprowadzi cię w bezpieczne miejsce.*

— Tylko spokojnie! — szepnęłam, uśmiechając się do siebie w lustrze. W kuchni wsypałam do miski dwie szklanki płatków jaglanych, kilka migdałów, łyżkę zmielonego siemienia lnianego, pół szklanki pestek słonecznika, kilka orzechów laskowych, trochę syropu klonowego, dwie łyżki oleju kokosowego, łyżeczkę cynamonu, utarłam trochę świeżego imbiru, odrobinę gałki muszkatołowej, do tego łyżeczkę sezamu i nieco soli. Wszystko wysypałam na blachę i wstawiłam na kwadrans do rozgrzanego piekarnika. W międzyczasie do osobnej miski wrzuciłam pół szklanki rodzynek i główną bohaterkę mojej granoli — szklankę pełną suszonej marchewki. Czekając na efekt, wycisnęłam sok z grejpfruta i napelniłam nim całą szklankę. *Vivat* życie! W taki boski dzień śniadanie mogło wyglądać tylko tak. Multiwitaminowo.

W oczekiwaniu na granolę robiłam sto skoków na skakance. Podlałam rośliny i lekka jak skrzydła kolibra wyciągnęłam blachę z piekarnika. Nałożyłam mieszankę do miseczki. Kiedy właśnie rozsiadałam się w fotelu, zadryndał

SMS. Konstanty pytał, jak się miewam. Wyczuł moment. Zupełnie jakby tu ze mną był, gotowy zasiąść przy stole. Rozpędzone myśli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zatrzymały się na chwilę, formując kształt mandali. W harmonijny sposób zaczęły oddziaływać jedna na drugą...

*Energia pulsuje jak po wypiciu morza płynnej multiwitaminy. Czyżbyś mi coś wczoraj dorzucił? Albo zapoluję na słońce, albo zrobię kolejny event kulinarny z szukaniem paproci w tle. Rozważam tylko, jakie jest prawdopodobieństwo porażki, gdy ma się do dyspozycji raptem dwa tygodnie. A jak ty się miewasz?*

Odpisałam mu, rozkoszując się śniadaniem. Zazdrosny Dolceviso, obwąchując mieszankę słodkawych zapachów, merdał ogonem. Wyraźnie domagał się należnych mu porannych głasków.

*Porażka nigdy nie jest totalna, a sukces wieczny, więc liczy się tylko odwaga! Działaj! Ja ćwiczę oddechy w korku na obwodnicy. Buziaki.*

Nawet jeśli gdzieś to wyczytał, i tak sto punktów za wstrzelenie się w moment. Jest boski! Prawie jakbyśmy jedli razem śniadanie. Ja i on. My i pies. To znaczy dwa psy. Mój i jego. A jeśli ten cały Grazus nie zaakceptuje Dolcevisa, przecież to też samiec? Dopiero teraz o tym pomyślałam. Zadzwoił telefon. Czyżby telepatia sięgała tak daleko? Też to poczuł i chciał się ze mną podzielić swoimi obawami? Konstanty, Konstanty, Konstanty, jak obłędnie brzmi to imię. Chwyciłam za słuchawkę, rzucając najseksowniejsze „halo”, jakie miałam w zestawie.

— Córeńko, jak tam? Jak nasz Kicus? — roztrajkotała się matka. — U nas bosko! Wyobraź sobie, że Miecio zabrał mnie wczoraj do nadzwyczajnych ogrodów, gdzie kwitły orchidee i anemony. Bajka, nie życie, mówię ci! — Westchnęła z takim zachwytem, jakby była na rauszu. — Jutro wycieczka kutrem na połów, ale nie wiem, czy się nie wycofać, bo dopakowali nam dwie grubawe Skandynawice, boję się, że zdekoncentrują Miecicia, no a wtedy po wycieczce. No i dochodzi jeszcze kwestia straszego nasłonecznienia na wodzie. Dbając o jakość mojej cery, muszę eliminować dłuższe pobyty na otwartej wodzie.

— Mamo, są przecież kremy z filtrem — bąknęłam, czując straszne napięcie u nasady głowy, a po chwili także w dolnej części pleców, dokładnie w tym rewirze, który zgodnie z instrukcjami Claudynki odpowiada za nasze poczucie bezpieczeństwa i zdolność przejęcia kontroli nad życiem.

— Daj spokój, to jest chemiczny szajs, nie tylko cerę niszczy, ale i zdrowie — ofuknęła mnie matka. — No, a jak ty, zakochałaś się w Kicusiu? Nie zdziwię się, to taki słodziak. *À propos*, czy ty masz pojęcie, że Miecio zaproponował, żebyśmy jesienią pojechali obejrzeć afrykańskie żyrafy? Bo, jak twierdzi Miecio, a on zna się na tym, żyrafy mają największe serca na świecie. Czy on nie jest romantyczny? Że też ty nie masz w ogóle szczęścia do mężczyzn, gdybyś tylko...

— Mamo, pierwszy lepszy wieloryb ma większe serce od największej żyrafy — przerwałam, z trudem powstrzymując się przed wydaniem z siebie dzikiego odgłosu.

— Córku, liczy się w proporcji do ciała. Tylko pomyśl. Gdyby żyrafy nie miały tak wielkich serc, jak mogłyby pompować przez taką długą szyję krew do mózgu? Logiczne chyba, co?

Nie pozwól, by twoje uczucia wymknęły się spod kontroli! Nie trać głowy, przyglądaj się sobie jak zewnętrzny obserwator... Wszystkie zdobyte na kursach samorozwoju afirmacje, użyte jednocześnie, nie były w stanie podczas rozmów z moją matką przywrócić mnie do stanu równowagi. Napięcie w głowie i w plecach przybierało na sile. Dołączyły bulgoty w brzuchu. Miednica — centrum kobiecego dowodzenia — w sposób szczególnie połączona z matką, jak zwykle wzięła na siebie cały ładunek. Już po chwili poczułam, jak zaciska mi się dolna część brzucha.

— Mamuś, dzwoni domofon, muszę kończyć, później się zdzwonimy, pa — wypaliłam i odłożyłam słuchawkę.

Przed oczami miałam słowa z SMS-a od Konstantego: *Porażka nigdy nie jest totalna, a sukces wieczny, więc liczy się tylko odwaga!* Dzięki nim zdobyłam się na tę brawurę. Siła jest w końcu niczym więcej, jak rezultatem ciągłego usuwania zewnętrznych pozorów i przekierowywaniem uwagi na to, co jest. Mój strach przed wybuchami matki to tylko nawyk umysłu. Ciało z przyzwyczajenia kurczy się ze strachu, reagując na pewne bodźce. Wyjmując z głowy ten zapis, uwolniłabym ciało od automatycznego produkowania przykrych emocji... Gdybym tylko potrafiła to zmienić.

Rozmyślenia przerwał mi dziwny odgłos syczenia. Coś jakby spryskiwacz trawnika. Brzmiałby nawet sensownie w czerwcowy dzień, gdyby nie to, że po wyjściu na balkon zobaczyłam, że znów się zachmurzyło i zbierało się na deszcz. Szum uszny to zabawny objaw stresu pourazowego, za jaki spokojnie można uznać każdą rozmowę z moją matką.

\*\*\*

Wera dała znak, że już podjeżdża, więc włożyłam czarny sweter, który wydał mi się stosowny na wyprawę do kostnicy, i zbiegłam na dół.

— Kochana, już wszystko sprawdziłam, zarezerwowałam kremację kotka na jutro rano, tak że teraz odbierzemy zwłoki — rzeczowo wyjaśniła mi Wera, gdy wsiadłam do jej samochodu.

— Ale gdzie on się podzieje przez noc?

— No, Lukrusiu, tylko takie były terminy, więc możemy poprosić weterynarza, żeby przechował kota do jutra.

— Ale on się nie zgodził, musimy odebrać Kicusia teraz — jęknęłam.

— No to po prostu poleży u ciebie przez noc, owinięty w prześcieradło, zapalimy świeczkę, no, a jutro będzie skremowany.

— A jak DolceVito go zje? — Przeraziłam się.

— Zwariowałaś? On nie jest kotożercą. — Oburzyła się Wera, ale patrząc na moją przerażoną minę, dodała: — Mogę wziąć psa do siebie na noc.

Wolałabym, żeby wzięła kota, ale powstrzymałam się z tą głupią uwagą. Byłam wdzięczna Werce, że wyrwała się między spotkaniami, żeby mi towarzyszyć.

Wszystko przebiegło ekspresowo, zupełnie jakby nie chodziło o odbiór zwłok, lecz wydanie recepty. Kiedy byliśmy już w drodze powrotnej, Konstanty przysłał SMS z propozycją pójścia razem na nocny targ rybny. Byłam w siódmym niebie. Do tego jeszcze Wera podekscytowała się pomysłem kolejnej kolacji dla singli.

— Wstaw ogłoszenie na blog, komponuj menu, które przyciągnie najgorętszych facetów w mieście i najśodsze laski pod słońcem. Zdasz!

— Ale co z miejscówką?

— *Bella*, nie zapominaj, że jestem pośredniczką w handlu nieruchomościami, coś wykombinujemy. Tylko zrób tę zajawkę.

— Nie pośredniczką, tylko królową.

— *Vivat* królowe! — krzyknęła Wera.

— *Vivat* my! — wrzasnęliśmy już jednocześnie przez uchylone okna pędzącego auta.

— „Znalezieni pod paprocią”? Co powiesz na taki tytuł imprezy? — zawołałam podniecona.

— Albo: „Uwiedzeni pod paprocią”? — wtórowała mi Wera.

— A może: „Zapyleni pod paprocią”? — Zaśmiałam się.

— To już ostro, ale szybciej zwabi potencjalnych facetów — powiedziała rozbawiona.

— A jak zabraknie facetów? Na razie z zapytaniami mailują głównie kobiety. Poza tym, wiesz, jest sezon przedwakacyjny. Interesujący rozwodnicy spalają teraz energię na przygotowania do wyjazdów z dziećmi i robią wszystko, żeby im wynagrodzić to przykre wspomnienie rozbicia rodziny, które najbardziej rzuca się w oczy w święta i podczas wakacji. — Posmutniałam nagle.

— Czyżby Konstanty właśnie przeszedł w tryb takiego planowania? — zapytała nieśmiało Wera.

— Przeczuwam, że to nadchodzi — szepnęłam.

— Ale są przesłanki, już coś przebąkuje?

— Nie, ale wiesz, ta jego córeczka, ona jest jego oczkiem w głowie, na pewno planuje...

— Lukrusiu, po co kraczesz — przerwała mi. — Puknij się w głowę. W jej

wieku jeździ się już na obozy z koleżankami, a nie ze starym pod namiot do Augustowa czy na turnus do Chorwacji.

— To dlaczego on mi nic nie proponuje?

— Może jeszcze o tym nie pomyślał — uspokajała mnie Wera. — Ma dużo pracy albo woli brać urlop we wrześniu. Sama mu zaproponuj jakieś morze albo coś.

— Zwariowałaś? To musi wyjść od niego. Przypominam ci ekscytujący wykład kabalistyczny, na którym byliśmy, ten o sukcesie w związkach. Mężczyzna jest kanałem dla światła, a kobieta naczyniem, które ma zostać tym światłem napełnione. To kanał zaczyna akcję, taka jest jego natura.

— *Bella*, czy nie był to ten sam wykład, na którym padło, że to kobieta odpowiada za sukces związku? — Wera uśmiechnęła się przekornie, rozglądając się za miejscem do zaparkowania pod moim domem. — Skoro to ty kontrolujesz dopływ tlenu do związku, musisz otwierać okna, żeby miał szansę wpaść.

— Wpaść? — Odpięłam pas, ale powstrzymałam się przed wysiadką z auta.

— Ten tlen, impuls, cokolwiek!

— Ale Konstanty nie potrzebuje impulsów, on jest wojownikiem.

— A nie łucznikiem?

— Jakbyś posłuchała, co on mówi, zrozumiałabyś...

— Lukrusiu, jak brzmiała zasada twojej ulubionej ciotki Aurelii? *Nigdy nie wierz słowom mężczyzny, obserwuj działanie!* — Zaśmiała się Wera, otwierając bagażnik.

\*\*\*

Dolcevito czuł, co się święci. Szczekał jak opętany, gdy wniosłyśmy owinięte w prześcieradło zwłoki kota. Dopiero teraz, stojąc z nimi na rękach na środku pokoju, poczułam zagubienie. Pies ujadał, a ja nie wiedziałam, gdzie ułożyć Kicusia.

— Wynieśmy ten koc na balkon i tam go położysz. Zamkniesz drzwi i Dolcevito się wyluzuje — zaproponowała przytomnie Wera.

— A jak przylecą ptaki? Może lepiej w sypialni?

— W sypialni zamknijmy psa, nie możesz mieć trupa tam, gdzie będziesz spała, zwariowałaś? — zaproponowała Wera.

Finalnie zrobiliśmy katafalk z dwóch krzeseł w salonie, przygotowaliśmy świecę i odpaliliśmy z YouTube'a *Don't cry for me Argentina*. Zaraz potem, w podniosłych nastrojach, przeniosłyśmy katafalk na balkon, osłaniając go jeszcze dodatkowym kocem. Dolcevito zachowywał się dziwnie, ale przestał już szczekać, nie było więc konieczności transportowania go na noc do przyjaciółki. Wera pobiegła na spotkanie z klientem, a ja po zaanonsowaniu na blogu i Fejsie eventu: „Miłość w paprociach” zajęłam się myśleniem o menu. W międzyczasie zeszkliłam

na gorącym oleju cebulę, dorzucając pietruszkę, marchew, seler i trochę cytrynowego tymianku. Umyłam dwa pęczki rzodkiewek, pokroiłam je w słupki i oddałam się rozkoszom gotowania rzodkiewkowej zupy. A może velouté z owoców morza jako danie główne na event świętojański? Wyobraziłam sobie lodową misę z zamrożonymi wewnątrz liśćmi paproci, w której będą pływały owoce mango na dużych liściach, obsypane ziarnami anyżku. Na samą myśl przyjemne ciepło rozlało się po moich żyłach, a ciało rozkołysało się w takt muzyki. A może zamiast owoców morza eskalopki ze szparagami? Za ciężkie. Może jednak ryba? Spojrzałam na paproć stojącą w cieniu monstery. Przypomniałam sobie tajemniczego mężczyznę, którego Wera nazwała czułym dziwakiem i ekspertem od gwiazd. Czy był singlem? Przydałby się taki oryginał na eventowej kolacji.

Tymczasem na blogu posypały się zapytania o szczegóły imprezy. Dwie osoby zadeklarowały już swój udział. Jeszcze dziesięć, dwanaście i sukces gwarantowany.

A może Wera ma rację, może mogłabym tak po prostu zasugerować Konstantemu, że wybieram się na kilka dni nad morze, i spytać, czy nie miałby ochoty pojechać ze mną?

Zupa z rzodkiewek była gotowa. Nałożyłam ją do miski i zrobiłam to, czego nie lubię najbardziej — z braku towarzystwa przy stole zaczęłam przeglądać wiadomości w laptopie. Konstanty nie używał Facebooka, było to imponujące, ale i pozbawiało mnie szansy na to, co Claudynka nazywała dostępem do szybkiej weryfikacji. Mogłam wiedzieć o nim tylko tyle, ile sam chciał mi dać. Dlaczego tak cedził mi te informacje? Owszem, znałam już jego pasję do japońskiego łucznictwa, ale wciąż nie miałam pojęcia, jakim biznesem się zajmuje. Kliknęłam przepowiednię I Ching. Wypadł heksagram 1: Niebiosa. *Niebo na górze. Niebo na dole. Przejmuj inicjatywę. Przejmij inicjatywę, wykonaj pierwszy krok. Masz wystarczająco dużo energii, aby działać i odnieść sukces.*

\*\*\*

Zabrałam buldożka na spacer. Na schodach kamienicy poczułam smugę przyjemnego zapachu. Fiołek, jakieś leśne drzewo, skóra. Piękne, intensywne. Musiał przed chwilą schodzić tędy jakiś subtelny mężczyzna — pomyślałam. Przy skrzynkach na listy zobaczyłam piękną trzydziestolatkę. Zero makijażu, gładka, zadbana skóra, prościuteńkie włosy w naturalnym kolorze ciemny blond. Miała na sobie rozszerzaną tunikę w geometryczne motywy. To ona tak pachniała. Może to wylosowany przed chwilą heksagram, a może nagle oczarowanie, w każdym razie coś dodało mi skrzydeł.

— Przepraszam, co to za perfumy? Niesamowita kompozycja przeciwieństw — zagadnęłam.



— Uwielbiam nosić je latem, właśnie dla kontrastu. Stworzono je, wyobrażając sobie pojedynek, który mógł się odbyć w mroźny styczniowy dzień na polanie w Petersburgu, pośród ośnieżonych drzew. Trochę fiołków, neroli, skóra męskich butów, dym ze strzelb.

— Piękne, takie niedzisiejsze.

— Jak marzenia współczesnych kobiet. — Uśmiechnęła się blondynka, a w kącikach jej ust i na linii bruzd nosowych pojawiły się zmarszczki. Dopiero teraz zobaczyłam, że mogła być czterdziestokilkulatką, tylko sprawiała wrażenie kobiety o dekadę młodziej.

— Mam na imię Patrycja, wygląda na to, że jesteśmy sąsiadkami. — Wyciągnęła do mnie rękę.

— Bardzo mi miło, Lukrecja, może wpadniesz do mnie na kawę? Wygląda na to, że obydwie kochamy zapachy — zaproponowałam.

\*\*\*

Słońce drobkami ciepła osuszało zawieszoną w powietrzu wilgoć. Niebo zdążyło się przejaśnić, zrobiło się przyjemnie ciepło. Czułam się jak wojowniczką, która ruszyła na podbój świata, szłam jeszcze szybciej niż zwykle i jeszcze bardziej niż zazwyczaj doceniałam urodę tej części miasta. U zbiegu Pięknej i Mokotowskiej, w miejscu dawnej włoskiej knajpy szykowali teraz coś nowego. Od kiedy tu mieszkam, to już trzeci nowy lokal w tej okolicy. W Mediolanie przez dziesięć lat nie otworzyło się tyle knajp, co tu w ciągu roku. Dynamika Warszawy zachwycała mnie, nawet jeśli dostawałam szalę w sklepach z ekologiczną żywnością czy perfumeriach, gdzie nieustannie przestawiali produkty na inne półki, by taki nieszczęśnik jak ja gubił się i nabywał mnóstwo dodatkowych rzeczy, nim odnajdzie te, po które przyszedł.

Obładowana olejami, nasionami chia, suszonym czystkiem, ostropestem i kilkoma zestawami superfood ruszyłam Kruczą na plac Zbawiciela. Białe mieczyki to było to, czego potrzebuje prawdziwa wojowniczką. Miały ponad metr. Wyglądały prowokująco. Przykuły spojrzenia wielu pochylonych w Charlotte nad winem par. Dolcevito biegał rozochocony, wchłaniając dziesiątki mieszających się na placu zapachów i co jakiś czas zerkając w moją stronę, jakby chciał się upewnić, czy idzie w dobrym kierunku.

\*\*\*

Naszło mnie na błękit. Może idea targu rybnego narzuciła to oceaniczne skojarzenie. W zwiewnej żorzetowej sukience wyglądałam świetnie. Nigdzie nic mi nie odstawało. Mogłam nawet nie wciągać brzucha, dając miednicy możliwość przyjemnego odprężenia na chwilę przed owulacją. Rozluźnienie w centrum kobiecości to wstęp do bycia taką, jaką się chce. Do wachania kwiatów, które się

lubi. Do odczuwania, wybierania, doświadczania. Do czucia rozkoszy.

Ułożyłam się na łóżku, uniosłam biodra, odczekałam pięć minut, opadłam. Zaczęłam bardzo powoli, mikroruchami zbliżać kolana do siebie. Drzenie rozchodziło się po całym ciele. Czułam je w brzuchu, na plecach, nawet w piersiach. Trwało to długo. Kiedy nogi dobiły ku sobie, kolana zetknęły się, przyjemny dreszcz rozkoszy rozlał się po całym ciele. Wibracja miednicy była jak orgazm. Czułam się tak, jakby to było to.

W lustrze zobaczyłam, jak lśnią mi oczy, skóra wokół nich wydawała się gładza, bruzdy nosowe jakby zniknęły. Ta między brwiami stała się niewidoczna. Kontur zuchwy był subtelniejszy. Pewnie to kwestia odprężenia szczęki. Twarz zdawała się świetlista. Może nie bez powodu Mr Berg, ten kabalista, który doradza gwiazdom popu, a ostatnio inspiruje także naszą Claudynkę, a za jej pośrednictwem Werę i mnie, radzi, by kochać zawsze swoje światło. Nawet, gdy z jakiegoś powodu chwilowo nie lubimy siebie, bo czujemy się puste, samotne lub niewłaściwe, możemy kochać światło, które jest w nas. Stałe, pewne i niezawodne. Miałam wrażenie, że to tajemnicze, nieuchwytnie światło właśnie wyszło na wierzch. Emanowało jakimś przyciągającym blaskiem na tyle wyraziście, że uwierzyłam, że jestem w stanie takim światłem przyciągnąć do siebie dowolny kanał, a zwłaszcza ten, którym musiało wędrować niesamowite światło Konstantego. Umalowałam jaskrawoczerwoną szminką usta, założyłam siedmiocentymetrowe obcasy i wybiegłam na spotkanie z mężczyzną, który był właśnie tym, o którego chodziło.

## ROZDZIAŁ 4

### *Kiedy nadciąga wodospad, nie myśl o odcieniach nocy*

Przy wejściu pachniało majerankiem, cytryną i owocami morza. Ale już na drugim straganie, i wszystkich kolejnych, królowały ryby. Konstanty przyglądał im się uważnie. Przy portugalskich zatrzymał się na dłużej i z zachwytem oglądał poszczególne filety.

— Lizbona to moja miłość — szepnęła. — Mieszkałem tam przez rok i od tego czasu kocham wszystko, co portugalskie.

— Odkąd obejrzałam *Lisbon story* Wendersa, ciągle marzę, żeby tam się wybrać, ale jeszcze nigdy nie dotarłam.

— Koniecznie! To najpiękniejsza stolica Europy. Czujesz w niej kres kontynentu i początek nieznanego świata. W szumie oceanu mieszają się odgłosy wielu języków i ras.

— Na pewno kiedyś tam pojedę.

— „Zawsze żyję w teraźniejszości. Przyszłości nie znam. Przeszłości już nie mam. Pierwsza nuży mnie jako ewentualność wszystkiego, druga jako rzeczywistość niczego” — zadeklamował, przybierając poważną minę.

— Piękne.

— To Pessoa. Kiedyś zaczytywałem się w nim bez końca. Ale wyrosłem z tak sentymentalnych lektur. Teraz wolę chłonąć to, co jest, próbować smaków. Portugalska kuchnia jest wspaniała. Te wina, które sączysz wieczorami na nabrzeżu...

— Musisz mnie tam zabrać. — Zaryzykowałam, korzystając ze sposobności.

— Ty byś tam oszalała — powiedział. — Wśród tych pachnących sardynek, pieczonych ośmiorniczek. Albo boskie rissóis de camarão — pierogi z krewetkami. Nigdzie indziej nie jadam pierogów, tylko tam. I małże Bulhão Pato.

— Pato to ziemniak? — Upewniłam się.

— Bulhão Pato to poeta, według jego przepisu przyrządza się małże z czosnkiem i kolendrą. No i jeszcze król portugalskich stołów — bacalhau.

— O! Spójrz, to chyba on. — Wskazałam na rządę dorodnych dorszy. — Może zrobimy sobie z niego dziś portugalską ucztę.

— Znakomicie! Świetny pomysł, obym tylko nie musiał być portugalskim kucharzem. — Zaśmiał się Konstanty. — To by mogło zabić w tobie miłość do portugalskiej kuchni, a może i tego kraju.

— W takim razie nasz portugalski król zostanie podany we włoskich szatach, ale na pewno nas nie zawiedzie — powiedziałam uwodzicielskim tonem.

Wybraliśmy pięknego dorsza, a potem jeszcze ośmiorniczki i filet z tuńczyka. Pod osłoną ciepłego wieczoru szliśmy piechotą przez ulice sennego

miasta, rozświetlane raz po raz błyskiem przejeżdżających aut i migotaniem restauracyjnych neonów. W szklanych plombach wieżowców przy Świętokrzyskiej odbijał się kontur naszych sylwetek, zlewając się w jedną zwartą plamę, która odzwierciedlała synchronizację rytmu naszych kroków. Byliśmy wspólni, w jakiś idealny sposób połączeni, zwracaliśmy uwagę na te same detale. Rozmowa płynęła tak naturalnie, jakbyśmy rozmawiali ze sobą od zawsze, jednocześnie pozostając w otwartości na to, co zaraz może nas zaskoczyć. Przyglądając się tym samym kadrom, wyłapywaliśmy niuanse, poszerzając sobie nawzajem spektrum odczuwania. Czułam się tak, jakbym zapomniała, kim wcześniej byłam, i uświadomiła sobie, po co tak naprawdę jestem. Z każdą chwilą odczuwałam większy głód dzielenia z Konstantym wszystkich kolejnych. Przypomniałam sobie heksagram, który wyciągnęłam niedawno z pytaniem, czy zaufać w pełni rozwojowi tej znajomości, czy zachować czujność, by znów nie zbudzić się z pełnego iluzji snu. Wypadł nr 35: Postęp. *Ogień na górze. Ziemia na dole. Odpocznij i ciesz się życiem. Wszystko ułoży się po twojej myśli. Bądź wierny swoim marzeniom i planom, a wszystko ci się uda.* Gdzieś z tyłu głowy dudniło mi teraz zdanie mediolańskiej wróżki: „Znajdziesz to, czego szukasz, jeśli przestaniesz szukać tego, czego nie potrzebujesz”. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułam taką jedność między tym, czego potrzebuję, a tym, co mam.

\*\*\*

Gdy weszliśmy na klatkę, znów poczułam piękny zapach perfum Patrycji. Musiała przechodzić tędy chwilę wcześniej. Dolcevito skakał na nasz widok jak oszalały. Być może zapach przyniesionych ryb zawrócił mu w nozdrzach.

— Jakie piękne miecze — zauważył Konstanty, patrząc na wazon z kwiatami.

— Tak, dziś dodawały mi mocy — przyznałam entuzjastycznie, rozpakowując ryby. — A jaki kwiat najbardziej przypomina twój łuk?

— Wyjątkowość mojego łuku może wykraczać poza możliwości znanych mi kwiatów — powiedział Konstanty prowokująco.

— Może otworzymy wino? — zaproponowałam, lekko zmieszana. — Niestety nie mam portugalskich, ale...

— Ale ja mam. — Uśmiechnął się Konstanty i sięgnął do torby, którą niósł na ramieniu.

Zdębiałam. Czy to możliwe, że nie zauważyłam, kiedy je nabył na targu? Przecież nie przechodziliśmy obok stoiska z winami. Czyżby zaplanował całą tę kolację wcześniej i przyniósł je ze sobą? Skąd wiedział, że go zaproszę? Totalny zachwyty mieszał się z zaskoczeniem. Jego zdolność myślenia strategicznego, wyprzedzania faktów była imponująca. Wstawiłam dorsza do piekarnika i nakryłam do stołu. Konstanty otworzył wino i sam wybrał kieliszki z półki.

Napełnił je.

— Za życie w terażniejszości, za tę chwilę — wznosił toast i stuknął mój kieliszek.

— Za miłą chwilę razem — dodałam.

— Oho, wszyscy chcą być tu i teraz. — Zaśmiał się Konstanty na widok Dolcevita, który zerwał się z posłania i zaczął ocierać się raz o jego nogi, raz o moje, zaznaczając swoją obecność.

— Tak, wiemy, wiemy, że to dzięki tobie się znamy. — Zaśmiałam się, tarmosząc buldożka.

— Zdrowie Dolcevita — tym razem ja wzniosłam toast.

— I Grazusa! — dorzucił Konstanty i patrząc mi w oczy, stuknął lekko mój kieliszek.

Poczułam, jak przesuwają się we mnie niewidoczne małe drobinki. Całe moje ciało poruszyło się, jakby chciało iść naprzód, ku stojącemu naprzeciwko mnie mężczyźnie. Gotowe na jego obecność, na jego ruch. Po miednicy rozeszło się przyjemne ciepło, a wewnętrzne słońce emitowało je do coraz dalszych komórek ciała. Patrzyłam w ciemne oczy Konstantego. W jego źrenicach odbijało się światło lampy. W nozdrzach wirowały mi żywiczno-cytrusowe akordy jego perfum, które przyjemnie wplątywały się w woń lilii dobiegającą z sypialni. Nagle poczułam, jak wdziera się w nie coraz gwałtowniej coś obcego.

— O rany, sos! — wrzasnęłam, czując palący się na patelni czosnek, i popędziłam do kuchni.

— Jeśli dorsz stracony, to mamy jeszcze tuńczyka! — zawołał wesoło Konstanty.

— Porażka nigdy nie jest totalna. — Zaśmiałam się, cytując jego słowa. — Na szczęście to tylko czosnek — dodałam i nie tracąc dobrego humoru, oczyściłam patelnię i rozgrzałam na niej nowy olej.

Dorsz pachniał fenomenalnie. Jego aromat wypełnił cały salon. Drugie podejście do sosu zakończyło się pomyślnie. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, jedząc wspólnie pierwszą przyrządzoną przeze mnie kolację. Kilka razy przez ostatnie dwa tygodnie komponowałam w głowie scenariusze, układałam wymyślne menu, wyobrażałam sobie, jaki będzie ten wieczór. A teraz on po prostu był, płynął, spontanicznie, bez planu.

Patrzyłam, jak pięknie jadł, powoli, delektując się każdym kęsem. Nie mogłam uwierzyć, że nawet w tym tempie mamy idealną zgodność. Już prawie chciałam zapytać, czy wierzy w przeznaczenie, ale zniecka w tle głowy zadźwięczał mi głos Claudynki, która ostatnio po powrocie z warsztatu „Uzdrawianie kobiecości” wyrecytowała mi i Werze instrukcję budzenia serca mężczyzny: „Pozwól, aby to on zaczął rozmowę, pozwól, by on pierwszy na ciebie spojrział, pozwól mu siebie szukać i znaleźć, nie przyspieszaj, bo w ten sposób

oddalasz się od swojego wewnętrznego światła”.

— A więc podjąłeś wyzwanie!

— Co masz na myśli? — zapytałam rozpalona, czując, że może zaraz padną słowa na temat naszej przyszłości, zaczynającej się od uroczych wakacji gdzieś na portugalskim wybrzeżu. — Pytasz o podróż do Lizbony? — zapytałam kokieteryjnie.

— Nie, zauważyłem, że opublikowałaś na blogu zaproszenie na kolację dla singli w noc świętojańską — wyjaśnił.

— Ach, tak! — starałam się ukryć kompletne zaskoczenie.

— Czy będę również zaproszony? — rzucił nieoczekiwanie, dolewając nam wina.

— A jesteś poszukującym pary singlem? — zapytałam z uśmiechem, który, miałam nadzieję, maskował moje zdumienie.

— Jestem wielbicielem twoich eventów. — Odbił piłeczkę.

— Ha ha, ale to kolacja dla tych, którzy chcą kogoś znaleźć, zablokowałbyś komuś miejsce. — Próbowałam delikatnie wybadać jego stanowisko w zasadniczej kwestii.

Jak każda zaawansowana w rozwoju osobistym nowoczesna reprezentantka płci pięknej wiem oczywiście, że jeśli dobra kobieta poślubi złego mężczyznę, to on wydobrzeje, ale jeśli zła kobieta poślubi dobrego — on zmarnieje. Bo jakość zależy od kobiety. Wiem również i to, że mężczyzna nie może być źródłem szczęścia swojej partnerki, ale czy to musi przeszkadzać mi w tej właśnie chwili pomyśleć, że byłoby miło, gdyby tak wyjątkowy mężczyzna, jakim jest Konstanty, wreszcie wyczuł, że to właściwa pora, żeby wyjść naprzeciw przeznaczeniu i zadeklarować coś kobiecie, którą to przeznaczenie mu zesłało?

— Kto szuka, i tak znajdzie. Co prawda nie zawsze to, czego pragnął. Znajdujemy to, czego potrzebuje nasza podświadomość. A my nie zawsze żyjemy z nią w zgodzie — powiedział nieoczekiwanie.

— Skąd wiesz?

— Wierzysz na przykład w to, że jakaś kobieta może mieć pecha do mężczyzn albo że jakiś mężczyzna może mieć pecha do kobiet? — brnął dalej.

— No, zdarza się — powiedziałam bez przekonania, niepewna, do czego Konstanty zmierza.

— Ha, no właśnie! Otóż pech nie istnieje. Wybieramy dokładnie tego, kogo potrzebujemy.

— Ale przyznasz, że czasem się mylimy we wstępnej ocenie — weszłam mu w zdanie.

— Właściwie nigdy! — Ożywił się. — Chodzi o to, że wyboru zawsze dokonuje podświadomość, a nasza świadomość niekoniecznie chce tego samego i po czasie się orientuje, że coś jej zgrzyta.

— Rządzą nami nasze instynkty i kiedy mija pierwsza burza emocji, umysł rozpoznaje, z kim mamy do czynienia, to normalne. — Zaśmiałam się.

— Rządzą nami skrypty, zapisane w naszym mózgu w okresie prenatalnym i we wczesnym dzieciństwie.

— Co masz na myśli?

— Zakazy i nakazy, które dawali nam rodzice, przeżywane we wczesnym dzieciństwie emocje — to programuje potrzeby naszej podświadomości. Według tego klucza potem odgrywamy nasze życiowe role — kontynuował wywód Konstany, jeszcze bardziej się ożywiając.

— Chcesz powiedzieć, że wszystkie kursy samorozwoju to strata czasu, bo i tak działamy z pozycji schematu z dzieciństwa? — zapytałam szczerze zaskoczona.

Wyglądało na to, że ten temat bardzo go ekscytuje. Zebrałam talerze po kolacji i wzięłam się za przygotowanie deseru — owoców z lodami pistacjowymi. Konstany rozlał resztkę wina do naszych kieliszków, zaproponowałam więc likier z pigwy. Zaczęłam podejrzewać, że istnieje jakiś głębszy powód, dla którego zrównoważony emocjonalnie, opanowany, ćwiczący japońskie łucznictwo, atrakcyjny mężczyzna aż tak się emocjonuje skryptami podświadomości.

— Większość kursów samorozwoju nie służy realnej zmianie życia na lepsze, ale chwilowej poprawie samopoczucia — zawyrokował Konstany. — Role, w których zostaliśmy obsadzeni, to część większego skryptu całej rodziny.

— No, no, radykalne stwierdzenie — powiedziałam najłagodniejszym tonem, na jaki było mnie stać w chwili, gdy przyszło mi zadać sobie pytanie o ewentualną bezowocność licznych procesów, które udoskonalały mnie przez ostatnich kilka lat.

— Nie da się w weekend zmienić własnych skryptów. Jeśli w dzieciństwie zapisano nam destrukcyjny schemat pt. „Bądź doskonały, bo nikt cię nie zaakceptuje” albo „Nie dorastaj, bo życie jest ciężkie”, zazwyczaj nawet nie zdajemy sobie sprawy, że ten program nami rządzi przez kolejne lata. Podświadomość faceta, który nie chce dorosnąć, wybierze mu partnerkę w typie jego mamy. Może go potem denerwować kobieta, która chce nim rządzić, ale nie mógł wybrać innej.

— Czyli nie wierzysz, że człowiek może się zmienić? — zapytałam, podając lody.

— Uwielbiam pistacjowe — skomentował i wrócił do przerwanej wątku: — Nie wszystkim się udaje. Zwłaszcza ci, którzy mieli trudne dzieciństwo, raczej trzymają się destrukcyjnych skryptów. Ale warto próbować, wytrwali osiągną swój cel. Jestem tego najlepszym dowodem.

— Czyżbyś miał za sobą długie lata terapii i zmieniania skryptów? — zagrałam *va banque*.

— Może nie długie, ale owszem, zanim zostałem coachem, przeszedłem terapię.

Butelka likieru omal nie wysunęła mi się z rąk. Czyli ten zrównoważony emocjonalnie, precyzyjny w komunikacji i opanowany w życiu ekscytujący mężczyzna nie jest biznesmenem, tylko coachem? Podejrzliwość Claudynki nigdy nie brała się znikąd. Naturalnie, że to lepsze niż jakiś mafiozo lub łowca głów, który chciałby ze mnie zrobić influencerkę dla potrzeb viagropodobnej tandety. Ale czy można czuć się bezpiecznie w towarzystwie mężczyzny, który pewnie cały czas analizuje ciebie, twoje słowa, twoją mowę ciała, by wykorzystać to do jakichś swoich technik perswazji, gdy tylko nadarzy się najlepsza ku temu okazja?

— A czy ty swoim coachowaniem możesz zmieniać ludziom podświadomość? — zapytałam najdelikatniej, jak umiałam.

— Coach niczego nie zmienia. To robi sam klient, ja mu tylko daję narzędzia i ułatwiam określenie celu oraz wytyczenie drogi dojścia — wyjaśnił rzeczowo Konstanty, wysuwając lekko język, by oblizać łyżeczkę. — Każdy z nas jest autorem swoich zmian, tak samo jak sukcesów czy niepowodzeń.

No, zaczyna się — pomyślałam. Oby zaraz się nie okazało, że zrzucenie pięciu kilogramów zależy tylko od ciebie i możesz osiągnąć ten cel w trzy dni, jeśli zdobędziesz właściwe narzędzia. Wpatrywałam się w łagodną linię zuchwy, w jego zmysłowe wargi i zaczęłam się zastanawiać, czy dobór seksualny partnera to też pochodna tego, co mówili nam we wczesnym dzieciństwie rodzice, czy może właśnie to coś, co zaczyna się w jądrach naszych komórek i rozgrywa poza dylematami podświadomości i świadomości, jest potężniejsze niż cała zawartość naszego umysłu.

— Wspaniała kolacja! — powiedział z uznaniem Konstanty. — Wybór twojej zawodowej ścieżki to najwyraźniej wynik pełnego synchronu podświadomości ze świadomością — zażartował i przesiadł się na kanapę.

— A może masz ochotę na kawę z kardamonem, żeby przełamać pistacjową słodycz? — zapytałam.

— O, w życiu! Nie zasnąłbym całą noc. Zresztą, lubię, gdy słodycz się przedłuża.

Powiedział to najniższą wersją swojego seksownego basu. A ja poczułam błogi spokój, na chwilę pozbywszy się tej dziwnej niepewności, w której pełne pragnienia i nadziei myśli walczyły z czymś, co było niekorzystnym skryptem podświadomości, a może raczej wspomnieniem kilku życiowych katastrof randkowych, sugerującym, że zapewne w najromantyczniejszej chwili czar pryśnie, a facet zniknie. Zaufałam chwili, wierząc, że wszystko potoczy się tak, jak być powinno. Moje ciało było przyjemnie rozprężone, wolne od skurczów brzucha, szamotaniny gestów czy zbędnych słów.

Konstanty w zupełnym milczeniu wpatrywał się w moją twarz. W jego



oczach wciąż widziałam płonące światło, na ustach coś w rodzaju lekkiego uśmiechu. Kiedy dotknął dłonią mojej głowy, odgarniając mi z czoła włosy, wydawało mi się, że ciepło tej dłoni miękką falą spłynęło przez moje ramiona, piersi, w okolice brzucha, do centrum mojego kobiecego dowodzenia. Każdy kolejny ruch dłoni rozciągał się w czasie. Trwał. Pozwalał poczuć przepływ. Jak w wyrafinowanym preludium, jeden dźwięk był zapowiedzią czegoś następnego. Budował harmonijną całość. Zapach, który już znałam, mieszał się teraz z zapachem skóry, z temperaturą oddechu, a już po chwili z tempem pulsu, który dawał się wyczuć w bliskości naszych ciał. Zsuwanie sukienki nie było odpryskiem ognia, stało się jak wszystko inne wartym celebracji aktem, kolejnym piętrem wysublimowanej erotyki. Dotyk tkaniny na ciele, jej gładkość i powolny ruch potęgowały przyjemność gestu, każdej minuty, nanosekundy. Zetknięcie się nagich powłok naszych skór było jak wchłanianie mikrocząstek, przenikających się nawzajem. Dwa nakierowane na siebie światła połączyły się, zaczęły się nawzajem oświetlać z taką mocą, z takim ciepłem, że całe ciała weszły w przyjemny, kołyszący ruch. Czułam go wszędzie. Chłoniłam poszczególne punkty płonącego ciepła, z jego ust, opuszków palców, policzków. Z jego silnych ramion. Płonęło...

— Jesteś taka gładka — szepnął.

Zmienił nagle tempo. Siłą ramienia przesunął mnie nad siebie. A potem znowu obrócił na plecy. Zakręciło mi się w głowie, jakbym wirowała na karuzeli, która nie ma początku ani końca. Lekceważy grawitację. Wyzwała z ciężących kilogramów. Zamienia w piórko.

— Masz takie gorące łono — powiedział rozognionym głosem.

Zatonął w nim twarzą, ustami, oddechem. Całym bijącym z jego ciała gorącem. Kołysał mną. Zgubił rytm, a zaraz potem znow go odzyskał. Zmienił tempo. Pulsowanie ciała przyspieszyło. Kiedy czułam, że całe moje wnętrze wymknie się zaraz ze swoich ram, znow zwolnił, jak doskonały dyrygent, który wyczuwa drgania w swojej orkiestrze. Płynęłam razem z nim. Zupełnie rozluźniona, parząca. Czułam, jak strużki jego potu skapują na moją szyję, jak strużki mojego potu przenikają do jego skóry. Czułam go w sobie. Czułam siebie w nim. Podłączona do jego kanału swoim naczyniem. Moim światłem z jego światłem. Zupełnie wspólna. Doskonale jednorodna. W dziwny sposób pozaczasowa. Zalana wodospadem, który nagle popłynął. Z niego. Ze środka. Wszędzie...

\*\*\*

Ciepły wiatr musnął mi ucho. Na pograniczu jawy i snu. Chciałam rozpoznać jego kierunek. Płynął z oddechu. Wysunęłam głowę z gorącej, miękkiej poduszki ramienia. Monstera rzucała bajeczne cienie na przeciwległą ścianę. Niektóre przypominały kontury dziwnych postaci. Drzwi balkonowe były zamknięte,

powiew wpadał jedynie przez uchylone okno. Odwróciłam głowę. Nie śniłam. Obok mnie, otulając mnie ręką, wybudzał się Konstanty. Jego twarz z zamkniętymi oczami wydawała się mimo wyraźnej linii nozdrzy jeszcze łagodniejsza. Otworzył oczy, jakby wyczuł moje spojrzenie. Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

— *Buongiorno, principessa* — zaczął entuzjastycznie.

— *Ciao!* — szepnęłam, całując go w policzek. — Poranna bryza nadciąga — dodałam, wachlując go włosami.

— Jesteśmy nad Adriatykiem czy Morzem Śródziemnym?

— Przebrnęliśmy nad ocean, zaraz wniosą portugalskie rabanadasy.

— Och, nie, żądamy polskiej jajecznicy z boczkiem. — Zaśmiał się.

— Żadnych boczków! — zakrzyknęłam, rozbawiona.

— Boczki są boskie — szepnął i objął mnie w pasie.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, obrócił mnie jednym ruchem, tak że znalazłam się na jego torsie. Zalana wewnętrznym strumieniem poczułam, jak ślizgam się po jego ciele. Jak zasysam go sobą i płynę z nim w środku. W górę i w dół, w górę i w dół. Rozgrzana powietrzem, które pulsowało między nami w nanocząstkach.

— Uwielbiam cię — szepnęłam, nachylając się nad jego twarzą.

— A ja ciebie, i twoją Portugalię.

— Pojedźmy razem nad ocean! — krzyknęłam, wciąż poruszając się rytmicznie.

— Jesteśmy w nim!

Wydał z siebie delikatny jęk rozkoszy, przekręcił mnie na bok, zsunął się z łóżka i pociągnął mnie za nogi ku sobie. Uniósł je w górę i w szaleńczym tempie pognał ze mną przez fale. Kiedy już prawie dobijaliśmy do brzegu, rozdzwonił się mój telefon. Konstanty trysnął, a ja padłam odurzona na prześcieradło.

Po kilku minutach telefon zadzwonił znowu. Zignorowałam go i przytuliłam się do Konstantego. Nasze oddechy zwalniały, synchronizowały się we wspólnym tempie. Telefon znów zadzwiewczał.

— Chyba ktoś nie może bez ciebie zacząć dnia — zażartował, unosząc się nad poduszką.

— Ten, kto nie może lub nie powinien zaczynać go beze mnie, już tu jest. — Zaśmiałam się.

Konstanty wstał dynamicznie z łóżka i poszedł do toalety. Telefon znów się odezwał. Sięgnęłam po słuchawkę, na której wyświetlał się nieznany numer. Pewna, że to kurier, który stoi pod drzwiami z moją dostawą włoskich przypraw, sięgnęłam po słuchawkę.

— No, córuś, wreszcie, dzwonię i dzwonię! Gdzie ty się podziewasz o takiej porze? — zatrajkotała matka.

— Masz nową komórkę? — palnęłam kompletnie zaszokowana jej głosem.

— Moja padła, dzwonię od Miecia. No jak tam? My właśnie dojeżdżamy i zaraz do ciebie zahaczmy odebrać Kicusia. Jesteś w domu, mam nadzieję. Będziemy za moment.

— Nie, nie! — krzyknęłam, widząc poruszającą się klatkę i wychodzącego z łazienki Konstantego.

— Nie ma cię? Poszłaś na zakupy? To zaczekamy moment pod klatką. I tak nam po drodze. — Matka jak zwykle nadawała, nie słuchając, co do niej mówię.

— Mamo, nie, nie przyjeżdżaj teraz. Kicusia nie ma!

— Jak to nie ma? Nie mów, że go wypuściłaś na trawnik przed domem. To nierozważne, może się zgubić. On nie zna okolicy, Lukrusiu, co za głupi pomysł. No nic, zaraz go będziemy szukać. Miecio ma sposoby, nam też raz uciekł pod blokiem.

— Mamo, Kicusz umarł — wypaliłam.

Z dwojga złego wolałam usłyszeć przez telefon gromy z jasnego nieba, niż zobaczyć wchodzącą tu matkę. W słuchawce zapadła chwilowa cisza. Konstanty spojrział badawczo w moją stronę i nie spuszczać ze mnie wzroku, podszedł do ekspresu do kawy, dając mi na migi znać, że przygotowuje śniadanie.

— Lukrusiu, ty bredzisz czy się czegoś naćpałaś? — matka odzyskała głos. — Co się z tobą dzieje? Naprawdę zaczynam się martwić, czy ty nie masz problemów z głową. Kupiłaś sobie ten magnez? O, już Miecio podjeżdża pod twój blok. — Odłożyła słuchawkę.

Po sekundzie rozległ się dźwięk domofonu. Byłam gotowa umierać. Jedno wiedziałam na pewno — jeśli matka z tym całym Mieciem jest już na dole, zwykle nieotwarcie drzwi niczego nie rozwiąże. Po chwili i tak dostanie się na klatkę i zacznie łomotać do mojego mieszkania. Nie wiedziałam, czy bardziej przeraża mnie w tej sytuacji fakt, że matka zobaczy trupa kota, czy to, że Konstanty zobaczy moją matkę w czasie ataku furii nad zwłokami.

— Czy coś się stało? — zapytał zdeorientowany.

— Stanie się prawdopodobnie za chwilę, gdy poznasz moją matkę. — Ledwo zdążyłam to powiedzieć, rozległo się łomotanie do drzwi wejściowych.

Zdążyłam narzucić na siebie szlafrok, Konstanty bez słów wszedł do sypialni, dając mi do zrozumienia, że zamyka za sobą drzwi, żeby nie przeszkadzać. Byłam mu wdzięczna za ten akt intuicyjnej empatii, dzięki któremu nie musiałam się kompromitować przed nim pytaniem, czy mógłby się gdzieś schować. Choć, biorąc pod uwagę to, czego zaraz mogłam się spodziewać, być może powinno mi być wszystko jedno. Otworzyłam drzwi.

— Lukrusiu, co się z tobą dzieje? — jęknęła od progu matka. — Co z Kicusiem, dlaczego go wypuściłaś?

— Mamo, nie wypuściłam go, po prostu umarł i go nie ma.

— Jak to nie ma? — Matka usiadła na krześle.

— To znaczy jest jego trup.

— Gdzie?

— Na balkonie.

— Ale co się stało? — zapytała histerycznie matka.

— Źle się poczuł, pojechał do kliniki i umarł.

— Dlaczego umarł? — Matka podeszła do balkonu i uchyliła drzwi.

— Otworzyli mu brzuch, wysiadły jelita i po operacji nie wróciły do pracy.

— Lukrusiu, ale dlaczego on leży na balkonie, taka zimna noc. — Matka pochwyliła zawiniątko na ręce i przeszła z nim przez spokój. — On tam zamarznie, trzeba go położyć na łóżko — zaordynowała.

— Mamo, przecież on już jest zimny, więc — urwałam, widząc, że matka otwiera drzwi sypialni i ładuje się tam z trupem kota.

Cienie monstery zawirowały mi przed oczami, nagłe uderzenie gorąca uderzyło w okolicach głowy. Chciałam wydać ostrzegawczy krzyk, ale odebrało mi mowę.

— Dzień dobry, jestem Konstany, miło mi panią poznać — powiedział zaskakująco spokojnym tonem mężczyzna mojego życia, zdążywszy włożyć na siebie spodnie.

— Krystyna — odpaliła matka i wyciągnęła rękę na przywitanie. — Jestem Krystyna, matka mojej córki, to znaczy Lukrecji — zawiesiła głos. — Przyjechaliśmy po kota, ale akurat umarł.

— Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu tego nagłego nieszczęścia — powiedział zupełnie serio Konstany.

— Wie pan, prawda jest taka, że był chory. Można więc powiedzieć, że ryzyko śmierci od początku istniało. On był znajdą, po przejściach, więc sam pan rozumie.

— Tak, rozumiem — odparł Konstany i wziął od matki zawiniątko.

— Lukrusiu, Micio parkuje, to ja go zawołam, żeby tu przyszedł i zabrał Kicusia.

— Proszę się nie fatygować, ja go zniosę — zaoferował się Konstany.

— No, najważniejsze, że już się nie męczy, biedactwo. Pewnie i tak by długo nie pociągnął — dodała matka. — No to pa, córeczko, odpocznij po tym wszystkim.

— Pa, mamo — szepnęłam.

Stałam oniemiała, kiedy Konstany schodził z moją matką przed blok, niosąc w ramionach martwego kota. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Żadnego wybuchu furii, płaczu. Żadnych epitetów pod moim adresem. Czy to możliwe, że fakt, iż sypiam z jakimś mężczyzną, wywołał w matce większy szok niż śmierć kota należącego do jej kochanka? A jeśli dopiero teraz ochłonęła i zaczęła robić scenę Konstantemu? Albo wygadywać mu o mnie jakieś potworności? Wybiegłam

na balkon. Samochód Miecia właśnie odjechał. Po chwili otworzyły się drzwi. Konstanty stanął w progu z wyrozumiałym uśmiechem.

— Nie wiedziałam, że nasza pierwsza miłosna noc odbywała się w towarzystwie trupa — zażartował.

— Przykro mi — jęknęłam.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Naprawdę nie wiem, to wszystko działo się tak szybko. Czasem wierzymy, że jeśli czegoś nie wypowiemy na głos, wtedy to nie będzie się działo naprawdę — odpowiedziałam i poczułam, jak Konstanty otacza mnie swoim ciepłym ramieniem.

## ROZDZIAŁ 5

### *Wyglądaj cudów, ale ich nie oczekuj*

Więcej! Oto słowo klucz lub, jak kto woli, pierwsza zasada na drodze do szczęścia. Miałam właśnie zamiar się nią pokierować w mojej ulubionej perfumerii, kręcąc się między kwiatowo-drzewnym zapachem *For You* ekscytującego duetu Miller et Bertaux a wyrafinowaną kompozycją na cześć Markizy Casati z kolekcji Mony di Orio. Już po chwili woń peruwiańskiej czerwonej jagody nałożyła się na czarnego irysa, lukrecję i palisander. Zapragnęłam mieć wszystko. Znałam moją słabość do zapachów i smaków, która owocowała co jakiś czas debetami na karcie. Ale za każdym razem, gdy chciałam ją powściągnąć, jakiś wewnętrzny głos, kto wie — może zlepiony z żądz i zasłyszanych na kursach samorozwoju afirmacji — szeptał do mnie, jak litanię, uwodzące słowa. Nigdy się nie ograniczaj. Gdy odmawiasz sobie przyjemności, zgodnie z prawem przyciągania, świat też ci czegoś poskąpi. Pozwalaj sobie na więcej i wyobrażaj sobie coraz więcej. Twój mózg nie odróżnia prawdy od fikcji. Gdy tylko zaczniesz się bać albo wątpić w to, czy możesz, zaraz powstrzymasz przyływ obfitości, szczęście utknie w jakimś punkcie, zagubi się po drodze, bo nie będzie miało jak się rozprzestrzeniać.

Skończyło się jak zazwyczaj. Wyszłam z perfumerii, głaszcząc obydwa pudełka perfum. Opakowaną w czerń aurę tajemniczości, która przywodzi na myśl ekstrawaganckie przyjęcia u markizy, opary somalijskiego kadzidla, różowy pieprz, mroczną mirrę, słodko-gorzkie fantazje szafranu, kardamonu, lukrecji, podkreślone ziemistym olejem z cibory orzechowej i otumaniającą wonią paczuli. A obok niej, otuloną w minimalistyczne szarości, niosłam syntezę misternej białej lilii, czarnego irysa, kunsztownego piżma, ukojoną aromatem ylang-ylang, z akordem drzewa cedrowego. Szłam ulicą Koszykową, patrząc triumfalnie ku słońcu niczym jego ziemską wysłanniczka. Myślałam o nocy świętojańskiej. Do lodowej misy z gałązkami paproci dodam białe irysy — kwiaty bogini Irydy symbolizujące wiarę i nadzieję. Legenda głosi, że kto pierwszy zobaczy w najkrótszą noc ten kwiat, wkrótce zakocha się z wzajemnością. Nie pamiętam, gdzie o tym czytałam. Ważne, że mogłam to wykorzystać.

Przebiełam ulicę Lwowską i zaczęłam rozglądać się za Koszykową 59, gdzie umówiłam się na obiad z Werą. Wśród rusztowań wreszcie znalazłam odpowiednią bramę i po naciśnięciu domofonu weszłam na dziedziniec. Zapowiadało się dziwnie, ale komu jak komu, Werze w pełni ufałam w temacie nowinek restauracyjnych. Mimo swojej awersji do spędzania czasu w kuchni miała nosa do wyławiania gastronomicznych pereł. Na dziedzińcu stała kiczowata kapliczka, osnuta ponurym światłem. Drzwi do lokalu były otwarte. W dusznym, małym

wnętrzu cztery osoby na krzyż zajmowały miejsca przy małych stolikach. Za barem stała opalona Koreanka. Usiadłam przy drzwiach i zamówiłam na przystawkę kimchi. Przede mną dwie piękne laski jadły podzieloną na pół małą sałatkę. Nie mogłam oderwać oczu od ich smukłych nóg i sukienek obciskających idealnie płaskie brzuchy. Musiały być mniej więcej w moim wieku. Chyba jadały ten talerz sałaty raz na trzy dni, a w pozostałe żyły o wodzie. Usłyszałam, że rozmawiają o diecie katogennej, i natychmiast poczułam swoje nadprogramowe trzy kilogramy, jakby zamieniły się w wory ziemniaków. Przesiadłam się dyskretnie na drugą stronę stołu.

— Zdołował mnie ten Franciszek — dobiegł mnie zza pleców kobiety głos. — Znowu dyskryminują mniejszości.

— Wstrzymali małżeństwa gejów? — odpowiedział pytaniem drugi, delikatniejszy głos.

— Gorzej. Kongregacja do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów z polecenia papieża wydała oficjalne oświadczenie, że bezglutenowe hostie są eucharystycznie nieważne.

— Żartujesz? Co za dranie, a te z mąki genetycznie modyfikowanej jednak zatwierdzili.

— Zastanawiam się poważnie nad apostazją — westchnął kobiety głos. — Zdrowe jelita są najważniejsze. Najmniejszy stan zapalny wywołuje wzdęcia, nie mówiąc już o depresji.

Nigdy nie wierzyłam w teorie spiskowe, ale poczułam się nieswojo. Jak nie jelita, to płaskie brzuchy. Czy śmierć Kicusia będzie mnie teraz prześladować na każdym kroku? Odwróciłam głowę i zobaczyłam dwie dziewczyny. Jeszcze chudsze od tych z sąsiedniego stolika. Dobry nastrój przysł. Jelita i otaczająca mnie zewsząd chudość zadziałały przygnębiająco. Czy Wera umówiła się ze mną w zagłębiu ortoreksji? Rozpisane na tablicy menu zdawało się temu przeczyć. A jeśli to nie przypadek, tylko inspiracja? Błyskawicznie podjęłam decyzję o wdrożeniu od dziś programu dietetycznego, by przed wyjazdem z Konstantym do Portugalii stać się boginią swojego bikini. Może mogłabym zrobić na blogu dziesięciodniowy „Detoks z Lukrecją”? Brzmiało świetnie. Wodospad dietetycznych myśli przerwało wejście Wery. Wyglądała na przygaszoną.

— *Bella*, mają tu najlepszy ramen w mieście! Przygotuj się! — zawołała entuzjastycznie na mój widok, próbując przykryć swój nastrój.

— To chyba bomba kaloryczna? — zapytałam niepewnie, wyłapując w powietrzu przyjemny zapach kolendry, który już działał przeciwko moim dietetycznym ambicjom.

— Daj spokój, to bomba energetyczna, przeżyjesz ekstazę. — Im energiczniej Wera zachwalała danie, tym bardziej byłam pewna, że coś się stało, a ona robi, co może, by odwrócić moją uwagę.

— Wchodzę w to — przytaknęłam, decydując, że dietę zacznę od jutra, w końcu najważniejszy jest synchron w przyjaźni. — Jak twój stan ducha? — rzuciłam. — Jesteś smutna. Coś się stało?

— Chwilowy niż barometryczny, nic wielkiego, ale opowiadaj lepiej, co znaczył twój lakoniczny poranny SMS. Brzmiał jak trailer filmu sensacyjnego — dociekała Wera.

— To był raczej horror.

Podczas gdy ja streszczałam perypetie poranka, zastanawiając się w międzyczasie, co gryzie Werę, Koreanka zaserwowała nam ramen. Mój był na bazie fermentowanej soi, Wery — pikantny sezamowy. Obydwa na bulionie wieprzowym. Pachniały obłądnie. Ze zgrozą odkryłam w swoim pływającym kawałek boczku.

— Jeśli Konstanty ma jakieś wady, to jedną z nich jest właśnie boczek. Ja tego nie tknę, Werciu — wyznałam i wyjęłam mięso z miski.

— Nie żartuj. Boczek to poezja w porównaniu z salcesonem, który ja jadam teraz regularnie.

— Co takiego? — jęknęłam.

— O, bogini kulinarnej rozkoszy, czyżbyś była nie na czasie w odkryciach foodyzmu estetycznego, że się tak wyrażę? — Zaśmiała się Wera.

— Czego?

— Żegnajcie, kremy z kwasem hialuronowym. Salceson, podobnie jak nóżki wieprzowe, to młodość bez skalpela. Najlepszy kolagen pod słońcem, wstrzykiwany od wewnątrz. Chrzątki, skórki wieprzowe, a nawet kurze łapki, oto, czego tak naprawdę potrzebuje nasza skóra — recytowała Wera.

— Wera, *pardon*, jakie ty teraz prenumerujesz czasopisma? — zażartowałam.

— Jak zwykle słucham, o czym szepczą moje nadziane klientki. Doktor Zięba, ekspert od zdrowia świadomych samych siebie Polaków, tak właśnie radzi dbać o młody wygląd. A ja ci radzę, Lukrusiu, żebyś zgłębiła temat.

— W celu?

— „Lukrecja leczy jedzeniem impotencję Polaków” — to byłby hit warsztatów kulinarnych w mieście, co o tym sądzisz? — Podekscytowała się Wera.

— Dla mnie bomba. — Zaśmiałam się. — Rozważę stosowne kursy.

— A potem dla wyleczonych impotentów-singli kolacje, na których poznają miłość życia.

— Połączę to z internetową sprzedażą ziółowych suplementów na potencję — zażartowałam.

— *Vivat* holistyczne podejście. — Zaśmiała się Wera.

— *Vivat* my! — krzyknęłyśmy jednocześnie, zanosząc się od śmiechu.

Nagle Wera zamarła. Jej oczy stały się większe niż zwykle. Twarz zacisnęła



się, a ciało zeszywniało. Odwróciłam dyskretnie głowę w kierunku drzwi, na które patrzyła. Do baru weszła obejmująca się para. Przystojny brodaty trzydziestokilkulatek na widok Wery opuścił rękę, którą obejmował dziewczynę. Uniesione brwi odzwierciedlały zmieszanie. Po chwili przedłużającego się milczenia, jak ratownicza w dniu debiutu, spojrzałam na menu zawieszona na ścianie.

— Pijemy kawę tutaj czy idziemy na Poznańską? — zapytałam jak gdyby nigdy nic.

— Idziemy. Choćby na koniec świata — szepnęła Wera grobowym głosem.

— Zapłacę — powiedziałam i ruszyłam do baru, by oszczędzić Werze przechodzenia obok stolika, przy którym usiadł właśnie brodacz ze swoją dziewczyną.

Wyszliśmy w milczeniu. Ledwo zatrasnęły się za nami frontowe drzwi dziedzińca i wkroczyłyśmy na ulicę, Wera ryknęła płaczem. Tak nagłym i donośnym, że stanęłam jak wryta, chwyciłam ją w ramiona i bardzo mocno przytuliłam. Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Szlochała na głos, cała się trzęsąc, nie mogła wydobyć z siebie żadnego słowa. Wyciągnęłam z torby chusteczki i zatrzymałam jadącą taksówkę. Trzymając się pod ramię, wsiadłyśmy bez słowa. Po trzech minutach byliśmy pod moim domem. Wera przelewała się przez rękę jak mała dziewczynka. Zupełnie jakby popękał cały szkielet, na którym było zamocowane jej ciało, a może i życie. Opadła na kanapę w salonie. Wciąż szlochała, ale już ciszej. Nie chciała herbaty, kawy, niczego. Na każde pytanie w milczeniu przecząco kiwała głową. Siedziałam obok niej, trzymając ją za rękę, gładziłam jej głowę. Po kilkunastu minutach opadły jej powieki. Oddech zaczął zwalniać. Przykryłam przyjaciółkę kocem. Wyniosłam jej i swoją torebkę do sypialni, na wypadek gdyby miały rozdzwonić się nasze telefony. Znałyśmy się dwadzieścia pięć lat i, jak sądziłam, dzieliłyśmy ze sobą wszystkie tajemnice. Tymczasem nie miałam pojęcia, ani kim był ten brodacz, ani co się stało. Nigdy jeszcze takiej jej nie widziałam.

Wera spała, a ja odpisywałam na maile. Na Kolację Świętojańską zgłosiły się już cztery osoby. Trzy kolejne przysłały zapytania. Jest nieźle — pomyślałam. Wciąż tylko nie miałam wybranej lokalizacji. Zastanawiałam się, czy nie napisać jednak maila do Juliana. Może zostawił u kogoś klucze i udostępniłby mi swój apartament, mimo swego pobytu za granicą. Szamotałam się z myślami. Wyrocznia I Ching wyrzuciła mi heksagram 5: Oczekiwanie. *Woda na górze. Niebo na dole. Nie postępuj zbyt pochopnie, nadszedł czas na zastanowienie się. Przeczekał chwilowe trudności, a wszystko ułoży się zgodnie z twoimi oczekiwaniami.*

Na przeczekanie najlepszy wydawał się eliksir. Na rozwój miłości — dla tych, którzy już czuli się nią rozgrzani. Lub na jej znalezienie — dla tych, którzy za nią tęsknili. Wera spała wtulona w poduszkę. Zabrałam komputer do sypialni, żeby

jej nie zbudzić, i zatytułowałam swój wpis na blog: *Lubczyk na luki w miłości*.

*Ciągle jej za mało, często jest nie taka, jaka miała być, albo nie ma jej wcale. Przywrót, nasięźrzał, nietota, firletka pierzasta — wbrew pozorom nie są to miłosne zaklęcia, lecz zioła, których szukały nasze prababki w nadziei na polepszenie swojego miłosnego życia lub wzbudzenie uczuć tam, gdzie ich nie było. Dziś zapomniane, nie budzą ani miłości, ani nadziei. Ostał się tylko on. Jeden jedyńcy: Mr lubczyk. Czas wyjąć go z rosółu i przywrócić do łask. Zadać komuś lubczykowi znacząco: wzmóc jego pożądanie, pokrzepić potencję, ale i... wpłynąć pozytywnie na jego oddanie i wierność. Charakterystyczne żółte kwiaty po dotknięciu wydzielają słodkawy zapach. Ale to nie one potrafią rozognić nasze sypialnie, lecz korzenie i nasiona lubczykowi. To nie przypadek, że z angielska nazywa się go lovage.*

*A oto koktajl z lovage — na wagę... miłości:*

*2 szklanki wody*

*15 gramów lubczykowi*

*2 gałązki natki pietruszki*

*1 łyżka oleju lnianego*

*2 banany*

*Udanej zabawy po wypiciu!*

Z zamieszczeniem posta musiałam poczekać. Miksowanie koktajlu do zdjęcia wywołałoby zbyt duży hałas. Nad łóżkiem wirowały jeszcze zapachy naszych ciał i perfum Konstantego. A może tylko wspomnienie tej magicznej nocy aktywowało pamięć i cała paleta woni roztaczała się teraz w mojej głowie. Chciałam mu o tym powiedzieć. Chwyciłam za słuchawkę. Czekałam i czekałam, ale nie podnosił. Próbowałam oderwać od niego myśli, wodząc wzrokiem po tablicy na Facebooku. Po kilku minutach zaświszczał telefon. Aż podskoczyłam na łóżku, ale to nie był Konstanty.

— *Ciao, bella*, jak życie? Pięknie, pięknie, pięknie? — zawołała Claudynka, która jak zwykle wstrzeliła się w samą porę. — Na najpoczytniejszym blogu świata przeczytałam, że już zaraz kolejna kolacja dla singli! Och, *yees! Bravo!*

— Mam nadzieję, że nie przesadziłam, strasznie mało czasu, a ja nawet nie mam jeszcze miejscówki.

— Ideałem byłby las i uwodzenie wśród prawdziwych kwiatów paproci — rozmarzyła się Claudynka.

— Musiałabym wtedy zorganizować podchody zamiast kolacji — powiedziałam cicho, by nie obudzić Wery.

— Słuchaj, zrób to na działce. Boskie kwiaty, drzewa, łatwo budzące się popędy. — Claudynka już szybowiała.

— Na jakiej działce?

— U tej koleżanki Wery, gdzie organizowałyśmy wyzwalenie się z przeszłości. Tam jest idealnie! — zakrzyknęła.

— U rodziców Pauli? Rzeczywiście, pięknie jest, ale jak to technicznie przygotować? I czy w ogóle Paula... — zaczęłam powątpiewać.

— No, *bella*, nie zaczynaj od mrużania i wyliczania przeciwności. Przyszła królowa internetów musi wierzyć w pomyślność losu, dzwoni do tej Pauli! — zarządziła Claudynka, która w chwilach takich jak ta mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Claudynko, ale jak ja tam wjadę z garnkami i kilkunastoosobową grupą? — szepnęłam.

— *Bella*, a co ty tak szepczesz? — zapytała zaintrygowana. — Czyżby pod twoim brzuchem spał ten łucznik, strudzony po zabawach ze zwierzyną? — zaśmiała się.

— Nie, to Wera śpi na kanapie.

— O tej porze? — krzyknęła. — Co się stało? Mów!

Milczenie nie miało sensu. Claudynki nie da się zbyć zwykłym wykrętem. Zresztą, nigdy się nie okłamywałyśmy. Najdziwniejsze jednak było to, że sama nie umiałam powiedzieć, co tak naprawdę się stało. Wera z nas trzech była najbardziej skryta i raz na jakiś czas musiałyśmy chwytać się podstępów, by coś z niej wydobyć.

Claudynka po krótkim opisie sytuacji już miała swoje diagnozy.

— Ten brodaczyk to musi być jakiś jej regularny kochanek — zawyrokowała.

— Ale gdyby był tylko kochankiem, dlaczego ryknęłaby płaczem stulecia? — szepnęłam.

— Może to wybitny kochanek?

— Eee, nie wyglądał na takiego.

— A może on jej złożył dzień wcześniej jakieś deklaracje, ona nic nie wiedziała o żadnej lasce i nagle szok!

— Nie przesadzajmy. Jeżeli zwykły kochanek składa ci jakieś deklaracje, to raczej wpadasz w niepokój, niż...

— A jeśli on nie jest zwykły, może to miłość jej życia? — zaniepokoiła się Claudynka.

— Nie no, wtedy byśmy coś zauważyły. Ostatnim razem, gdy Wera zadurzyła się w tym całym Julianie, który okazał się gejem, od razu widziałam, że inaczej się zachowuje. A to było zwykłe zadurzenie, a nie żadna *real love*, więc co dopiero...

— Słuchaj, *bella*, jeśli u pięknej, wrażliwej i odnoszącej sukcesy czterdziestoletniej kobiety...

— Trzydziestodzieciolatek, *please!*

— Musisz przepracować swoją *age-obsesję*, *my dear* — zauważyła

Claudynka. — Ale wracając do Wery, jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o miłość, a ściślej o jej brak — dodała smutnym głosem, a ja nie zdobyłam się na to, by temu zaprzeczyć.

Długo jeszcze debatowałyśmy, co zrobić. Nawet nie tyle, jak podejść Werę, by otworzyła się na zwierzenia — w końcu w prawdziwej przyjaźni nie trzeba słów, by wiedzieć. A raczej — w jaki sposób dokonać tej największej zmiany w jej życiu, by wreszcie znalazła miłość. Obiecać Claudynce, że zrobię, co w mojej mocy, by na najbliższą kolację singli przyciągnąć jak najwięcej interesujących mężczyzn z myślą o Werce, to jedno, ale skąd ich wziąć — to zupełnie inna kwestia.

— Najważniejsze, żeby był wrażliwy i jednocześnie mocno stąpający po ziemi — orzekła Claudynka.

— No i wierny — dodałam natychmiast.

— Musi się też prezentować, bo Wera zawsze bosko wygląda. Żeby nie odstawał.

— I niech będzie zabawny, żeby nie przynudzał.

— Musi być ustabilizowany finansowo, może jakiś prawnik albo broker giełdowy? — zastanawiała się Claudynka.

— No i najlepiej bezdzietny — dodałam.

— I przed czterdziestką.

— Może do czterdziestu pięciu? — zaproponowałam.

— Ja bym została przy czterdziestce, bo później większość facetów ma akurat kryzys wieku średniego albo zaczynają się problemy z kolanami i trudniej się zakochać — argumentowała jak najbardziej rzeczowo Claudynka.

— Mógłby mieć też psa, bo wtedy od razu wiadomo, że jest opiekuńczy.

— Wystarczy kot.

— O nie, z kotem łatwiej o komplikacje — wzdrygnęłam się. — Ach, no i towarzyski, typ smakosza, żeby Wera mogła żyć jak dotychczas — dorzuciłam.

— Powiedziałabym, że teraz to ten facet prezentuje się świetnie, szkoda tylko, że nie istnieje. — Zaśmiała się Claudynka.

— Istnieje, tylko Wera go jeszcze nie przyciągnęła. Przecież ja ledwie miesiąc temu też nie sądziłam, że pojawi się ktoś tak idealny jak Konstanty.

— Ośmielę się dodać, że Konstanty jest dzieciaty, no i, a właściwie, kim on jest?

Informacja, że Konstanty pracuje jako coach, trochę zaniepokoiła Claudynkę. Musiałam wysłuchać dziesięciminutowego wykładu o zagrożeniach, jakie płyną z technik perswazji, o tym, że będzie mnie wladowywał w stany sensoryczne, by je połączyć ze stanami wewnętrznymi, kiedy będzie chciał coś sobie zakotwiczyć. Że będzie waloryzował — jak to ujęła — kryteria moich zachowań, modyfikował moje przekonania, a może nawet wkręci mnie w obsesję

ciągłych wizualizacji wspólnych celów.

— Oczywiście jest możliwość, że się pohamuje, ale mówię ci, Lukrusiu, o tym, żebyś wiedziała, co ryzykujesz, wchodząc w związek z facetem, który ma narzędzia do przeprowadzania zmian na drugim człowieku.

— Ależ, Claudynko, on na nikim nie przeprowadza zmian, tak się nie da, to my sami wprowadzamy zmiany, on może co najwyżej pilotować ten proces — wyjaśniłam trochę zniecierpliwiona długim wywodem przyjaciółki.

— Myśl, jak wolisz. Po prostu cię uprzedzam, moja droga — rzuciła Claudynka.

— Ale czy musisz?

— Nie muszę, mogę. — Zaśmiała się.

— *Bella*, jesteś potworem.

— I za to mnie kochasz. Ale wracając do Wery, właśnie mnie olśniło.

— Dawaj! — jęknęłam, gotowa na wszystko.

— Słuchaj, może odziedziczyła blokadę?

— Jaką znowu blokadę?

— Po przodkach.

— Po których?

— Babka mogła przekazać mamie, a mama jej blokadę na mężczyzn — wyjaśniła tajemniczym tonem, a ja już czułam, że oto nieustraszona detektyw Claudynka wpadła na nowy trop w śledztwie i łatwo nie odpuści.

— Przecież jej mama ma męża — wspomniałam nieśmiało.

— Trzeciego męża, Lukrusiu, trzeciego — powiedziała dobitnie Claudynka.

— I co z tego?

— Z tego, co wiemy, z tym trzecim to też jest trudny związek. Może to znaczyć, że na poziomach podświadomych Wera przechowuje przekaz o nietrwałości miłości, dlatego ciągle wybiera dupków, z którymi w ogóle nie da się wejść w związek.

— Gdyby dostała przekaz nietrwałości, to raczej tworzyłaby związki, tylko one by się szybko psuły — zauważyłam. — A Wera nawet nie może zacząć żadnej relacji, ciągle trafia jedynie na dennych kochanków.

— To fakt. Słuchaj, olśniło mnie! Ona nie może zacząć, bo nie zakończyła! — krzyknęła Claudynka, mocno ożywiona. — To jest to, Lukrusiu, ona nie oczyściła się z tej swojej dawnej miłości, z tego całego Piotrusia. Mamy to!

— Pst, rozpracujemy to później, bo chyba właśnie się budzi — szepnęłam.

— No to pa! Ach, *bella*, zapomniałam, w czwartek lecę do Łodzi negocjować szycie nowej partii majtek, więc zwałę się potem do ciebie na noc, OK?

— Dla mnie bomba, Claudynko, czekam, ściskam. — Ucieszyłam się na pożegnanie.

Tymczasem Wera zerwała się z łóżka jak nowo narodzona. Zaczęła kręcić się po pokoju i zachwycać kwiatami i ich cieniami rzucanymi na ścianę. Gdyby nie lekko podpuchnięte oczy, mogłabym sądzić, że cały ten płacz w ogóle się nie wydarzył. Przypudrowała twarz i po pięciu minutach, jak gdyby nigdy nic, zapytała, czy nie miałabym wolnej godzinki, żebyśmy teraz pojechały razem do hurtowni roślin, bo nagle zapragnęła ożywić swoje wnętrze. Planowałam co prawda iść po zakupy na jutrzejsze warsztaty, ale czego się nie robi dla przyjaźni? Wypiłyśmy jeszcze przelewową kawę po wietnamsku z naszym ulubionym złotym pyłem z cynamonu. Tak, w tym też byliśmy jednomyślni. I ruszyłyśmy na podbój... roślin.

Gdy skręciłyśmy w Koszykową, Wera puściła z telefonu Hanne Banaszak i zaczęła śpiewać na całe gardło. A ja? Choć zaskoczona kolejną zmianą jej nastroju, nie zadawałam pytań. Znałam Werę nie od dziś. Wiedziałam, że przyjdzie jeszcze stosowna chwila, by czegoś się dowiedzieć. Po prostu śpiewałam razem z nią.

*Żegnaj, kotku,  
za pięć trafień w toto-lotku trudno by cię uznać,  
lecz za krótki przebłysk słonka,  
coś w rodzaju półtrafionka,  
ale to już całkiem inna rzecz, dlatego  
żegnaj, świnko, moja przyjemności krzynko,  
przez krótkiego rozdziału część...*

Miasto lśniło, jakby okryte celofanem. W oknach kamienic, w sygnalizacji świetlnej, przeszklonych witrynach, które przemykały za szybą, migotały słoneczne odbicia. Nasze spojrzenia chwytaly ulotne kawałki lata, wylapując raz po raz przeblyski zieleni. Jechałyśmy i jechałyśmy, śpiewając kolejne piosenki, całkowicie obecne w tej właśnie chwili, szczęśliwe, że ją mamy. Świadome, że odejdzie, jak przyszła. Zrobi miejsce następnej. Powietrze wpadające przez otwarte okna rozwiewało nam włosy. Gdy wysiadłyśmy wreszcie gdzieś pod Warszawą, przed samym wejściem do florystycznego zagłębienia, spojrzaliśmy na piękny, rozłożysty kasztan.

— Zobacz, nie do wiary, on robi *stello* — powiedziałam do Wery, kierując wzrok ponad konary drzewa.

— Co takiego? — zapytała, podążając za mną wzrokiem.

— Gdy ptak na moment zawisa w powietrzu, to się nazywa *stello*.

— A co robi potem?

— Ze sobą — nie wiem, pewnie polecą. Patrzącym *stello* przynosi szczęście.

— Wow! Mam nadzieję, że znajdziemy szczęściodajne drzewa — zażartowała Wera, po czym weszłyśmy do przeszklonych magazynów.

Pisnęłyśmy z zachwyty na widok zielonego gąszczy łądyg. Wera od razu

podbiegła do wielkiego fikusa, potem do monstery i znów wróciła do fikusa. Jak oszalała chodziła dookoła, zaglądając pod każdy liść. A ja wlepiłam wzrok w rozłożystą palmę. Zrobiłam jej zdjęcie, żeby je wysłać Konstantemu, i dokładnie w momencie, gdy nacisnęłam przycisk „Wyślij”, zadzwieczał SMS: *Co jutro porabiasz, może kino?* Poziom synchronicznego myślenia wzrastał. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, telefon zadzwieczał ponownie: *Jesteś medium ;-)* a ten wielkolud musi mieć wspaniałe korzenie, szczęściarz, pewnie mocno trzyma się ziemi.

— Znowu spotykamy się z drzewem w tle — usłyszałam męski głos za plecami.

Odwróciłam się i przez chwilę stałam w milczeniu, nie dowierzając temu, co widzę. Jak bańkę mydlaną próbowałam rozbić jedyną natrętną myśl, która kołatała mi w głowie — że przypadki i koincydencje nie istnieją, wszystko jest elementem kwantowej gry.

— Niesamowite! — zawołałam w końcu do, jak go nazwała Wera, specjalisty od gwiazd, który wyrósł nagle spod ziemi. — Co tu robisz? — zapytałam.

— To samo co ty. Podczas pełni szukam symbolu zakorzenienia — odpowiedział tajemniczo i opromienił mnie tym swoim łagodnym uśmiechem.

— Nie wiedziałam, że dziś jest pełnia — odparłam nieco oszołomiona zbieżnością tego, co napisał w SMS-ie Konstanty, z tym, co właśnie usłyszałam.

— Dość wyjątkowa.

— Bo czekamy na przesilenie?

— Bo łączy dwa wątki czasu. Opuszczamy to, co było, dla tego, co będzie.

— A można jaśniej? — zapytałam nieśmiało.

— To idealny czas, by medytować z kręgosłupem. — Widać było, że jest w swoim żywiole. — Jego symbol to drzewo, którego korzenie łączą nas z przeszłością, pozwalając czerpać z mocy ziemi, a konary z przyszłością, zasobami nieba.

— Brzmi tajemniczo. Zaraz kupię nowe drzewo, zdecydowałam się na tę boską jukę. Ale co dokładnie mam robić w tej medytacji? — zapytałam.

— Wyobraź sobie, że twój kręgosłup to twoje drzewo, takie *axis mundi*. Wznieś się na palce, a potem opadnij, całymi stopami zetknij się z ziemią i zadaj sobie pytanie, co teraz jest dla ciebie najważniejsze, dla twojego rozwoju, dobrego samopoczucia — wyliczał z entuzjazmem. — Biorąc pod uwagę fakt, że w odpowiedzi dostaniesz to, co dla ciebie pożyteczne, a nie to, co tylko przyjemne.

— Przemówi moja juka czy raczej mój kręgosłup zaskrzeczy? — zażartowałam.

— Znaki same do ciebie przyjdą, gdy otworzysz oczy — odpowiedział, parodiując ton czarnoksiężnika.

— Jestem w gotowości. — Zaśmiałam się. — Mam tylko nadzieję, że w świecie międzyplanetarnych przekazów nie robią jeszcze fejkowych newsów.

— O, w mordę jeża! Mamy tu widzę prawdziwy zjazd drzewiarzy — zakrzyknęła Wera, taszcząc wielkiego fikusa. — Czuję, że w poprzednim życiu byłam takim właśnie fikusem.

— To znaczy, że my również. — Uśmiechnął się znawca gwiazd.

— O! Nie sędzę, Jeremi, ty to chyba byłeś królową Sabą. — Wera poprawiała zalotnie włosy.

— Nie miałbym wtedy możliwości być tu z wami. Znaczące dla nas osoby, które spotykamy w życiu, to te, z którymi coś nas łączyło w poprzednich wcieleniach — powiedział już trochę poważniejszym tonem, patrząc uważnie na Werę.

Olśniło mnie. To on. Byłby idealny — pomyślałam. Wrażliwy, uduchowiony, czuły, a jednocześnie stanowczy, dobrze się prezentuje, na pewno jest wierny, a do tego, jak sama Wera kiedyś wspomniała, jest milionerem. Nie było sensu zwlekać. W końcu liczy się tylko odwaga. Uważniej spojrzałam na Jeremiego. Emocje zaczęły pulsować, bo poczułam mrowienie w ciele. Emocje to tylko energia w ruchu — powiedziałam do siebie i zaryzykowałam. Miętko przeszłam od drzewnych metafor do paproci i zaprosiłam go na moją kolację dla singli. Wera wyglądała na lekko zaskoczoną. Nie szkodzi — pomyślałam. Może już budzi się w niej jakieś przeczucie, że to wszystko to nie jest przypadek?

— A czy na tej kolacji przewidziane są dania tylko dla mięsożerców czy również dla innych ludzi? — upewnił się.

— Będą odpowiednie dla wszystkich — zapewniłam, gotowa zmienić wstępne ustalenia w menu.

— A do tego będziemy jedli wśród drzew — dodałam, uprzedzając nieco fakty, bo Paula jeszcze nie potwierdziła możliwości skorzystania z działki rodziców. — Blisko miasta, ale w takiej boskiej aurze, jakbyśmy wyjechali na koniec świata.

— Skoro świat jest okrągły, to jego koniec może się okazać początkiem — powiedział Jeremi, zerkając raz na mnie, raz na Werę. — W takim razie będę! — dodał z uśmiechem.



## ROZDZIAŁ 6

### *Pulsuj, nieważne, czy po sodzie, czy bez niej*

Heksagram 46 pasuje do tej chwili jak strzał w dziesiątkę: Wydobywanie siebie. *Ziemia na górze i wiatr na dole. Przeszkody, jakie napotkasz, są do pokonania. Nie poddawaj się więc i bądź bezkompromisowy.* Czy to wyciąganie kart przypomina już nałóg? Nazwijmy je przyzwyczajeniem. Może mam to w genach? W końcu babcia i ciotka Aurelia spędzały całe niedziele przy stoliku brydżowym. Ja przynajmniej nie tracę ani czasu, ani monet. Za to zyskuję nadzieję. Uśmiechnęłam się do siebie, padając na kanapę z nogami opartymi o ścianę. Juka przeżyła się niczym bogini żądy. A ja po całym dniu prowadzenia warsztatów kulinarnych, pełna satysfakcji, radości i poczucia sensu, byłam gotowa umrzeć z powodu burchli na stopach. Pakując się na wielogodzinną niewolę w obcasach, za każdym razem ulegam zwodniczej nadziei, że tym razem pójdzie gładko. Nie poszło. Znow oblepiona plastrami marzę o znieczuleniu. Koję się wyobrażeniem stanu nieważkości, który już za dwie godziny poczuję w ramionach Konstantego. A Dolcevito, biedaczek, robi, co może, by skusić mnie na spacer. Diana Krall śpiewa tak, jakby chciała go poprzeć.

*When I walk down the street*

*Seems everyone I meet*

*Gives me a friendly hello*

*I guess I'm just a lucky so and so...*

\*\*\*

Co za rzeźkość! Tego mi brakowało. W klapkach japonkach wybiegłam na ulicę. Jeden z najdłuższych w roku dni chylił się powoli ku ziemi, pokrywając niebo szarawą powłoką. Dolcevito biegał w tę i z powrotem, merdając ogonem z radości. Było zupełnie cicho, trochę sennie. Usiadłam na ławce w parku Ujazdowskim i przymknęłam oczy. Zrobiłam serię swoich regenerujących oddechów. Zrelaksowana ruszyłam w stronę domu. Po drodze zadzwoniła Paulinka. Gdyby nie klapki, wróciłabym do domu w podskokach. To się nazywa szczęście — miałam działkę na kolację z paprociami, a za godzinę miałam mieć także ramiona Konstantego!

\*\*\*

Przed szafą dopadł mnie nieoczekiwany spadek energii. Przedokresowy brzuch imitował balon, a lustro rzetelnie odbijało ten obraz. Plastry na stopach przypominały o kolejnych ograniczeniach. Żadna z sukienek nie dawała nadziei na komfortowe ukrycie cielesnych nadmiarów. Zamarzyło mi się japońskie kimono,

egipskie ciemności albo Konstanty w przepasce na oczy. Kiedy już zaczęłam rozważać wysłanie do mojego ukochanego SMS-a o treści: *Umarłam, trup do wglądu jutro przed południem*, mój wzrok padł na lodówkę. A ściślej na przywieszony tam napis: „Żyj tak, jakby to było to!”.

Wystrzeliłam pod prysznic jak kula armatnia. Skoro dla mózgu nie ma różnicy, czy wyleguję się na Bali, czy tylko to sobie wyobrażam, nie może przecież odróżniać laski z płaskim brzuchem od mojej wizualizacji, w której tak właśnie wyglądam. Jak wiadomo, receptą na zmylenie mózgu, a mówiąc mniej brutalnie — na własne szczęście, jest po prostu wyobrażenie sobie pożądanej sytuacji z jak największą liczbą szczegółów, odwołując się do jak największej liczby zmysłów. Miałam to! Może nie byłam coachem, lecz przynajmniej przyszlą żoną coacha... Żoną? Tak, żoną, dlaczego się ograniczać? Miałam za sobą niezliczoną liczbę kursów samorozwoju, które, wbrew temu, co myślał na ten temat mój słodki coach z wielkim łukiem, jednak nie poszły w las.

Minął niespełna kwadrans, a ja czułam się bosko. W szerokiej jedwabnej koszuli i leginsach, za których wynalezienie niech ziemia lekką będzie ich twórcy, wyglądałam naprawdę *sexy*. Wsunęłam moje adidas z seledynowymi odcieniami, które komponowały się z kolorowym naszyjnikiem, wypiłam profilaktyczną szklankę wody z solą, która zneutralizuje we mnie późniejszy alkohol, i lekka jak ptak, który robi w powietrzu swoje *stello*, wyszłam z domu. Wiatr musnął mi przyjemnie twarz rześkim powiewem i rozrzucił włosy. W powietrzu unosił się zapach czosnku rozgrzanego na oliwie. Docierał z restauracji po przeciwnej stronie ulicy. Z wystawionych do ogródka stolików dobiegał gwar rozmów. Szłam lekkim krokiem, chwilami czując, jak obrazy miasta zlewają mi się z odległymi kadrami Mediolanu. Może to zapach włoskiego jedzenia przywołał tamten odległy czas. Unosił się jak za mgłą. Tamta wersja mnie wydawała się zupełnie obca. Patrząc na mijane drzewa, widziałam tylko konary, nie umiałam sobie wyobrazić, że pod spodem są jakieś korzenie, które łączą nas z całym korowodem przodków, z siatkami pełnymi ich niespełnionych marzeń, zawiedzionych nadziei. Zatrzymałam się na chwilę, zamknęłam oczy, wspięłam na palce i krzyknęłam:

— Uczucia we mnie, pragnienia ze mnie niech idą zawsze w świat!

Opadłam na całe stopy i roześmiałam się. Na skórze czułam przyjemną mgiełkę wilgoci, a w środku jakiś ciepły, kołyszący się płomień. Niech to trwa, niech to trwa — pomyślałam.

\*\*\*

Konstanty czekał pod kinem w zielonkawej koszuli. Pocałował mnie w policzek, gładząc ręką moje plecy. Miał trochę zmęczone oczy i lekkie cienie pod nimi. Uśmiechnął się i wręczył mi opakowane w szeleszczącą bibułę zawiniątko.

— Cóż to? — zapytałam zaintrygowana ciemną buteleczką.

— Bukiet róż dla ciebie — powiedział tym swoim soczystym, uwodzicielskim basem.

— Hydrolat różany? — przeczytałam na etykiecie. — To się pije?

— Ty nienasycona pożeraczko smaków, to piją kobiece twarze, a nie gardła — wyjaśnił. — Nie słyszałaś o tym?

Poczułam się trochę nieswojo. Konstanty zrobił tak zaskoczona minę, jakby brak obeznania w hydrolatach był, jeśli nie zbrodnią, to jakimś *faux pas*. Owszem, może nie śledziłam nowinek kosmetycznych, ale z całą pewnością, gdyby używanie hydrolatów do twarzy było istotnym trendem tego sezonu, wiedziałabym o tym od Wery, która specjalizowała się w nowinkach z dziedziny urody. A gdyby hydrolaty miały jakikolwiek znaczący wpływ na samopoczucie kobiety, uprzedziłaby mnie o tym Claudynka, która w śledzeniu trendów zdrowotnych nie miała sobie równych. Byłam więc nie tylko lekko dotknięta tą ostentacją mimiczną, ale i sceptyczna wobec rzeczoności hydrolatu. Przez uprzejmość jednak nie dałam tego po sobie poznać.

— Tu będzie dobrze, prawda? — zapytał Konstanty, kierując się do czwartego rzędu.

— Może wybierzmy chociaż następny — zaproponowałam, zaskoczona jego preferencjami, jako że sama nigdy nie siadałam poniżej siódmego rzędu.

Zgodził się. To od razu rzuciło dobre światło na naszą wspólną przyszłość. Wiadomo przecież, że w udanym, długotrwałym związku nie chodzi o to, żeby facet lubił to samo, co ty, tylko żeby lubił zmieniać dla ciebie to, co miał zwyczaj lubić. Reklamy dłużyły się w nieskończoność. Trudno powiedzieć, czy to zmęczenie po całym dniu na nogach dawało o sobie znać, czy jednak ten hydrolat trochę źle mnie nastawił, w każdym razie nastrój zaczął mi siadać. Irańskie kino okazało się idealną tabletką nasenną. Osunęłam się na ramię Konstantego i, czując ciepło jego objęcia, ucięłam sobie drzemkę.

Po wyjściu z kina zaproponował, żebyśmy pojechali do niego na prosecco. Ożywiłam się. Tyle razy snułam już fantazje na temat jego wnętrza. Widziałam w nim komody z japońskim malarstwem, może nawet parawany. Meblowałam je na kilka sposobów, uwzględniając dla siebie szerokie blaty kuchenne i wielką garderobę. Byłam szczęśliwa, że mogę je wreszcie zobaczyć.

Schody w drodze na trzecie piętro przedwojennej kamienicy okazały się niezłym wyzwaniem. Czułam wdzięczność za wybór seledynowych adidasów.

— Och — jęknęłam, kiedy stanęliśmy przed drzwiami i Konstanty wyjął klucze z kieszeni.

— Coś się stało? — Zaniepokoił się.

— Nic, nic, to moja obtarta stopa — powiedziałam, nie mając odwagi skomentować tego, co zobaczyłam na drzwiach.

Tuż nad przyklejonym znaczkiem z symbolem nieskończoności widniała tabliczka z numerem mieszkania: 43. Jestem zbyt racjonalna, by stać się tak jak Wera zakładniczką jakiejś głupiej numerologii, ale są jednak rzeczy, których kwestionować nie sposób. Należy do nich najbardziej nieszczęśliwa dla związku liczba na drzwiach, w której suma cyfr stanowi 7. Jedyne, czego można się tutaj spodziewać, to nakierowanie na życie wewnętrzne, samotność i trwająca w nieskończoność potrzeba poddawania się autoanalizie czy innej psychoterapii.

Robiłam, co mogłam, by o tym nie myśleć, gdy weszliśmy do przedpokoju. Duże, przestronne wnętrze ukazało się pięknie oświetlone ciepłym światłem. Niewykluczone, że było to najbardziej minimalistyczne mieszkanie, w jakim kiedykolwiek byłam. Poczucie pustki, które towarzyszyło tej wielkiej powierzchni, wywołało we mnie dziwną mieszankę uczuć. Z jednej strony alienację, a z drugiej doznanie wolności, jaka płynie w zetknięciu z taką przestrzenią. Dopiero teraz zobaczyłam Grazusa, który pomerdał ogonem, pokręcił się chwilę i poszedł do drugiego pokoju. Wszystko było białe. Jedyne stół miał kolor drewna. W wielkim salonie stało raptem pięć mebli i szklany wazon, w którym tkwiła biała lilia. Czystość i harmonia, mimo tego chłodu, zrobiły na mnie wrażenie. Gorzej było z blatem kuchennym. Małym i jakby nieistotnym w stosunku do stumetrowej powierzchni salonu. W drugim pokoju na podłodze leżała poduszka do medytacji, a na jednej ze ścian, za przesuwaną białą ścianką, była biblioteka. Na drugiej ścianie wisiał łuk do kyūdō. Był olbrzymi i naprawdę piękny.

— Za najkrótsze noce, które nadchodzą — wznosił toast Konstanty, podając mi napełniony kieliszek.

— I za kwiaty, które podczas tych nocy odkrywamy — dodałam i zamoczyłam usta w przyjemnie chłodnym prosecco.

Konstanty włączył wysublimowaną muzykę elektroniczną, a ja, dozując sobie przyjemność, zdecydowałam nie zaglądać jeszcze do sypialni, tylko przez chwilę ją sobie powyobrażać. Usiadłam na miękkiej kanapie, patrząc w wielkie okna. W oddali, na granatowej powłoce nieba odcinały się kontury dachów. Mimo tej dziwnej pustki poczułam się tu dobrze, bardzo spokojnie. Chociaż zupełnie nie umiałam sobie wyobrazić, jak rozstawiłabym tutaj swoje rośliny, koszyki z przyprawami, patelnie, pudła z biżuterią i całą resztę. Staralam się teraz o tym nie myśleć.

— Zawsze byłeś takim minimalistą? — zapytałam w końcu.

— Pytasz o muzykę?

— Nie, o brak przedmiotów.

— Rzeczy dodają nam wartości, gdy nie cenimy siebie, a jeśli cenisz siebie, to ty dodasz wartość rzeczom — powiedział. — Nie znasz tego powiedzonka?

— Nawet jeśli nie znam, to już je lubię. Ale żeby zastosować to we własnym życiu, hm, może być gorzej. — Roześmiałam się.

— Im częściej kierujesz się swoją mocą, tym mniej rzeczy potrzebujesz — powiedział.

— A ty już osiągnąłeś apogeum swojej mocy? — zapytałam, uśmiechając się prowokująco.

— Moc, jak miłość, nie jest dana raz na zawsze. To rodzaj płomienia. Musisz ciągle go obserwować i podsycać. Bo chwila nieuwagi i gaśnie.

— I co wtedy?

— Trzeba rozniecać od nowa.

— Da się?

— To my o tym decydujemy. O tym, co robimy, o swoich myślach, z których tworzymy z czasem przekonania.

— A gdybyś nie był coachem, to kim byś został? — zapytałam.

— Wcześniej byłem adwokatem, ale z czasem zacząłem sobie uświadamiać, że nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość, bo nie ma jednej wersji zdarzeń.

— Chcesz powiedzieć, że prawda jest zmyślona?

— Raczej umowna. Tyle jest prawd, ilu uczestników zdarzeń — powiedział Konstanty, dolewając nam prosecco.

— To zupełnie jak z miłością. Każdy w tej samej sytuacji może co innego czuć. — Zbliżyłam się do niego, sącząc złoty płyn.

— Nawet ta sama osoba może na ten sam temat czuć dzisiaj zupełnie co innego niż jutro — powiedział, gładząc mnie po nodze.

To nie brzmiało zabawnie. Nie to, żebym była przewrażliwiona na punkcie półśłówek przy winie. Ale właściwie po co dawał mi sugestię o zmienności uczuć w tak czulej chwili? Czyżby w ten sposób stosował klasyczną strategię, którą Claudynka nazywa syndromem: „Jestem zmienny, ale przecież uprzedzałem”. Oczywiście można przyjąć, że to kokieteryjna, nic nieznacząca gierka. Można nawet posunąć się dalej i przywołać ciotkę Aurelię, która powtarzała, że nieważne, co mężczyzna mówi, liczy się tylko to, co robi, a więc zupełnie nie ma powodu denerwować się jakimkolwiek facetem, który powiedział coś niedorzecznego. Poczułam jednak, że zaburzało mi w brzuchu.

— Jesteś głodna? — zapytał Konstanty.

— Ja zawsze jestem głodna! — odparłam uwodzicielsko. — Ale akurat chwilowo czuję się trochę przesycona jedzeniem po całym dniu gotowania i degustowania — powiedziałam. — Chyba że jakiś lekki owoc?

— Owoc o tej porze? — Wzdrygnął się Konstanty. — To zbrodnia dla jelit, męka fermentacji, coś okropnego — dodał stanowczo i zaczął wyklądać na talerz jakiejś ryżowe kulki, a do miseczki wsypał czarne oliwki.

Zdając kontrolę nad tym, na co nie masz wpływu, możesz ocalić spokój wewnętrzny, a przy odrobinie szczęścia zyskać wpływ na to, co zależy od ciebie. W chwilach takich jak ta miło sobie przypomnieć tak wdzięcznie brzmiącą teorię

z kursu „Wyzwolenie przez oddech”. A nawet pomarzyć, że wcielasz ją w życie. W końcu odpuszczanie nocnego podjadania owoców lżej mi przyjdzie w naszej wspólnej kuchni niż poranne krojenie boczku do jajecznicy. Nie ma sensu na siłę trzymać się starych przyzwyczajęń pocieszałam się w duchu. Konstanty tymczasem dołał mi prosecco i przyniósł fotografię swojego dziadka, siedzącego przy stole z jakimś mężczyzną.

— Spójrz, piją tu właśnie anasz — powiedział.

— Jesteś bardzo podobny do dziadka — zauważyłam. — Macie te same czoła, oczy, nawet podbródki.

— Podobno odziedziczyłem też po nim charakter. — Zapatrzył się na zdjęcie. — A ty do kogo jesteś podobna?

— Chyba do wszystkich po trochu.

— Musi być ktoś, kogo przypominasz najbardziej. Warto to ustalić, bo los tej osoby rzutuje na twój.

— Co masz na myśli? — zapytałam zaintrygowana.

— Dziedziczymy po przodkach nie tylko rysy, ale i role, które mamy do odegrania w rodzinie. Jeżeli dziadek, do którego jestem podobny, miał szczęście robić to, co lubił, i dobrze z tego żył, ale nie miał szczęścia w miłości, dziedzicząc po nim cały ten zestaw — wyjaśnił rzeczowo Konstanty i wbił swoje piękne równiutkie zęby w ryżową kulkę.

Nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi po plecach. Wzięłam duży łyk prosecco, starając się nie analizować zanadto jego słów. Usiadłam bliżej i zaczęłam gładzić jego ramię. Objął mnie tym ciepłym, opatulającym uściskiem. Gesty i czyny! Tylko to się liczy — pomyślałam. Poczułam, jak przyjemnie rozpręża się mój brzuch, moja miednica. A ja z niebywałą lekkością przekierowuję swoją uwagę na to, co się zdarzy. Otwieram się każdą częścią, niczym chłonne naczynie, gotowe, by napelnić je światłem. Ciepły oddech Konstantego zaczął pulsować w rytmie mojego serca. Jego usta rozpoczęły czułą wędrówkę po mojej szyi. Nagle zadzwoniła moja komórka. Zaskoczona wyprostowałam się. Musiała już zbliżyć się północ. Zlekceważyłam sygnał i pocałowałam Konstantego. Jego dłonie wsunęły się pod moją bluzkę. Rozpięty mój biustonosz i wprawnym ruchem zdjęty ramiączka. Wyswobodzone piersi rozsunęły się na boki, a on wetknął między nie swój język. Telefon znów się rozdzwonił. Spięłam się i wysunęłam z uścisku.

— Komuś chyba zależy — powiedział ciut ironicznie Konstanty.

— Nie mam pojęcia kto to — wstałam i sięgnęłam po komórkę.

— Coś ważnego? — zapytał.

— Och, to matka! — jęknęłam. — Dochodzi północ, ona naprawdę oszalała. — Odłożyłam komórkę, by wrócić w ramiona Konstantego, ale mama nie dawała za wygraną, znów zadzwoniła.

— Może coś się stało? — Zaniepokoił się trochę.

Chciałam oczywiście powiedzieć po prostu, że nic się nie stało, że jeszcze nie zna mojej postrzelonej matki, ale po pierwsze uświadomiłam sobie, że już ją poznał. Po drugie sama poczułam dziwny niepokój. Rzeczywiście była przerażająco spontaniczna, ale wydzwaniała raczej bladym świtem niż przed północą. Może źle się poczuła? Ciągle przeceniała swoje siły, a od czasu rozpoczęcia romansu z Miciem zaczęła naprawdę nieźle szaleć, jeżdżąc to tu, to tam.

— Halo? — Jednak zrobiłam to.

— Lukrusiu, nie śpisz, mam nadzieję. Pilna sprawa. Czy mogę od ciebie pożyczyć na jutro czarny gorset na fiszbinach, który podnosi biust? — wyrecytowała podekscytowana matka.

— Co takiego? — jęknęłam.

— Idę jutro na bal neodziewic i taki gorset pasuje mi do stylizacji.

— Na jaki bal?

— Neodziewic, przecież mówię, co z tobą?

— Micio też będzie neodziewicą? — zapytałam zupełnie zszokowana.

— Córuś, czyś ty zwariowała od tego nadmiaru cukrów prostych, które wchłaniasz? Gdzie z Miciem na taką imprezę? Idę z Ludmiłą, namawiałam też Helenę, ale wiesz, jaka ona jest zachowawcza, w życiu nie wylezie z tej swojej strefy komfortu. Geriatryczny koszmar po prostu, nie życie. Mniejsza z tym, jutro rano bym podjechała do ciebie koło dziewiątej, dobrze?

— Mamo, nie mam żadnego gorsetu, który podnosi cycki! — powiedziałam, ledwie powstrzymując się od krzyku.

— Jestem w szoku! Powinnaś sobie skompletować porządną bieliznę, w twoim wieku taki gorset to podstawa, modeluje biust, spłaszcza brzuch, powinnaś...

— Mamo, jest dwunasta w nocy. Pojedź jutro do Arkadii i sobie taki kup. Pa! — trzasnęłam słuchawką.

Na wysokości splotu słonecznego poczułam nieprzyjemny ucisk. Mięśnie napięły się. Po chwili wzburzona lawa ruszyła od brzucha, przez całe ciało, w górę i w dół. Chciałam krzyknąć, ale głos ugrzązł mi gdzieś w odmętach gardła. Dopadł mnie bezwład, opadłam na kanapę. Konstanty patrzył na mnie przesywającym wzrokiem.

— Ostra jesteś — powiedział.

— Sam jesteś ostry — próbowałam obrócić to w żart, ale chyba nie wyszło mi najlepiej.

— O nie, ja jestem orędownikiem grzeczności — powiedział, uśmiechając się.

— Nagrodą za grzeczność jest depresja — rzuciłam prowokująco. — Jako coach musiałeś chyba o tym słyszeć? — dodałam, kładąc akcent na jego profesję.

— W tej sytuacji zdecyduję się na niegrzeczność — szepnęła i nagłym ruchem przyciągnęła mnie ku sobie.

\*\*\*

Zdarzają się takie poranki, że zanim się obudzisz, słyszysz wewnętrzne wołanie dnia, który na ciebie czeka. Otwierasz oczy, jakbyś była poza czasem. Czujesz przyjemne poruszenie wewnętrzne. Otwartość na to, co się zdarzy. Wiesz, nie wiadomo skąd, że możesz sięgnąć dalej niż wczoraj, doświadczyć czegoś więcej. Ciało rozumie, po co tu jest, wyprzedza myśli, które jeszcze nie utkały planu dnia z kolejnych powinności. Może po tym otwarciu poznaje się miłość — pomyślałam, czując pocałunki na swoim ramieniu. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, poczułam, jak wypełnia mnie gorące ciało Konstantego. Już po chwili kołysaliśmy się we wspólnym rytmie.

— Nie będę oryginalny, jeśli zapytam, czy masz ochotę na jajko sadzone z boczkiem? — usłyszałam jego głos, wchodząc pod prysznic.

— Bez boczku, *please!* — zakrzyknęłam z nadzieją.

Nie bez żalu weszłam pod wodę. Miotana chęcią ocalenia na skórze zapachu jego ciała, w końcu pozwoliłam sobie zamienić go na łagodną woń naturalnego oliwkowego mydła. Przyjemna świeżość wprowadziła mnie w stan euforii. Zaprażyłam orzeźwiającego zapachu w ustach. Rozejrzałam się za pastą, ale za misternie ukrytymi drzwiami szafki znalazłam tylko kieliszek z białym proszkiem, wodę utlenioną, szczoteczkę do zębów, grzebień, maszynkę do golenia i jakiś biały kamień.

— Gdzie masz pastę do zębów? — zawołałam.

— Nie używam — odkrzyknął.

— Co takiego? — Zaskoczona wyszłam z łazienki. — Nie myjesz zębów?

— Nie powiedziałem, że ich nie myję, tylko że nie używam pasty — odpowiedział swoim spokojnym, coacherskim tonem.

— A, przepraszam, myjesz je czym?

— Nakładam sodę oczyszczoną na szczotkę, potem zalewam wodą utlenioną.

— Cooo takiego? — Nie wierzyłam.

— Fluor zawarty w pastach to nasz truciciel, dezodorantów też nie używam, bo zapychają pory. Soda z wodą utlenioną jest dobra na wszystko — powiedział. — Chodź, potem się tym zajmiesz, już podaję jajka.

Tego nie zaakceptowałyby chyba nawet moja mająca obsesję na punkcie zdrowego stylu życia Claudynka. Na samą myśl o rozsypującej się pod pachami sodzie czy białej mazi w zębach zrobiło mi się niedobrze. Na tłusty boczek starałam się nawet nie patrzeć. Próbowałam sobie przypomnieć, na których warsztatach usłyszałam tę optymistyczną diagnozę miłości: poślubiamy swoje



wewnętrzne problemy, to znaczy, że nasze związki są odbiciem konfliktów, które toczą się w nas samych. Chwilowe uśpienie ego, jakim jest stan zakochania, to nic innego jak reakcja organizmu na bodźce seksualne, która zwiększa prawdopodobieństwo prokreacji, a co za tym idzie — przetrwania gatunku... Może to nawet nie z kursu, może Claudynka streszczała nam jedną ze swoich lektur.

— Puszczę ci moją ulubioną portugalską gwiazdę. Uwielbiam ją — zaproponował, gdy usiedliśmy do stołu.

— Tylko nie jakieś saudade — miauknęłam.

— Zdziwisz się! — zawołał wesoło i odpalił muzykę.

*O meu ganzá faz chica chica boom chic*

*P'rá eu cantar o chica chica boom chic...*

Z głośnika rozległy się fajerwerki i boski głos wesołej diwy wypełnił całe to sterylne, minimalistyczne wnętrze, rozsadzając je swoją taneczną mocą. To było wspaniałe, ten głos, ten rytm, to wszystko, dokąd biegła teraz wyobraźnia. Na słoneczne plaże Porto, Lizbony, a może nawet Brazylii. Między palmowe liście, kuse bikini, rozgrzane ciała, kołyszące się od szalonych rytmów.

— *Chica chica boom chic* — nucił Konstanty, bujając się na krześle i przeżuwając starannie kolejny kęs jajka. — To Carmen Miranda, absolutna bogini.

— Zabierz mnie do tej Portugalii! — zawołałam.

— Wybieram się w lipcu, pojedź ze mną! — powiedział.

Kiedy schodziliśmy po śniadaniu wysokimi schodami jego kamienicy, musiałam zwolnić, bo kręciło mi się w głowie ze szczęścia. Bałam się, że nie utrzymam równowagi. Szybkie pocałunki, muśnięcie policzków i Konstanty pojechał do pracy, a ja, odrywając się od ziemi, w pospiesznych krokach, które zamieniały się chwilami w podskoki, szybowałam ulicami budzącego się do życia Śródmieścia. Po drodze kupiłam morele i czereśnie u straganiarki. Ich słodki zapach wirował mi wokół głowy. W uszach tak wyraźnie dzwonił rytm, że z głębi brzucha, prosto z przepony wypłynęły słowa: *chica chica boom*. Powtarzałam je w kółko jak opętana: *chica chica boom*. Tak się powtarza triumfalny okrzyk albo pieśń, która niesie nas przez życie. Od niejasnego początku, w stronę niepewnego końca, z długimi postojami na... miłość.

## ROZDZIAŁ 7

### *Zawyj i uwolnij, reszta zrobi się sama*

Dolcevito kręcił się jak zbzikowany. Rozpakowałam zakupy, wkładając świeże rzeczy do lodówki. Dziesięciodniowy detoks zaczynam dzień po Kolacji Świętojańskiej. Tak, by przed dziesiątym lipca wyglądać jak miss portugalskiego bikini. Na razie mogę przez najbliższe trzy dni oddawać się kulinarnym rozkoszom testowania nowych połączeń smakowych i doskonalić się w odczuwaniu tych już dobrze znanych. Odpisałam na stertę maili. Na event w paprociach miałam już trzynaście osób. Brakowało tylko jednej dziewczyny, ale byłam w tak świetnym humorze, że spodziewałam się, iż spadnie mi z nieba. Zupełnie tak, jak wtedy, przed pierwszą kolacją, pojawił się Konstanty. Na samo wspomnienie zrobiło mi się ciepło na sercu. Miałam wszystko: Konstantego, perspektywę wspólnego urlopu w Portugalii, a dzięki Werze także krzesła i przenośny piecyk, który rozwiązywał brak piekarnika na działce. Podeszłam do lodówki i przykleiłam na niej kartkę, na której nakreśliłam swoje nowe motto. Sama nie wiedząc, komu je podkradłam.

*Pracuj, jakbyś nie potrzebował pieniędzy.*

*Kochaj, jakby nikt Cię nigdy nie zranił.*

*Tańcz, jakby nikt nie patrzył.*

*Śpiewaj, jakby nikt nie słuchał.*

*Żyj, jakby to było Niebo.*

U drzwi zaświergotał dźwięk domofonu. Spodziewałam się kuriera z zestawem zamówionych przez internet produktów ekologicznych.

— Ciao, *bellissima*! — wrzasnęła Claudynka, obładowana wielką torbą.

— Przecież miałaś być wieczorem! — pisnęłam ze szczęścia i rzuciłam się jej na szyję.

— Nie znacie dnia ani godziny! — Zaśmiała się. — Uwinęłam się w tej Łodzi dwa razy szybciej, niż myślałam, boska załoga. Będę z nimi szyć nową produkcję. Hmm, jak tu pachnie, błagam — kawy! — zaświergotała.

— Oszalejesz! Będzie kawowa nowość.

— Dawaj! — zawołała entuzjastycznie. — O, madonno! Ile nowych kwiatów! Ta monstera jest obłędna.

Claudynka kręciła się po pokoju, wpadając co chwilę w zachwyt nad każdą z nowych roślin. Uświadomiła mi, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, odkąd się

nie widziałyśmy, przybyło mi ich sześć.

— No, no, stabilizujesz się, Lukrusiu, pięknie, pięknie. A czy ten twój łucznik z imponującą bronią już rzuca jakieś konkrety czy tylko ćwierki i seks? — zapytała swoim stałym, rzeczowym tonem.

— Tak!

— Żartujesz!?! — Claudynka wytrzeszczyła oczy i aż przysiadła z wrażenia. — Oświadczył ci się?

— Nie, na razie jedziemy razem na wakacje! Do jego ukochanej Portugalii.

— Ufff, odetchnęłam, bo gdyby już się oświadczył, to by jednak wskazywało na jakiś rodzaj zaburzenia. Albo klasyczny *borderline*, albo skrywany syndrom synka mamusi, który chce się poczuć bezpiecznie.

— W życiu! Claudynko, zero syndromów, mówiłam ci.

— To się jeszcze okaże, *bella*. — Uśmiechnęła się zadziornie. — Skoro łucznik chwilowo opanowany, przejdźmy do Wery. Mam plan! Dziś w nocy zwołujemy ją pod świątynię egipską i robimy rytuał odcięcia — powiedziała uroczystym tonem.

— Ale nocą Łazienki są zamknięte.

— Nie szkodzi, wejdziemy przed zmrokiem i przeczekamy pod jakimś drzewem.

— Oho, zaczyna się. — Westchnęłam, wiedząc, że skoro Claudynka ma już plan, najprawdopodobniej nikt jej nie powstrzyma. — A jeśli Wera się nie zgodzi na nocne eskapady po parku, żeby się uwalniać od przeszłości? Co my właściwie jej powiemy? Że zdecydowałyśmy, co ją trapi? — powiedziałam zaniepokojona. — Cienko to widzę.

Aromat kawy roztoczył się po całym pokoju. Wniosłam nasze filiżanki i talerz z energetyzującymi ciastkami, które upiekłam wczoraj po południu specjalnie z myślą o przylocie Claudynki. Było w nich to, co uwielbia. Jagody goji, siemię lniane, pestki dyni, płatki owsiane, nasiona chia, ostropest, orzechy brazylijskie, morele oraz coś, czego — miałam nadzieję — jeszcze nie zna.

— Cóż to za kawa? — Zachwyciła się Claudynka.

— Z naszym cynamonowym złotem, wzmocniona o anyż i kardamon, nowość tego domu — oświadczyłam z dumą.

— Niebo! A to ciastko? — pisnęła podekscytowana. — Miodowa rozkosz!

— Z pierzga! — powiedziałam, zawieszając głos w nadziei, że wreszcie zaskoczyłam Claudynkę w dziedzinie superfood. — Słyszałaś o tym?

— Czy słyszałam? To jest *top of the top!* Biotyna, inwertaza, katalaza, pepsyna, trepsyna, lipaza, laktaza, A, B, C, PP, E, D, K, H, magnez, żelazo, fosfor, wapń, krzem, miedź, selen i coś tam jeszcze. Absolutna bomba mineralno-witaminowa. Lukrusiu, ty musisz wejść w to leczenie pokarmem. To twoja przyszłość.

— *Bella*, na razie ustawmy przyszłość Wery! — Wolalam zmienić temat, bo życiowa zmiana o kryptonimie Konstany aktualnie zaspokajała mój potencjał na nowości.

— Zwab tu, proszę, naszą boską Wercię na dwudziestą pierwszą, a ja się wszystkim zajmę — zarządziła Claudynka swoim władczym tonem i szelmowsko się uśmiechnęła.

— Ale jesteś pewna, że nie musimy wcześniej z nią pogadać, żeby jakoś wybadać sprawę? — dopytywałam.

— Jedyna rzecz, jakiej aktualnie nie jestem pewna, to to, czy jak zjem to ciastko z dziurką, to dziurka zostanie, czy nie. — Zaśmiała się, robiąc przy tym jedną ze swoich zagadkowych min.

\*\*\*

Nieustraszona Claudynka, która przygotowywała się wraz ze swoją firmą Miss Boomboom do podbicia jesienią polskiego sektora bieliznianego, ruszyła zrobić *research* w branżowych sklepach, a ja usiadłam do bloga, by przygotować wpis inspirowany wspaniałym prezentem, który przywiozła mi z Mediolanu. Szło mi marnie. Za bardzo się niepokoiłam zbliżającym się wieczorem i tym, czy nie zrobimy czegoś, co sprawi Werze przykrość. W misjach specjalnych i wszelkich ważnych przedsięwzięciach bardziej ufałam Claudynce niż samej sobie, ale tu chodziło przecież o naszą wrażliwą przyjaciółkę i jej najdotkliwsze sprawy. Czy wyrocznia stanie po naszej stronie? Nie mogłam się oprzeć. Wypadł heksagram 39: Przeszkoda. *Woda na górze. Góra na dole. Porzuć dawne wzorce zachowań i poznaj to, co nieznanne. Przed tobą wyczerpujące i trudne chwile. Nie poddawaj się, a osiągniesz to, czego pragniesz.*

Miałam mieszane uczucia. Nastawiłam zakwas buraczany, który za kilka dni zamierzałam włączyć do mojego detoksu. Zająłam się tymczasem egzotycznym cackiem od Claudynki, sfotografowałam je i odpałam blog. *Ogórek nie zawsze jest tym, o czym myślisz* — zatytułowałam wpis.

*Czerwiec to czas dobry na miłość i marzenia o dalekich morzach i ciepłych plażach. Poza tym to sezon ogórkowy! I właśnie tym możesz się zainspirować, zanim znajdziesz się w ramionach tego, kogo znalazło twoje serce. Ogórek morski — oto, co ci proponuję. Niech cię tylko nie zwiedzie nazwa. To żadne działkowe warzywko, tylko prawdziwa morska strzykwa z oceanicznych głębin. Podobno są ich miliony. Urody się nie spodziewaj, bo trudno się jej dopatrzeć w tym dziwnym stworzonku, ale za to jeśli miewasz sny o sterczących ogórkowych kształtach, zaserwuj ogórka morskiego swojemu partnerowi. Smak tego gotowanego stwora to kwestia gustu, ale wzrost potencji gwarantowany.*

Ledwo zdążyłam posprzątać kuchnię, a na blogu zatrzęsło się od lajków

i komentarzy. Czytałam wszystkie po kolei i w pewnej chwili doznałam olśnienia. „Brakuje mi na pani blogu przepisów na produkty fermentowane, a podobno nasze jelita nie mogą bez nich zdrowo żyć. Co pani o tym sądzi?” — napisała Kasia. „Gdzie można nabyć takiego ogórasa?” — Alien77. „Czy według ciebie należy suplementować błonnik, czy ten z codziennych warzyw nam wystarczy do prawidłowego trawienia?” — Piotr. „Pojawia się tu czasem mięso, co sądzisz o diecie katogennej, czy polecasz ją bardziej od wegetariańskiej?” — Basia82. A jeśli moja przenikliwa i biegła w trendach żywieniowych Claudynka się nie myli? Może rzeczywiście powinnam połączyć swoje zmysłowe przepisy ze zdrowym odżywianiem? Poczułam jakiś ogień rozchodzący się wewnątrz ciała. Zrobiło mi się gorąco. Od czego zacząć? Powinnam iść na jakiś kurs? Ale czy to ma sens? Jest tylu ekspertów żywienia, tylu dietetyków. Wylewają się z każdej strony czasopism, a tu, w internecie, są ich tysiące. Może kuchnia pięciu przemian? Albo raczej ajurweda? Zaczęłam łapczywie wertować strony w internecie. Ileż tego było. Za dużo! Nie przebiję się. A jeśli już się jakoś przebiłam? Jakiś wewnętrzny głos mówił mi: *Liczy się tylko odwaga!* Wertowałam dalej. Ajurweda! A może powinnam pojechać do Indii? Do tego barwnego świata przypraw, zapachów, kolorów i u źródeł nauczyć się gotować zgodnie z zasadami ajurwedyjskiej sztuki holistycznego dbania o człowieka? Może powinnam omówić to z dziewczynami? Albo poradzić się Konstantego... Na samą myśl o nim przyspieszyło mi serce. Jak przerobić tę jego kuchnię, żebym miała tam więcej miejsca? Robiąc obiad trzydaniowy dla kilku osób, zupełnie nie miałabym jak się ze wszystkim rozłożyć. Kwestia sypialni też domagała się poważnej ingerencji. Przede wszystkim pasowałaby tam monstera. Do salonu poszłyby fikus, palma, kolekcja sukulentów i reszta roślin. Uświadomiłam sobie, że obok sypialni był jeszcze jeden pokój, na którym była przyklejona tabliczka z koroną królewską. Drzwi były zamknięte. Co tam mogło być? Może balkon, na którym mogłabym urządzić dla nas oranżerię? Garderoba znajdowała się za przesuwaną ścianką we wnęce przy sypialni.

Urządzenie przyszłości przerwał SMS. Uśmiechnęłam się na samą myśl, że ściągamy się telepatycznie. Ale ku mojemu zdziwieniu nie był to Konstanty. To Jeremi pytał, czy w związku z Kolacją Świętojańską nie potrzebuję pomocy. Zaoferował wcześniejsze przyjęcie. Nie chciałam włączać w to Konstantego, więc może taka pomoc nie byłaby złym pomysłem?

\*\*\*

Claudynka wróciła po dziewiętnastej nakręcona jak sprężynka i obładowana torbami. Miała uroczysty nastrój i tajemniczą minę. Jak na nią była też dziwnie małomówna. Wiedziała, że knuje coś większego, niż mogę sobie wyobrazić. Powiedziała jedynie, żebym niczego nie gotowała, bo nic nie będziemy jadły. Wsadziła jakieś rzeczy do lodówki. Zaraz potem zamknęła się w sypialni i przez

ponad godzinę nie wystawiała z niej nosa. Wera miała się zjawić u mnie na drinka za dwadzieścia minut. Czułam się trochę niepewnie.

— *Bella*, może jest coś, co mogłabym zrobić? — zapukałam do drzwi sypialni. — Może przygotuję chociaż kieliszki, kupiłam szampana, żeby zacząć od toastu.

— Ha ha... To się nazywa zgrana wataha. Też kupiłam szampana! — Zaśmiała się Claudynka, wychodząc z pokoju. Podeszła do lodówki, żeby go zaprezentować. Był identyczny jak mój. — Otworzymy zaraz po przyjeździe Wery, wzniesiemy toast i ruszamy do boju! — zawołała pogodnie.

— Może drugiego zabierzemy ze sobą do parku? — zaproponowałam.

— Nie możemy się zalać — powiedziała stanowczo. — Może jednak lepiej wypijemy go po powrocie?

Czas mijał. Wiatr za oknem przybierał na sile. Liście monstery raz po raz lekko drżały. Siedziałyśmy na kanapie w gotowości, wpatrując się w zachmurzone niebo, jakbyśmy chciały rozstrzygnąć, czy jest dość silne, by powstrzymać zbliżającą się burzę. Na wszelki wypadek wyciągnęłam z szafy płaszcz przeciwdeszczowy dla Wery i dla siebie kurtkę z kapturem. Claudynka miała własną. Było dziesięć po dziewiątej, a Wera nie nadchodziła. Zaczęłam się niepokoić. Może wyczuła, że coś się święci, i zrezygnowała? Znałam ją nie od dziś, wiedziałam, że nigdy nie nawala. A jeśli coś się stało, może miała jakąś stłuczkę? Gdy tylko się czymś zdenerwuje, strasznie szarżuje za kierownicą. Energie minionej pełni mogły jeszcze grasować po Ziemi, a Wera ze swoją rybią wrażliwością była na nie podatna. Miałam nalot czarnych myśli.

— Claudynko, a jeśli ona nie przyjdzie? — Nie wytrzymałam, spoglądając na zegarek.

— Zawiadomiłaby nas — rzeczowo uspokajała Claudyna, ale czułam, że sama też się już niepokoi.

— Może coś wyczuła, wiesz, jaką ona ma intuicję.

— Przesadzasz.

— Zadzwoń do niej? — zapytałam.

Dokładnie w momencie, kiedy sięgnęłam po komórkę, zaświszczał domofon. Obydwie z Claudynką wydałyśmy z siebie pisk triumfu. Nacisnęłam przycisk i zaczęłyśmy się nerwowo przesiadać, szukając jak najbardziej naturalnych póz i w miarę neutralnych min. Po chwili Wera załomotała do drzwi.

— Dziewczyny, *pardon* za spóźnienie, ale pomyślałam, że taki piękny wieczór i nagły przyjazd Claudynki — musimy to uczcić. No i pojechałam jeszcze, żeby zdobyć dla nas... — zawiesiła tajemniczo głós, zanurzając rękę w przepastnej torbie, z której wyciągnęła butelkę szampana. — Właśnie to!

— *Oh, yeee*, niech żyje wataha! — Jednocześnie z Claudynką ryknęłyśmy śmiechem.

— Co się stało? — zapytała trochę zdezorientowana naszym dzikim wybuchem.

Podeszliśmy do lodówki i wyciągnęliśmy swoje szampany. Wszystkie trzy były identyczne. Nasz ulubiony, cytrusowo-ziołowo-mineralny w posmaku Nominé-Renard Brut Blanc de Blancs. Wera zaniemówiła.

— Losujemy? — zapytałam, śmiejąc się.

— Dawaj! — zawołała Claudynka i poprzekładała butelki, a ja wyciągnęłam z zamkniętymi oczami rękę.

Nie było wątpliwości, że to Claudynka jest mistrzem naszej ceremonii. Dałam jej do otwarcia butelkę, a sama zajęłam się kieliszkami, wnosząc miniaturowe przekąski z kawiozem, które przygotowałam, próbując sobie czymś umilić oczekiwanie na Werę.

— *Vivat* my! — Wzniosłam kieliszek.

— *Vivat* nasze nieustraszone trio, które zaraz porzuci stary świat i odkryje nowy! — zawołała Claudynka.

— *Lofka forever!* — krzyknęła Wera, dolewając nam następną kolejkę.

— Dziewczyny, za naszą moc — powiedziałam. — Żeby nigdy jej nie zabrakło.

— Za naszą dzikość. — Dołączyła Wera.

— Za intuicję i odwagę, która dziś nas poprowadzi i uwolni! — zawtórowała tajemniczym tonem Claudynka. — Dziewczyny, mam dla was niespodziankę — zawołała. — Bierzcie kurtki i za mną!

Werze zaświeciły się oczy, ja odetchnęłam z ulgą. Mimo wcześniejszych ustaleń załadowałam do torby dwa pozostałe szampany. Claudynka przewiesiła przez ramię jakiś przedmiot konkretnych gabarytów i wyszliśmy. Wieczór był parny i wilgotny, ulice pustawe. Lekko kropiło. Czy to za sprawą bąbelków, czy może tej tajemniczej energii, która towarzyszyła niepewności wobec tego, co nas czeka, wyczuwałyśmy w powietrzu niezwykłą aurę. Kiedy przekroczyliśmy bramę Łazienek, Wera spojrzała na Claudynkę wyraźnie zaskoczona.

— Mam nadzieję, że nie idziemy do oranżerii w Belvedere pozować na sesji twoich majtek, bo nie wydepilowałam wzgórek — rzuciła żartobliwie.

— Każdy wzgórek dozwolony, nie będzie ekspozycji — odparła Claudynka, powstrzymując się od śmiechu.

— Ufff — ryknęliśmy z Werą.

— Ciii — syknęła Claudynka. — Zaraz będzie tędy przechodził strażnik zamykać bramy, teraz kucamy pod tym drzewem i w kompletnej ciszy musimy go przeczekać.

Claudynka, jak zwykle, była perfekcyjna. Miała opracowane wszystkie szczegóły. Minęło może pięć minut, a na meleksie podjechał do bramy strażnik. Zamknął ją na klucz i zjechał w kierunku kolejnych bram wzdłuż Agrykoli.

Z trudem powstrzymałam się, żeby nie zaklaskać. Claudynka odczekała jeszcze chwilę.

— Teraz idziemy w prawo — zaordynowała.

— Chyba zaczęło padać — szepnęłam.

— To tylko wiatr zdmuchuje krople z liści — odpowiedziała stanowczo Claudynka.

Szłyśmy w zupełnej ciszy i ciemnościach. Czasem zaświstał nam nad głowami jakiś ulokowany do snu ptak. Posuwałyśmy się bardzo powoli, żeby się nie poślizgnąć. Kamienna ścieżka była wilgotna od deszczu. Nagle od strony dużego trawnika usłyszałyśmy wyraźny szelest, jakby ktoś zbliżał się w naszą stronę. Złapałyśmy się za ręce i stanęłyśmy. Szelest narastał. Ktoś wyraźnie się zbliżał. Słyszałyśmy nawzajem, jak przetykamy ślinę. Claudynka sięgnęła raptownie po komórkę i włączyła w niej latarkę. Spłoszony światłem jelonek odwrócił łeb i niespiesznym krokiem poczłapał w głąb drzewostanu. Ryknęłyśmy śmiechem.

— Pssst — szepnęła Claudynka. — To nie przypadek — dorzuciła tajemniczym tonem.

Dała nam znak, żebyśmy szły za światłem jej komórki. Przed nami były schody. Zatrzymała nas pod świątynią Sybilli, a konkretnie przy rzeźbie jaja. Zaczęła szukać czegoś w torbie, przyświecając sobie latarką. Wyciągnęła trzy flakony, były na nich nasze imiona. Podała je nam, dając znak, żebyśmy schowały je sobie do kieszeni. Uchyliłam nakrętkę, wewnątrz było kilka kropeł moich ulubionych perfum, których często ostatnio używam. Drzewno--sandałowa mieszanka przełamana wetiwerem. Nachyliłam się nad Werą. W jej flaconie były krople tych perfum, których ona ostatnio lubi używać, mineralizująco-drzewne molekuly. W cieniu latarki zobaczyłam zarys twarzy Wery. Wyglądała na równie podekscytowaną jak ja. Claudynka wyciągnęła z torby coś większego i podała po sztuce każdej z nas. W ciemności trudno było dostrzec, co to jest.

— Dziewczyny, zakładamy to na głowę! — szepnęła.

— Madonno, co to? — zapytałam.

— To duchy opiekuńcze naszego plemienia — wyjaśniła przyciszonym głosem Claudynka.

W świetle latarki zobaczyłam, że są to zwierzęce maski. Założyłam swoją na twarz i próbowałam dłonią wymacać kształt, żeby ustalić, co to za zwierzę.

— Od tej pory jesteśmy pod ochroną zbudzonej w nas wilczycy — zaczęła uroczystym tonem Claudynka. — Tej, która była zwierzęciem boga wojny Marsa i wykarmiła Romulusa i Remusa, od których wzięło początek rzymskie imperium. Jesteśmy pod ochroną każdej innej, która strzeże swojej watahy i ma odwagę wędrować własną drogą. Bezpieczne i nieustraszone, zaraz porzucimy to, co blokowało naszą wędrówkę. Połóżcie ręce na tym jajku, które symbolizuje pępek



świata, i powtórzcie za mną: „Decyduję się porzucić to, co mi ciąży”.

— Decyduję się porzucić to, co mi ciąży — szepnęłyśmy jednocześnie z Wera.

— Za mną! — zawołała Claudynka.

W zupełnej ciszy, bardzo powoli, żeby nie potknąć się w kompletnych ciemnościach, ruszyłyśmy za Claudynką i coraz słabszym światłem, które rzucała jej latarka. Po kilku minutach marszu dosłyszalyśmy chlupot kaczki śpiącej na wodzie. Szłyśmy wzdłuż brzegu kanału. Claudynka doprowadziła nas aż do jego zwieńczenia. Do miejsca, gdzie znajduje się świątynia egipska. Z paszcz ustawionych po dwóch stronach lwów wylały strumienie wody, robiąc przy tym intensywny szum.

— A teraz każda z nas, wzmocniona mocą swojej wilczycy, niech poczuje, kto jej najbardziej obecnie ciąży — powiedziała znów tym dziwnie uroczystym tonem Claudynka.

— Ale gdzie ciąży? — szepnęła Wera.

— Wszystkie trzymamy kogoś z przeszłości lub teraźniejszości, kto blokuje nam pójście w kierunku nowego, zrobienie kroku po więcej... Wypuścimy teraz tę osobę, byśmy same mogły poczuć się wolne.

— Mamy sobie ją wyobrazić? — zapytałam niepewna, czy to wszystko jest na poważnie.

— Ja wypuszczam Giovanniego, który jeszcze tak silnie we mnie tkwi, że za każdym razem, jak zrobię coś istotnego, to zastanawiam się, czy on by mnie za to pochwalił, czy by to docenił.

Szamańskie wcielenie naszej racjonalnej i pragmatycznej Claudynki kompletnie mnie zaskoczyło. Naprawdę nie miałam żadnych facetów do wypuszczenia. Z zawodu miłosego z Cezarym wyzwoliłam się, tłukąc rakieta w poduszkę. Pojawienie się Konstantego to jawny dowód, że nikt z przeszłości już mnie przy sobie nie trzymał.

— Claudynko, ale ja chyba nie mam kogo wypuścić — szepnęłam niespokojnie.

— Wypuść tę osobę, do której ostatnio czułaś gniew — odpowiedziała, utrzymując nawiedzony ton.

Utknęłam w ciszy. Słyszałam tylko oddechy stojących obok mnie dziewczyn, rozplywające się w szumie dwóch strumieni wodnych. Czułam, że poci mi się twarz od tej ciężkiej maski. Od wilgoci traw robiło mi się chłodno w stopy. Bąbelki szampana wprowadziły mnie najwyraźniej w stan przyjemnej lekkości. Moje ciało zaczęło się kołysać i nagle poczułam jakiś skurcz. Płynął z centrum mojego miedniczego dowodzenia, gdzieś spod pępka.

— Wypuszczam moją matkę — powiedziałam nieswoim głosem, nie rozumiejąc, jak się na to zdobyłam. — Wypuszczam ją i gniew, który we mnie

wywołuje to jej ciągle ocenianie mnie — wydukałam. — Claudynko, ale ja w sumie nie chcę się z nią rozstać — dodałam po chwili.

— Wypuść tę matkę, która wywołuje w tobie gniew. Jak się od niej uwolnisz, pojawi się nowa więź między wami — powiedziała Claudynka.

— Dziewczyno, ja zupełnie nie wiem, kogo mam wypuścić — szepnęła przejęta Wera.

— Pomyśl o kimś, kto wraca w twoich wspomnieniach, za każdym razem, gdy chcesz coś zacząć i nie możesz — powiedziała spokojnie Claudynka.

Zapadła chwila ciszy. Czulałam, jak drżą mi kolana, brzuch, ramiona. Wydawało mi się, że Wera też się trzęsie.

— Piotrka. Wypuszczam Piotrka — szepnęła. — I tę moją paranoję, ten strach, który czuję za każdym razem, gdy poznaję jakiegoś faceta — że będzie mnie zdradzał tak jak on — wyrzuciła z siebie Wera rwącym się głosem.

Nie mogłam w to uwierzyć. Czulałam, że wąskimi szparami między policzkami a maską lecą mi łzy. Totalnie skryta Wera nagle wywaliła przed nami na głos coś, czego nie usłyszałam z jej ust przez tyle lat. Zaczęło grzmieć, krople deszczu ze świstem spadały do wody.

— A teraz powiedz do przywołanej osoby: „Zapraszam cię do rytuału” — kontynuowała Claudynka niezmiennym tonem.

— Zapraszam cię do rytuału — powtórzyłyśmy wszystkie trzy jednym głosem.

— Wyobraź sobie, że ta osoba siada przed tobą, wyobraź sobie, że wasze pierwsze czakry, czakry korzenia, są połączone czerwonym sznurem. Ten sznur biegnie od twojej podstawy do podstawy tej osoby. Robisz głęboki wdech. Podnosisz dłonie nad głowę i energicznie uderzasz w ten sznur, krzycząc: „Ha!”.

— Ha! — krzyknęłyśmy po chwili.

— Teraz mówisz: „Oddaję ci całą twoją energię i odbieram ci całą swoją energię. Jesteśmy wolne”.

Powtórzyłyśmy za Claudynką, słysząc coraz mocniejsze grzmoty. Zaczęło błyskać. Jesteśmy wolne... Jesteśmy wolne... Dudniło nam w uszach. Przeszłyśmy przez kolejnych sześć czakr, uderzałyśmy w wyobrażone sznury. Pomarańczowy na wysokości miednicy, żółty na wysokości splotu słonecznego, zielony na poziomie serca, niebieski na linii gardła, fioletowy między brwiami i biały nad czołem. Wciąż wypowiadając te same komendy. Za każdym razem wizualizując wracającą do nas energię na wysokości poszczególnych czakr. Na koniec każda z nas podziękowała wyobrażonej osobie za to spotkanie, za dotychczasową relację, od teraz przyjmując ją w nowy sposób, bez uwikłań.

— Wyjmijcie swoje flakoniki — zaordynowała Claudynka. — Rozpryskajcie dookoła siebie perfumy, mówiąc: „Teraz to jest moja bezpieczna przestrzeń”.

Rozprowadziłyśmy swoje aromaty, powtarzając za Claudynką afirmację. Obracaliśmy się wokół własnych osi, poruszając rękoma, kręcąc wilczykowymi głowami. Jak w zwierzęcym, dzikim tańcu. Cząsteczki woni rozbiegły się w wilgotnym powietrzu. Krople deszczu spadały na nasze ubrania, dłonie. Odurzał nas zapach pięknej, wielowarstwowej mieszanki, której poszczególnych składników nie dawało się pochwycić. Czuliśmy, że poruszamy się ponad grawitacją, dziwnie lekkie, sprężyste, poza czasem. Wirowaliśmy tak jeszcze chwilę, przy akompaniamencie piorunów i deszczu, przed którym osłaniały nas nieco konary drzew, głęboko zanurzonych w ziemi. Szum wiatru spletał się z szumem wody lejącej się z pysków lwich posągów. Wraz z nią spływały do kanału nasze ciężary, uwikłania i ciągnące się latami niewyrażone uczucia niemocy. Nagle wszystkie trzy, jak na niesłyszalną komendę, złapałyśmy się za ręce i zawyłyśmy. Potężnym głosem, jak wilczyce. Nasze triumfalne wycie przedarło się przez gęstą powłokę mroku i poleciało w nieznane.

## ROZDZIAŁ 8

### *Dzikość działa na twoją korzyść*

Obudziłyśmy się naładowane jak broń palna. Na dzień dobry wydałyśmy z siebie dziki okrzyk.

— *Vivat* wilczyce! — krzyknęłam.

— *Vivat* nasza moc! — zawołała Wera.

— *Vivat* my! — zawyłyśmy wszystkie.

Zachichotałyśmy, patrząc na rozwieszzone w salonie ciuchy, które suszyły się po nocnej ulewie. Na stole stały trzy butelki po wypitym szampanie i kieliszki ze śladami naszych szminek. Różniłyśmy się w odcieniach czerwieni. Pod monstera, na aluminium do pieczenia ciast, które imitowało srebrny tron, stały trzy wilcze maski, nieco zdeformowane przez deszcz.

— A co powiecie na zjedzenie śniadania w Szampańskiej Pianie? — rzuciła Wera. — Żeby zacząć z wyzwolonymi wersjami siebie od sięgania chmur.

— Co to za miejsce? — zapytała Claudynka.

— To nasza nazwa na pewien podniebny taras, na którym wiele się zadziało — powiedziałam tajemniczo.

— Idziemy! — zarządziła Wera — Teraz my zrobimy ci małą niespodziankę — dodała, zerkając na Claudynkę.

Pogłaskałyśmy wilcze maski. Po kolei wzięłyśmy ekspresowe prysznic. Spryskałyśmy się resztkami perfum z rytualnych flakonów, żeby podtrzymać w powietrzu aurę nocy, i wyszłyśmy.

— O! Cichy wielbiciel? — zawołała Wera, podnosząc z wycieraczki kartkę

z eleganckiego kremowego papieru papeteryjnego, skreśloną odręcznym pismem.

— Wyrazy podziwu dla dzikich wilczyc — przeczytałam na głos.

— Hm, i jeszcze to serce pod spodem — zauważyła, nachylając się przez moje ramię Claudynka.

— O rany, kto to? — podekscytowała się Wera.

— Może ten twój Konstanty cię śledzi? — rzuciła Claudynka. — Mówiłam, że musi mieć jakiś kłopotliwy syndrom.

— Zwariowałaś? — jęknęłam. — Zresztą, on wczorajszy wieczór spędzał z córką — dodałam, ruszając schodami w dół.

— W takim razie to jest ten drugi — szepnęła konspiracyjnie Wera, podążając za mną.

— Który drugi? — zapytałam.

— Ty nam powiedz! — zażądała Claudynka.

— Dziewczyny, zbikowałyście do reszty? — zapytałam, kiedy stanęłyśmy już na chodniku. — Nie ma żadnego drugiego.

— Jest kartka, to musi być i on — podkręciła się Wera. — W każdej romantycznej komedii jest ten drugi.

— Ale my jesteśmy w życiu! — zawołałam.

— W naszym przypadku komedia i życie to chyba to samo! — krzyknęła rozbawiona Claudynka.

Roześmiałyśmy się i skręciłyśmy w ulicę Mokotowską. Był słoneczny dzień, niebo tak błękitne, że nie pamiętałam nawet, iż takie się tu zdarza. Minęły nas dwie kobiety w zwiewnych pastelowych sukienkach, a potem jakaś dziewczyna w bluzce z falbanami. Kolejna, w szortach i rozwianej tunice, przemknęła na rowerze. Zupełnie jakby dziś było jakieś święto kobiecości.

Zaczęłam rozmowę o szczegółach zbliżającej się Kolacji Świętojańskiej, żeby dziewczyny przestały mnie dręczyć pytaniami o tajemniczego wielbiciela, choć wsunięta do torby kartka nie dawała mi spokoju. A jeśli rzeczywiście to Konstanty? Córka zasnęła, a on wyszedł na nocny spacer z psem i zobaczył, jak całe mokre przelazimy niczym wariatki przez parkan Łazienek w maskach zwierząt? Nonsens, nie poznałby nas, poza tym nie wychodzi z Grazusem po północy. Zbliżając się do placu Trzech Krzyży, przypomniałam sobie, jak niosąc monstere, spotkałam Jeremiego. Właściwie dlaczego zaproponował mi pomoc przy imprezie świętojańskiej? I jeszcze to dziwne spotkanie w hurtowni kwiatów. Niby taki niewinny, uduchowiony, a może to wariat? Może nas śledzi? Tylko skąd by się tu wziął w środku nocy? Nie mógł wiedzieć, że akurat dziś będziemy robić nasz rytuał. To nie trzymało się kupy.

Na skrzyżowaniu z Hożą zatrzymała nas przygarbiona staruszka, okutana, mimo gorącego dnia, w płaszcz, szalik i wełnianą czapkę. Zapytała nas o godzinę, a kiedy Wera jej odpowiedziała, kiwnęła głową i poszła. Ze zdumieniem

zauważyłyśmy, że wcale nie była aż tak wiekowa, jakby na to wskazywała jej postura. Na jej twarzy było niewiele zmarszczek, za to dużo mocno wyrytych bruzd, które powstają od zaciskania mięśni szczęki.

— Dziewczyny, czy my też takie będziemy? — zapytała nagle Wera z zupełnie poważną miną, zatrzymując się na środku chodnika.

— Takie zmarznięte? — odpowiedziałam pytaniem. — Nie, nigdy — dodałam szybko z dziwną stanowczością.

— A takie samotne? — znów zapytała Wera.

— Nie, nigdy — powiedziałyśmy jednocześnie z Claudynką.

— Ale przecież ona w naszym wieku pewnie też wierzyła, że to wszystko inaczej się potoczy... — wydusiła Wera i dyskretnie wytarła łzę, która zakręciła się jej w kąciuku oka.

— Może właśnie nie wierzyła na tyle mocno, by mogła przyciągnąć do siebie to, czego chciała — odpowiedziała Claudynka.

— A jeśli ktoś wierzy, tylko życie jest przeciwko niemu? — nie ustępowała Wera.

— O, nie! Życie jest zawsze po naszej stronie — odparła Claudynka tonem nieznośnym sprzeciwu.

Kto jak kto, ale ona rzeczywiście w to wierzyła. Gdy tylko jej życie wymykało się z właściwego toru, szybko znajdowała nowy sposób, by się z nim zsynchronizować.

Tymczasem, mijając luksusowe witryny, doszłyśmy na miejsce. Wdrapałyśmy się schodami na najwyższe piętro budynku. Popchnęłyśmy przeszklone drzwi i wkroczyłyśmy na taras. Widok rozciągał się na trzy strony świata. Białe chmury przesłaniały fragmenty widnokręgu, na którym rysowały się dachy budynków.

— O, madonno! — pisnęła oszołomiona Claudynka, rozglądając się dookoła.

— Witamy w Szampańskiej Pianie — zawołała Wera.

— Co za obłędny widok. — Westchnęła Claudynka i podbiegła do krawędzi tarasu.

Wokół było zupełnie pusto. Słońce wznosiło się na najwyższy poziom nieba. Usiadłyśmy przy stole w samym rogu, z którego można było podziwiać zarówno Warszawę przeszklonych wieżowców i futurystycznych wizji, jak i tę sentymentalną i elegancką, z dachami odnowionych starych kamienic. Pomyślałam, że muszę tu przyprowadzić Konstantego. Dokładnie w tym momencie Wera, jakby czytając w moich myślach, spojrzała na nas podekscytowana i zrobiła uroczystą minę.

— Dziewczyny, pierwszy raz byłyśmy tu z Lukrasią zaraz po jej przyjeździe, wznosząc toast za jej nowe życie. Teraz jesteśmy tu wszystkie trzy. Wzniesmy toast wieńczący rytuał nocy i przychodźmy tu odtąd tylko wtedy, gdy będziemy

zaczynały coś nowego — powiedziała.

— Czy to znaczy, że na śniadanie zamawiamy bąbelki? — Uśmiechnęłam się.

— Na śniadanie szampana, na życie szampańską pianę! — krzyknęła Claudia i przywołała kelnera. — Trzy kieliszki szampana i... — Spojrzała na nas pytająco.

— Potrójne ośmiorniczki z selerem naciowym i grejpfrutem? — zapytałam, patrząc na Werę.

— Tak jest, jak wtedy — powiedziała Wera.

— O rany, dziewczyny! Widzicie to?! — wrzasnęłam, podrywając się z krzesła.

— Co? — zapytały jednocześnie, patrząc w kierunku, który wskazałam.

— Trzy wielkie penisy! Szok! — zawołałam, pokazując stojące na balkonie naprzeciwko trzy monstrualnej wielkości kaktusy.

— To nasi nowi supermeni, którzy już nadciągają — powiedziała Claudynka.

— To znaczy wasi nowi, którzy nadchodzą — zawiesiłam głos. — A mój ten, co już nadszedł. — Zaśmiałam się.

— Szok! To oni! — miauknęła Wera.

Kelner właśnie postawił przed nami trzy kieliszki. Chwyciliśmy za nie, wstając z krzesel.

— Za nasze nowe, wspaniałe penisy — wzniosła toast Claudynka i widząc zmieszanego kelnera, dodała, nie zmieniając tonu — Niech służą naszym sercom i waginom.

— Niech to się dzieje! — stuknęłam ich kieliszki.

— Niech to trwa! — stuknęła Wera.

Wypiłyśmy toast, po czym na stół wjechały ośmiorniczki we wspaniałym winnym sosie. Ich aromat otoczył nas przyjemną aurą morza, cytrusów i delikatnych ziół. Przewracałyśmy oczami i pojękiwałyśmy z rozkoszy, żując pierwsze kęsy. Wśród dużych i małych szczęść, których dostarczała mi nasza przyjaźń, było i to, że wszystkie trzy kochałyśmy smacznie jeść. Nawet jeśli tylko ja kochałam gotować, dziewczyny jak nikt inny umiały doceniać smaki i oddawać im hołd. Może rzeczywiście jest tak, jak mawiała ciotka Aurelia: *Jeśli z kimś ci dobrze przy stole i na parkiecie, możesz z nim iść przez życie, nie pożalujesz.*

Kiedy tak delectowałyśmy się, co chwila komplementując nasze dania i tę boską chwilę, zadzwonił mój telefon. Oddaliłam się od stołu, żeby odebrać. Kiedy wróciłam, dziewczyny wpatrywały się we mnie podekscytowane.

— Ten od liściku na wycieraczce? — zapytała Wera.

— Dziewczyny, opanujcie się, to jakiś prezes zachwycony moim blogiem. Zaprosił mnie na konferencję kulinarną, żebym zrobiła wykład o zmysłowej

kuchni — powiedziałaam ożywiona.

— Oł, *yees! Vivat* Lukrusia! — wrzasnęły dziewczyny, podnosząc kieliszki.

— *Bella*, mam! — zawołała Claudynka — Za tym liścikiem może stać jakiś stalker.

— Kto? — nie dowierzałam.

— Psychofan, który czytając twojego bloga, podnieca się afrodyzjakalnymi potrawami i w trakcie się masturbuje — wyjaśniła z poważną miną Claudynka. — Teraz zaczniesz cię prześladować.

— A skąd by wiedział, gdzie Lukrecja mieszka? — zauważyła przytomnie Wera.

— A skąd ten prezes wie, jak się z nią skontaktować?

— Claudynko, znowu uprawiasz swoje spiskowe teorie. Mój telefon jest w zakładce „Kontakt” na blogu, adresu tam nie ma.

— Lukrusiu, wystarczy przeanalizować kilka twoich fotek na Instagramie, na niektórych widać dachy budynków za oknem, i można...

— Droga pani detektyw, czy nie sądzisz, że onanista wolałby się raczej objawić i poonanizować, niż rzucać liściki? — powiedziałaam, sięgając po komórkę, która znów zadzwoniła.

— Mówisz, masz. — Zaśmiała się Claudynka. — Zaraz ci się objawi.

Poderwałam się od stołu i odeszłam na bok. Aksamitny głos Konstantego ożywił mnie jak multiwitaminowy koktajl. Czułe pytania o to, jak spędziłam wieczór, jak idą przygotowania do świętojańskiego eventu, i wreszcie najbardziej niesamowity *news* pod słońcem. Zapiszczałam z wrażenia. Dobrze, że musiał kończyć, bo chyba ze szczęścia poprosiłabym go o rękę. A jak radzi ulubiony kabalista Claudynki, kobieta nie robi tego, co należy do mężczyzny, jeśli chce to od niego dostać. W drodze do toalety podeszłam do kelnera, żeby zamówić dla nas drugą kolejną szampana.

— Dziewczyny! Wzniesmy toast za wielką, nieskończoną i wzajemną... miłość! — zawołałam zaraz po powrocie do stołu, widząc, że kelner właśnie serwuje kieliszki.

— Czyżby? — Claudynka zawiesiła głos. — Napomknął, że cię nie opuści aż do śmierci? — dodała komicznie uroczystym głosem.

— Prawie, to znaczy powiedział, że właśnie kupił dla nas bilety do Lizbony, lecimy za dziesięć dni! — pisnęłam.

— Juhuuu! — dziewczyny jednocześnie wydały indiański okrzyk, a ja się dołączyłam, co nie uszło uwadze całej ekipy restauracji, która rzuciła w naszą stronę niespokojne spojrzenia.

Wera tymczasem, w nagłym przypływie olśnienia, zrobiła tajemniczą minę i zaczęła dynamicznie grzebać w swojej przepastnej torbie.

— Dziewczyny, powiem krótko, skoro Lukrusia jedzie w podróż

przedślubną... Chyba mogę tak to nazwać, co? — Uśmiechnęła się przekornie.

— Przedślubną? — zapytałam. — No, właściwie... — Zawahałam się.

— Możesz! — zarządziła Claudynka, śmiejąc się.

— No więc, skoro Lukrusia już jedzie, a my pewnie niebawem także, bo odcięliśmy blokady i od dziś jesteśmy wszystkie nowymi, lżejszymi wersjami siebie, to proponuję... — zawiesiła głos.

— O, nieee — jęknęłam jednocześnie z Claudynką na widok wyciąganych przez Werę kart tarota.

— Dziewczyny, luz blues, wylosujemy tylko po jednej, żeby sprawdzić, którędy idzie nasze szczęście.

— Ale tylko po jednej — orzekła Claudynka.

— Nie, dziewczyny, nie dziś! Dziś celebруем naszą wolność, naszą moc. Dziś informujemy świat, że wypuściłyśmy to, co nas więziło, i ufamy, że prawdziwa rzeczywistość jest w sercu i umyśle każdej z nas, a świat zewnętrzny to tylko lustrzane odbicie naszego światła. Nie potrzebujemy kart ani podpowiedzi!

— Tak jest! *Vivat* my! — zawołała Claudynka.

— *Vivat* my — zawtórowałam jej z Werą.

\*\*\*

Dolcevito nie posiadał się ze szczęścia, że wreszcie wróciłam i zabrałam go na spacer. Była zjawiskowa pogoda. Uwierzyłam, że taka aura utrzyma się jutro, na naszej kolacji w ogrodzie działkowym, zrezygnowałam więc z pomysłu budowania foliowego zadaszenia między drzewami, gdzie ustawię stół. Po drodze kupiłam ostatnie brakujące produkty na straganie z warzywami, odebrałam zamówione krewetki do kremu na przystawkę. Potwierdziłam telefonicznie kuriera, który wieczorem miał dostarczyć kupione przez internet pióropuszniki *Matteuccia*, mające wystąpić w roli paproci. Szczęśliwa i obładowana siatkami ruszyłam w kierunku domu. Zatrzymałam się na moment przy szybie kwiaciarni, zauroczona amarantową celozją. Kupiłam trzy. Niech przyniosą szczęście każdej z nas — pomyślałam.

Wyjmując ze skrzynki pocztowej korespondencję, usłyszałam echo stukotu obcasów, a zaraz potem poczułam tę niesamowitą mieszankę zapachową z fiołków, neroli, skóry, dymu i czegoś bliżej nieokreślonego. Zanim odwróciłam głowę, już dobiegł mnie ten ciepły głos.

— Jeszcze raz składam wyrazy uznania i zachwytu — powiedziała niedawno poznana sąsiadka Patrycja, która w prostej tunice w szarym kolorze z seledynowymi obwódkami wyglądała obłądnie.

— Z powodu? — zapytałam zaskoczona.

— Odwagi do kultywowania wilczej mocy. — Uśmiechnęła się Patrycja.

— Ach! — Zaśmiałam się, zaskoczona, że oto stoi przede mną mój



tajemniczy wielbiciel, który zostawił kartkę na wycieraczkę. — Rzeczywiście, odprawialiśmy dziś rytuały mocy z przyjaciółkami, czyżbyś nas podglądała? — zażartowałam.

— Wysiadałam właśnie z taksówki, kiedy ujrzałam najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałam w tym mieście. Trzy laski w wilczych maskach, które trzymając się za ręce, tańczą w nocy na środku ulicy, śpiewając triumfalne pieśni. Aż zapragnęłam się do was dołączyć i podreptałam za wami, a wtedy poznałam cię po głosie.

— Musisz następnym razem dołączyć do jakiegoś naszego rytuału — powiedziała tajemniczo.

— Z przyjemnością. — Ożywiła się Patrycja. — Mam szczęście do poznawania niesamowitych kobiet, tylko jakoś nie przekłada się to na poznawanie takich mężczyzn — zażartowała.

— A może chcesz takiego poznać? — rzuciłam spontanicznie.

— Ooo, marzenie ściętej głowy. — Zaśmiała się.

— Patrycjo, gwarancji nie daję, ale oferuję możliwość — powiedziałam zadowolona z tej nagłej wizji. — Zapraszam cię, jeśli masz wolny wieczór, jutro o dziewiętnastej na Kolację Świętojańską dla singli pod hasłem „Miłość w paprociach”.

— Brzmi genialnie, wchodzę w to! — roziskrzyła się Patrycja.

— Wysyłam adres, mapkę i czekam wieczorem! — zawołałam śpiewnym tonem.

Bingo! Oto spadła mi z nieba jedyna brakująca do kompletu osoba i była to urocza, stylowa i oszołamiająco pachnąca Patrycja. Czułam, że ten wieczór to będzie triumf dobrego smaku i miłosnych nadziei. Wróciłam uszczęśliwiona do domu i nie wiedziałam, za co się zabrać. Skrzynka mailowa urywała się od maili. Usiadłam, żeby podpisywać. Przyjęłam, popiskując ze szczęścia, propozycję poprowadzenia kolejnych dwóch warsztatów kulinarnych. Potwierdziłam swój udział w konferencji o trendach w foodingu. Swoją drogą — co za okropne słowo, czy naprawdę nie można pokochać polskiego: kulinaria? Może zrobić o tym post na blog? — pomyślałam. Już miałam przystąpić do pisania tekstu, gdy zadzwonił telefon.

— Lukrusiu, jak się miewasz? — usłyszałam w słuchawce głos matki, który wydał mi się dziwnie łagodny. — Nie męczą cię te ciągle deszcze?

— Dobrze, przygotowuję się do małej imprezy kulinarniej, którą robię jutro z okazji nocy świętojańskiej — odpowiedziałam, rejestrując ze zdumieniem, że matka doczekała do końca zdania, nie przerywając mi.

— Wspaniale, jestem z ciebie taka dumna. Wczoraj była u mnie Ludmiłka, która jest twoją wierną czytelniczką, i za jej namową zaczęłam czytać twój blog. No, pięknie piszesz, nie spodziewałam się, naprawdę jestem pod wrażeniem —

zachwycała się matka, a ja aż usiadłam z wrażenia.

— Mamo, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zaczęłaś wreszcie czytać mój blog, mam nadzieję, że będziesz moją wierną czytelniczką — powiedziałam i aż wstałam z fotela, poruszona tym, co słyszę. Naprawdę nie poznawałam własnej matki.

— Może się umówimy na kawkę, pokażesz mi, jak się robi komentarze, żebym mogła tam zabierać głos, bo jak rozumiem, taka jest idea blogów.

— Z przyjemnością, mamuś, możemy się umówić w sobotę, nauczę cię lajkować, robić komentarze i udostępniać — powiedziałam z entuzjazmem, wciąż nie mogąc wyjść z szoku.

— Wiesz... — zawiesiła głos, a ja z pewną podejrzliwością czekałam, co padnie dalej. — Może też pokażesz mi od razu, jak się zakłada taki blog, bo jak wczoraj sobie na to popatrzyłam, to coś takiego we mnie wstąpiło, jakby jakaś wiązka światła mnie przeszła. — Rozkręciła się matka. — Lukrusiu, to coś dla mnie. Ludmiłka twierdzi, że teraz blogosfera to jak kiedyś telewizja, więc to jest poważna sprawa.

— Naturalnie, że ci pokażę, ale czy ty chcesz, mamo, założyć blog kulinarny? — zapytałam nieco zaniepokojona.

— No skąd. To nie jest oryginalne, myślałam o czymś, co wypełni niszę, co będzie odpowiedzią na wielkie pragnienie tysięcy kobiet, co może w rewolucyjny sposób zmienić świadomość w tym kraju, a potem, kto wie, jak to ma takie dotarcie, może i na świecie... — Podnieciła się matka.

— Wow — skomentowałam kurtuazyjnie, starając się nie wybuchnąć śmiechem. — A co to będzie, jeśli mogę spytać?

— O namiętności. Dla kobiet w okresie neomłodości — odpowiedziała spokojnie matka.

— Co takiego? — Nogi się pode mną ugięły i runęłam jak długa na fotel. — A neo... neomłodość to... — zawahałam się. — To według ciebie kobiety takie jak ja, które wchodzi w lata czterdzieste? — zapytałam niepewnie.

— Nie no, Lukrusiu, dlaczego ja bym się miała zajmować tobą i twoimi koleżankami, skoro jak mówi Ludmiłka, na blogu opisujesz siebie. Naturalnie, że neomłodość to generacja kobiet w moim wieku — wyjaśniła rzeczowo.

Byłam pod wrażeniem. Sama nie wiem, czego najbardziej. Można stroić sobie żarty z dobiegającej siedemdziesiątki wyznawczyni kultu neomłodości, ale jakkolwiek patrzeć, moja supernowoczesna matka pod wpływem miłości rozkwita, co daje pewną nadzieję, że odziedziczone po niej geny i mnie stworzą szansę na interesujące życie do późnej starości. Jeszcze bardziej jednak poruszyło mnie to, że matka po raz pierwszy od lat wyraziła uznanie dla tego, co robię, a nawet wysłuchała mnie, nie przerywając mi w pół zdania. Mogłam snuć wiele teorii i przypuszczeń na temat związku jej zachowania z rozwojem jej pożycia

z Miciem, ale czułam, że stoi za tym coś innego. Coś większego. Nasz wilczy rytuał pożegnania tego, co nie jest już nam w życiu potrzebne.

\*\*\*

Lekka i szczęśliwa, zabrałam się do robienia dekoracji na świętojańskie przyjęcie. Na działce roztaczała się magiczna aura. Kwiaty wypielęgnowane przez rodziców Pauli mieniły się różowo-czerwonymi odcieniami. Paprocie, które dowiózł kurier, wyglądały imponująco. Gęste, rozłożyste, idealnie wkomponowały się w przestrzeń między drzewami, gdzie ustawiłam stół. Było ich czternaście, tyle, ilu uczestników wieczoru. Nieoceniona Wera dostarczyła krzesła, a ja przewiozłam naczynia. Byłam podekscytowana, ale jednocześnie zadziwiająco spokojna, jakbym nie czuła tremy. Kolejne warsztaty kulinarne doprowadziły mnie do takiej wprawy, czy aż tak przeżywam już wspólny wyjazd z Konstantym, że wydarzenia kulinarne budzą we mnie mniejsze emocje? Chciałam myśleć, że to kwestia mojego profesjonalizmu i rosnącej pewności siebie. Że ta lawina już na poważnie ruszyła, a ja idę konsekwentnie ścieżką swojej przemiany. Tą, którą obrałam, wywracając kilka miesięcy temu do góry nogami całe moje życie. Ciągle jeszcze nie mogłam uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę i idzie zgodnie z planem. Jakiś wewnętrzny głos szeptał: to niemożliwe, przemiany nie da się zaplanować, bo planowanie nie jest w zgodzie z prawdziwą naturą życia, z czymś większym od nas. Wierząc, że mamy kontrolę nad ruchem swoich zmian, skazujemy się na porażkę, napotykamy opór.

\*\*\*

Konstanty zaproponował wieczorny spacer z psami. Nie posunę się chyba za daleko, przypuszczając, że musi już myśleć o naszym przyszłym wspólnym mieszkaniu. Najwyraźniej chce stopniowo oswajać Grazusa z Dolcevittem. Na samą myśl przyjemne ciepło z okolic miednicy rozlało się po całym moim ciele.

Umówiliśmy się w zacienionej pergoli parku Ujazdowskiego. Jego kontur, zapatrzony w wodę, odcinał się pięknie od zapadającego mroku. Wyglądał jak grecki heros. Doceniałam w nim to, że nawet, gdy wybierał pospiesznie miejsce spotkania na krótki spacer, robił to starannie, uwzględniając moje estetyczne potrzeby. Było tak romantycznie. I tylko my dwoje. Przytulił mnie mocno i pogładził po włosach. Wpatrywaliśmy się przez chwilę w zasypiające na wodzie kaczki. Dookoła roztaczała się kojąca cisza.

— Takie to mają wspaniałe życie, żadnego pośpiechu, żadnych napięć — powiedział Konstanty, gdy jedna z nich się poruszyła, wywołując lekki chłopot wody.

— Ale jak im tu nudno, dzień za dniem ten sam widok — zauważyłam.

— Może to nie nuda, tylko dobre życie? — Zamyślił się. — Chodźmy, bo

zaraz zamykają — dodał i wziął mnie za rękę.

— Czyżbyś był zmęczony strzelaniem z łuku? — zażartowałam, wpatrując się w jego twarz, gdy wyszliśmy na oświetloną alejkę. — Masz trochę podkrążone oczy — powiedziałam, ale zaraz ugryzłam się w język, bo jak mówi Claudynka, najgorsza cecha Polek to ta, że zamieniają się w niańki swoich facetów najpóźniej po kilku tygodniach znajomości.

— Wstałem o piątej, przed chwilą przyleciałem z Wrocławia, miałem intensywny dzień.

— Może zjemy u mnie coś lekkiego? — zaproponowałam, żeby przykryć swoje roztargnienie i fakt, że na śmierć zapomniałam, że to dziś Konstanty miał tę poważną konferencję, do której od dawna się przygotowywał.

— Dziękuję, ale jedzenie o tak późnej porze to dla mnie męka — powiedział. — Nie wspominałem ci o tym, że unikam torturowania wątroby?

Wędrownka wśród drzew na skarpie poniżej sejmu była romantyczna niczym chwilowy pobyt na kartach powieści. Cisza, delikatny wiatr muskający skórę i ciepło ręki Konstantego sprawiały, że czułam, jak nasze nanocząstki energii krążą między sobą i łącząc się w nowe struktury, osiadają na przemian raz w nim, raz we mnie. Ale po co ta manifestacja odmiennych nawyków żywieniowych? Czy to tylko zmęczenie, czy pierwsze próby forsowania swoich reguł w naszym przyszłym życiu? Grunt to widzieć życie takim, jakie jest. Sukces związku wymaga czasem ofiar, to fakt, ale niech będą nimi moje niepokoje, ugryzienia się w język, a nawet mały lifting przekonań, jednak pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie zmiana drogi, którą chcę iść.

— Ja na szczęście mam wyrozumiałą wątrobę. Może zaprawiła się, mieszkając we Włoszech? Mogę więc sobie czasami pozwalać na kulinarne szaleństwa nawet późną porą — powiedziałam, uśmiechając się.

— Może to twoje włoskie geny dają ci przewagę nad innymi? — Zaśmiał się. — Ale nie czujesz się czasem, droga Lukrusiu, winna, że serwujesz te rozkosze kulinarne różnym osobom, które nie mają genetycznie takich udogodnień jak ty? — dodał tonem, który wydał mi się nazbyt prowokacyjny.

— Ha, ha... Nie mam zamiaru przeproszać za to, że jestem pełna pasji i robię to, co lubię. Każdy wybiera to, co mu daje rozkosz — powiedziałam z zadziwiającą pewnością siebie.

Kiedy ulicą Frascati doszliśmy do Wiejskiej, zaczęło kropić. Zatoczyliśmy koło, znów wychodząc przy parku Ujazdowskim. Konstanty rozpostarł nad nami parasol, znów mnie objął i skręciliśmy w Mokotowską. Robiłam w myślach, co mogłam, wirowałam pomarańczowym światłem po mojej czakrze sakralnej, wyobrażałam sobie, jak rozsuwają się w niej płatki lotosu i wysyłają do jego czakry strumienie światła. Gdy doszliśmy do mojej kamienicy, Konstanty przystanął. Zaproponowałam rozgrzewający likier, jeszcze intensywniej wizualizując

w myślach wysyłanie pomarańczowego światła przyciągania w stronę jego podbrzusza.

— Lukrusiu, przepraszam, ale nie dziś — powiedział.

— Masz zły nastrój?

— Po prostu muszę się wyspać, jutro o świcie mam trening, a potem bardzo wczesnie sesję coachingową, do której jeszcze chcę się trochę przygotować — dodał, całując mnie w policzek.

— Rozumiem — powiedziałam, starając się nie wypuszczać z siebie smutku.

— Śpij dobrze!

— Ty też, pa, pa — odpowiedziałam zawiedziona, trudno powiedzieć, czy bardziej Konstantym, czy nieskutecznością własnych mocy energetycznych.

Weszłam do klatki, przekonana, że muszę jutro skonsultować z Claudynką jej kwantowe metody na przyciąganie szczęścia. System wibrowania czakrami, który mi ostatnio poleciła, wyraźnie nie sprawdzał się w praktyce. Chyba że... stanęłam jak wryta. Przypomniałam sobie to niby-optimistycznie brzmiące zdanie, które rzuciła Werze na pocieszenie, kiedy spotkałyśmy wyziębioną i podkuloną kobietę. Powtórzyłam je na głos dwa razy: *Nie wierzyła na tyle mocno, by mogła przyciągnąć do siebie to, czego chciała.*

Wspinając się po schodach, na oknie klatki, między drugim a trzecim piętrem, zauważyłam kwiat. Dałabym sobie głowę uciąć, że godzinę temu jeszcze go tu nie było. Zatrzymałam się z niedowierzaniem. Nie był to efekt nocy, zmęczenia czy słabego światła. Na parapecie stał prawdziwy *Pachyphytum compactum*. Piękny meksykański sukulent o geometrycznych, mięsistych liściach, pokrytych delikatnym białym nalotem, które układały się w rozety. Ich ostrokrawędziste brzegi przypominały szlify brylantu. Wyglądał obłędnie. Dokładnie taki, jak kwiat, który kilka dni temu zamówiłam przez internet. Właśnie czekałam na jego dostawę. Czyżby któryś z moich sąsiadów miał tego samego florystycznego bzika co ja oraz ten sam gust do roślin? Pomyślałam o pięknej Patrycji — jedynej osobie, którą tu znałam. Wyglądało na to, że mogła mieć z tym jakiś związek.

\*\*\*

W domu opadłam z sił. Jednocześnie byłam zbyt rozwibrowana, by paść na łóżko i zasnąć. Może za bardzo pobudziłam w sobie tę czakrę? — pomyślałam z niepokojem. Było późno, ale nie wiedziałam, czy brać się za odpisywanie na maile, czy za robienie jutrzejszych deserów. Za oknem deszcz przybrał na sile. Krople jak rozpędzone kule bilardowe zaczęły przyspieszać. Poczułam dziwny strach. A jeśli jutro, mimo zapowiedzi bezchmurnego nieba, lunie podczas kolacji? Chyba jednak powinnam zainstalować ten dach z folii, który nie był może najestetyczniejszym rozwiązaniem, ale jedynym bezpiecznym, które przychodziło

mi do głowy. Szamotałam się z myślami. Podeszłam do laptopa i wbrew nowej wersji siebie, skontaktowanej z wilczą mocą, kliknęłam w przepowiednię. Wypadł heksagram 63: Po dokonaniu. *Woda na górze. Ogień na dole. Uważaj, bo pozorny spokój zwiastuje problemy. Możliwy konflikt lub duże nieporozumienie. Nie zapominaj o tym, co dla ciebie ważne.*

Zabulgotało mi w żołądku. A jeśli będzie jakiś niewypał z kolacją? Przed oczami stanęły mi zwęglone kawałki turbota, sinotrupie krewetki i zjełczałe naloty na kremie. Zaraz potem przemknął mi przez myśl wybuch działkowego piecyka, którego rozpadające się odłamki palą obrusy, ranią gości, niszczą konary pięknych drzew stojących tam od dziesięcioleci. Zrobiło mi się gorąco. Mam paranoję czy to naprawdę złe przeczucia? Pożałowałam, że Claudynka znów dziś pojechała do Łodzi w swoich produkcyjnych sprawach i miała wrócić dopiero jutro w południe. Czy zdąży mi pomóc z montowaniem folii? Wera negocjuje jutro ważny kontrakt, rano podwiezie mi krzesła, a potem zjawi się dopiero około szóstej. Dlaczego Konstanty nie zaoferował mi pomocy? Czyżby obraził się, dlatego że go nie zaprosiłam? A może to z tego powodu był dzisiaj taki markotny, a to całe zmęczenie to tylko przykrywka? Wpadłam w popłoch. Słodka pewność siebie, którą czułam jeszcze kilka godzin temu, prysnęła. Miałam przed sobą cały dzień gotowania. A jeśli któreś z dań nie wyjdzie? Po co wymyśliłam ten odpałowy pomysł z działką? *Uno... due... tre...* Wdech... wydech... Podstawowa zasada zdrowego człowieka: nie trać energii na przeżywanie katastrof, które jeszcze się nie wydarzyły.

Dolcevito, mój najczulszy barometr, poczuł, że mnie rozsadza. Przytknął głowę do mojego uda i swoją wielką mordką zaczął mnie miziać po rękę. Był jedną wielką kulą uczuć. Wymieniliśmy kilka pieszczot i zrobiło się lżej. Podeszłam do kuchennego stołu i wyjęłam składniki na jutrzejszy deser. Nastawiłam mojego ukochanego Kurta Ellinga. Kołysząc się lekko do jego aksamitnego głosu, zaczęłam ucierać krem. Ulewa za oknem wkomponowała się w takty piosenki. Włożyłam palec w kremową masę, oblizałam. Wzięłam głęboki oddech i poczułam, jak słodka rozkosz rozplywa się po całym moim ciele. Chwyciłam kartkę i długopis. Napisałam na niej własne słowa: *Nie mam zamiaru przeproszać za to, że jestem pełna pasji i robię to, co lubię.* Przyczepiłam kartkę do lodówki i kręcąc dalej krem, zaczęłam nucić razem z Kurtem:

*All or nothing at all*

*Half a love, never appealed to me*

*If your heart, never could yield to me*

*Then I'd rather (rather) have nothing at all*

*All or nothing at all*

*If it's love, there is no in between*

*Why begin then cry, for something that might have been*

*No I'd rather (rather) have nothing at all*

## ROZDZIAŁ 9

### *Trafieni, odurzeni w cieniu paproci*

Niech żyje słońce! Najbardziej wyczekiwany budzik świata. Poraził mnie światłem o świcie. Rozpromienił mój dzień. Wyfrunęłam z łóżka jak koliber, który wie, że zaraz się znajdzie na bezkresnych aksamitach nieba. Była piąta trzydzieści rano. Podarowałam sobie kwadrans na ćwiczenia oddechowe. Zaraz po nich poczułam, że dziś potrzebuję czegoś jeszcze. Wzięłam na dłonie kilka kropel olejku różanego. Usiadłam na dywaniku, zginając jedną nogę tak, aby pięta uciskała ujście pochwy. Potarłam dłońmi o siebie, aż poczułam w nich ciepłe mrowienie. Przyłożyłam je do piersi i zaczęłam zataczać koła w kierunku do wewnątrz. Po kilku minutach poczułam, jak energia z miednicy płynie do góry, ku piersiom, a energia z serca rozchodzi się w dół, ku miednicy. Ciepło i błogość wypełniły moje wnętrze. Pozycja jelenia zbudziła moją kobiecą moc. Byłam gotowa podbić świat. Ruszyłam naprzód.

Zrobiłam sobie multienergetyczny koktajl z awokado, nasion chia, zmielonych liści moringi, cytryny i pszczelego pyłu. Smakował jak rajski eliksir. W zamrażarce ulokowałam wodę w woreczkach z wsuniętymi do wnętrza liśćmi paproci oraz białymi pączkami eustomy. Powkładałam je w misy, by zamroziły się w pięknych kształtach. To będą rzeźby wieczoru. Paprocie z kwiatem w szkle, które podczas kolacji będą topnieć rozpalane budzeniem się serc. Natarłam ziołami rybę. Odstawiłam ją i zajęłam się blendowaniem musu z mango. W misce na blacie wyczekiwały swojej godziny piękne różowawe krewetki. Z porcelanowej salaterki roztaczał się aromat anyżu, a z moździerza zapach syczańskiego pieprzu, którego garstkę świeżo roztarłam. Wnikały w to wonie wanilii i utartej gałki muszkatołowej, przeznaczonej do deseru. Kocham te zapachy od najmłodszych lat. Niosą ze sobą kolorowe obrazki z dzieciństwa, marzenia małej dziewczynki i radość. Beztroską soczystą radość niezakłóconą żadnym przecuciem straty, lękiem, że komuś wydasz się głupia albo nie taka, jaką miałaś być. Radość, dzięki której zaraz po otwarciu oczu czujesz taką ciekawość tego, co może się zdarzyć, że biegniesz temu naprzeciw. Cieszysz się tym, że po prostu jesteś.

W aurze smaków właśnie to czułam, tę małą dziewczynkę w sobie, pełną entuzjazmu. Byłam w jądrze bajki. Niczym królowa słońca.

\*\*\*

Około dziesiątej zrobiłam sobie przerwę na kawę oprószoną cynamonowym złotem. Rozsiadłam się na balkonie, po prawej stronie otoczona cieniami monstery, po lewej aromatycznym rozmarynem i bazylią, które hodowałam w dużych donicach, osłoniętych bambusowym parawanem od wiatrów i deszczu.



Wystawiłam twarz do słońca, wysunęłam nogi na szezlongu i rozkoszowałam się każdym łykiem kawy, skubiąc od czasu do czasu moje ukochane pistacje. Aromat mnie rozpieszczał. To była jedna z tych chwil, kiedy czujesz, że twoje życie nie zależy od tego, czy masz szczęście, tylko od tego, co robisz, żeby się czuć tak, jakbyś je miała. Liczy się tylko to, co wywołuje w tobie entuzjazm. Ten dziwny stan, który ktoś kiedyś nazwał „ogarnięcie boskim duchem”.

Wczesnym popołudniem wszystko to, co wymagało wcześniejszego przygotowania w kuchni, było gotowe. Zrobiłam sobie oczyszczający piling z fusów wietnamskiej kawy. Wymasowałam całe ciało szorstką rękawicą z końskiego włosia. Wymoczyłam się przez kwadrans w chlorku magnezu, który przez skórę szybko dokarmia synapsy odpowiedzialne za emocje. Wreszcie wzięłam długi naprzemienny prysznic i na kolejny kwadrans położyłam się z maseczką z zielonej glinki na sofie. Kiedy zmyłam resztki substancji pięknotwórczych, postanowiłam z okazji tego uroczystego wieczoru zadebiutować z hydrolatem różanym. Dziwnym prezentem od Konstantego, o którego zasadności w pielęgnacji urody nie słyszała ani Wera, ani Claudynka. Trzeba mu jednak przyznać, że pachniał pięknie, delikatnie i bardzo naturalnie. Skóra po nim stała się przyjemnie nawilżona. Nakręciłam papiloty. Wklepałam krem i wykonałam swój codzienny zestaw antystarzeniowy, który zwykle robię na spacerze z psem. Parskanie konia na mięśnie ust, strzelanie dzióbka na ich okolice, krzywienie pyszczka na skórę na kościach policzkowych, cmoksowanie na blokadę obwisów chomikowych i wytrzeszcz oczu na kurze łapki. Piękna, zwarta i nakremowana ruszyłam do szafy. Dylemat kwiecistej sukienki rozstrzygałam już od tygodnia. Raz popadając w czarną rozpacz nad poszerzeniem swoich gabarytów, raz triumfując w przyływach zwiększenia częstotliwości wibrowania miednicą, która dodawała mi pewności siebie. Z drżącym z podniecenia brzuchem wsunęłam ją na siebie, by ostatecznie sprawdzić, która szala dziś przeważa. Właśnie wtedy zadzwoniła Wera.

— *Ciao, bella mia*, jaki stan duszy? Wszystko gra? — zaświergotała, pędząc na swoich szpilach, których echo niezmiennie towarzyszyło naszym rozmowom.

— Aż się niepokoję swoją perfekcją — zażartowałam. — Wszystko jak dotąd zgodnie z planem. Nawet słońce.

— To fantastycznie, bo ja się wyrobię dopiero na osiemnastą. Jak na złość czarująca mecenas, która rozwodzi aktualnie żonę potentata giełdowego, przesunęła godzinę podpisywania umowy zakupu.

— Luz blues, naprawdę zdążymy na czas, oby tylko wszyscy goście dotarli w dobrym nastroju i z aktywnym potencjałem miłosnym. — Zaśmiałam się.

— No, na mnie możesz liczyć, mam gigapotencjał. Odkąd rytualnie odcięłam prądy Piotrusia, robię furorę wśród prawdziwych mężczyzn. Dzisiaj zaczęło mnie dwóch muskularnych hydraulików w sile wieku i cmoknął za mną

jeden chłopak na deskorolce, prawdopodobnie nie całkiem pełnoletni. Także muszę nieźle emanować. — Zachichotała Wera.

— Doskonale, będziecie z Claudynką muzami wieczoru, oby tylko ona nie została uwiedziona w pociągu przez jakiegoś neotestosterona — powiedziałam.

— Kogo? — zawołała Wera.

— Eufemizm na pana, który minął swoją siłę wieku, ale jeszcze w to nie wierzy. — Wybuchnęłam śmiechem.

— No to serwuj sobie te boskie kwiaty, a tymczasem *arrivederci, bella, ciao, ciao!* — zakrzyknęła.

Wera rzuciła to tak stanowczym tonem, że dopięłam szeroką sukienkę z kwiatami, spojrzałam w lustro i naprawdę poczułam w sobie absolutne *flow*. Rozwinęłam papiloty, ułożyłam z włosów impresję, fakt — dość swobodną, na temat postrzelenia miłosną strzałą amora, zrobiłam karminowe usta i... zdecydowałam się na kolejny debiut tego dnia. Czekałą specjalnie na ten wieczór wyrafinowaną kompozycję na cześć Markizy Casati z kolekcji Mony di Orio, która kojarzyła mi się z rozpustnymi przyjęciami w alkowach markizy, a innym miała lekko zawrócić dziś w głowie fantazyjnym połączeniem słodko-gorzkich woni rózu i pieprzu, szafranu, kardamonu, lukrecji i somalijskiego kadzidła. Było tak, jak lubię, kontrastowo. Pachnąca i podekscytowana załadowałam pakunki do taksówki i ruszyłam na działkę. Zdecydowanie najbardziej niepokoiłam się o lodowe rzeźby z kwiatami paproci — że nie zmieszczą się do zamrażalnika lodówki, która jest w altance. Wszystko inne wydawało się, plus minus, opanowane. Niebo może nie było już tak promienne jak o poranku, ale wciąż budziło zaufanie.

Gdy wyjmowałam z pudełka sztuce, zadzwonił telefon.

— Tak jak deklarowałam, stawiam się zaraz do pomocy — zaanonsował się Jeremi.

— O, wspaniale! — zawołałam, rozglądając się dookoła, jakbym szukała dla niego powodu aż tak wczesnego stawienia się na świętojańskim wieczorze.

— Co mogę przywieźć? Może czegoś brakuje z produktów kulinarnych albo ze sprzętu kuchennego? — zapytał troskliwie.

— Na razie chyba jest wszystko — powiedziałam, chociaż wcale nie byłam tego pewna, bo nie zdążyłam jeszcze wszystkiego wypakować z toreb.

— Służę nawet większym kalibrem, na przykład jakimś brakującym krzesłem.

— Dzięki, mamy ich dość.

— Albo przenośną lodówką czy innym niezbędnikiem. Mam auto, do którego mieści się wszystko.

— Nie, dziękuję — powiedziałam. — Chociaż...

— No, no?

— A ta lodówka? Czy to taka turystyczna, czy większa?

— Mam i mniejszą typu torba, i większą.

— Czy z tą większą to nie byłby jakiś kłopot? — rzuciłam, patrząc na miske z musem, która gdy zapakowałam lodowe rzeźby do lodówki, wylądowała na zewnątrz.

— Absolutnie żaden. To będę z nią o siedemnastej. Coś jeszcze zabrać? — zaoferował.

— Serce! — krzyknęłam.

— Jakie serce? — zapytał poważnie.

— Otwarte! — dodałam.

— A! To już spakowałem. — Zaśmiał się. — Do zobaczenia.

— Wjazd od ulicy Rostafińskich, pa.

A może to za wcześnie? — pomyślałam, patrząc na długi drewniany stół, na którym już rozstawiłam żywe paprocie, a obok niego specjalny stolik, gdzie w kulminacyjnej chwili miałam ustawić zamrożone misy lodowe z kwiatami. Rozejrzałam się dookoła, stojąc wśród wypielęgnowanych krzewów piwonii, celozji pierzastych, żółcących się nagietków, rozkwitających begonii i cynii, odurzającego zapachem pnącego groszku i skrywającej się nieśmiało za altanką, kojącej zapachem, werweny. Co on tu będzie robił przez dwie godziny? Rozwiesi linki, zamocuje lampiony, może nawet włączy się w rozkładanie noży i widelców... Otworzy wina, które przed południem podrzuciła mi Wera. A potem? No, cóż... Założmy, że zabawi mnie rozmową o mankamentach jagnięciny i profitach wszelkiej maści dzikich chwastów. W tak napiętej chwili to bezcenne — powiedziałam do siebie, uśmiechając się pod nosem. A co, jeśli okaże się absorbujący, a nie zabawny? I to ja będę musiała go zabawiać? Jedno było pewne — tajemniczy Jeremi, kimkolwiek tak naprawdę był, ześwirowanym ekspertem od gwiazd i milionerem czy też wegańskim purystą, nie bez powodu mnie prześladował. Coś musiało nas łączyć albo dopiero miało nas połączyć, jeżeli traktować serio teorie Claudynki o kwantowym przyciąganiu, według których magnesujemy do siebie tylko tych ludzi, których aktualnie potrzebuje nasza podświadomość.

Świst SMS-a przerwał zabawę w przypuszczenia: *Rozpal im serca, zawróć w głowach i baw się dobrze. Trzymam kciuki, kibicuję ciałem i duszą, buziaki.* Od słów Konstantego zrobiło mi się ciepło. Przyjemny impuls popłynął z głębin miednicy do ud, w stronę bioder i w górę, ponad pępek. Postanowiłam otworzyć jedno prosecco, żeby rozsmakować się w bąbelkach i rozprężyć. Zdążyłam poukładać na tacy w altance liście, które wykorzystam jako podkładki do deserów, i otworzyć butelkę, kiedy zadzwonił blaszany dzwoneczek przy furtce.

— Jesteś szybszy od światła! — zawołałam zaskoczona.

— Czasem wyprzedzam nawet dźwięk. — Uśmiechnął się ciepło, tarabaniąc się z wielką torbą. — To na razie niech poczeka, a ja idę po lodówkę —

poinformował.

— Może pójde ci pomóc?

— Damy nie są do noszenia rzeczy, damy są do rzeczy — wyrecytował i puścił oczko.

Zupełnie mnie wcięło. Mówił tak, jakby był wariacją na temat ciotki Aurelii. To ona w ten sposób mówiła o mężczyznach, że są do rzeczy, do noszenia rzeczy albo od rzeczy. Skąd mógł znać to powiedzonko? Po chwili przytachał lodówkę. Była naprawdę duża, idealna. Na tym nie skończył. Raz jeszcze poszedł do samochodu. Tym razem wrócił z torbą, w której miał wielki słój.

— A to prezent dla ciebie, który dziś przyda się nam wszystkim podczas kolacji, a potem, mam nadzieję, będzie ci dobrze służył — powiedział uroczystym tonem.

— Cóż to? — zdziwiłam się, zaglądając do eleganckiej torby. — O, madonno! — krzyknęłam. — Jest prawdziwa?

— Najprawdziwsza w świecie! — odpowiedział.

— Skąd ją wytrzasnąłeś?! — zawołałam, wyjmując z torby wielki słój ze złotą rybką.

— Zamówiłem z myślą o tych, którzy nie znajdą dziś paproci. Żeby mieli jakieś koło ratunkowe. — Zaśmiał się.

— Jest przepiękna! — jęknęłam podekscytowana. — Gdzie ją postawimy?

— Może tutaj, w cieniu, przy tym oczku wodnym, poczuje się jak w domu — zaproponował i wyniósł taboret, na którym ustawił słój.

— Wygląda jak prawdziwa królowa — szepnęłam, nachylając się przy słoju. — Nie do wiary, ona naprawdę jest złota.

— I naprawdę spełnia marzenia.

— Jesteś boski, dziękuję! — pisnęłam w euforii. — A może ją ukryjemy w altance i wyniesiemy dopiero przy deserach? To będzie hit wieczoru — zapaliłam się.

— *Let's do it!* — zgodził się Jeremi.

Ukrył złotą rybkę, podłączył w altance dodatkową lodówkę. Wyciągnął z torby alkohole i jakieś pudełeczka. Wszystko miał tak pozawijane, że byłam zmuszona zrewidować pogląd, iż największym pedantem na świecie jest Claudynka. Choć trudno było w to uwierzyć, Jeremi zdawał się ją przebijać.

— O! Dziękuję, jakie wspaniałe wina! — powiedziałam, patrząc na wyciągnięte butelki.

— Upiekłem też tort ze szpinaku — dodał, wyjmując z kolejnej torby następne pudło.

— Wooow! Imponujący, zabije wdziękiem moje desery. — Westchnęłam oniemiała. — Sądząc po samym wyglądzie, zasłużył na to, by schodzono przed nim ze stołu! — zawołałam, wsuwając go do lodówki.

— A tu są jeszcze kolumny — dodał, dobierając się do ostatniej z toreb — gdybyśmy zapragnęli akompaniamentu.

— Ooo! Jesteś niesamowity! — jęknęłam ponownie. — Na śmierć zapomniałam, żeby zrobić tło muzyczne. Wszystko przez to pakowanie garnków.

— Przygotowałam w iPhone playlisty, kilka zestawów do wyboru. Zobacz, który ci najbardziej pasuje do menu — powiedział, podając mi swój iPhone.

Zupełnie mnie obezwładnił. Naprawdę, ten miły, tajemniczy facio był bardziej perfekcyjny niż Claudynka i bardziej od niej pedantyczny. Nie mogłam w to uwierzyć, przeglądając listy. Były doskonale skomponowane. Nie widziałam, co powiedzieć.

— W czym teraz mógłbym ci pomóc? — przerwał moje oniemienie.

— Spróbuj, proszę, pozawieszać tutaj linki, na których zamocujemy tamte lampiony.

— A może zrobimy jeszcze takie światełka wzdłuż ścieżki od furtki? — zaproponował, wyciągając z jeszcze jednej torby małe, przeszklone lampioniki.

— Boskie! — zawołałam. — Tu naprawdę będzie dzisiaj siódme niebo! Włączamy muzykę, playlista nr 3, poczułam *flow!* — zawołałam rozpromieniona i ruszyłam do prowizorycznej kuchenki w altance.

Po chwili zjawiała się Wera. Olśniewająca, w obcisłej czerwieni, eksponującej jej owadzią talię, z jaskrawymi ustami i tajemniczo uwodzicielskimi oczami, z którymi coś wyraźnie się zadziało od wczoraj, ale nie wiedziałam jeszcze co. Nie była to jednak tylko kwestia wydłużonych rzęs.

— *Ciao*, bogini kulinarnej rozkoszy! — zawołała na przywitanie.

— *Bella*, masz nowe oczy? — szepnęłam, korzystając z tego, że Jeremi w głębi ogrodu montował lampiony.

— Były w promocji na mięsny — odpowiedziała, siląc się na powagę.

— Słuchaj, wyglądasz bosko, ale naprawdę, masz coś niesamowitego w oczach.

— Może te magiczne kwiaty dają efekt odbicia świetlnego? — powiedziała. — Albo zadziałał mój eksperyment nałożenia maseczki z oleju i sody oczyszczonej.

— Co? Soda na twarz? — Wstrząsnęło mnie na samą myśl, że moja stylowa Wera też jest zwolenniczką sody. — Nie, to na pewno jakaś głębsza sprawa — dodałam.

Werę zaabsorbowało nakrywanie stołu, a ja objęłam główne dowodzenie w kuchni. Czułam się fantastycznie. Ta działka to był strzał w dziesiątkę. Nawet nie zauważyłam, kiedy zleciał nam czas przygotowań i z dziesięciominutowym wyprzedzeniem przyszedł pierwszy gość. Sprężysty i wysportowany brunet, Wojciech, oceanograf. Zapytany, czym tak dokładnie się zajmuje, odparł dość wieloznacznie:

— Pływam na granicy fizyki, geofizyki, meteorologii i biologii, badam głębię — jeśli tak mogę to ująć.

— Głębię oceanów czy ludzi też? — zażartowała Wera.

— Ludzie są tacy sami jak oceany, tylko w środku bardziej mętni — wyjaśnił oceanograf.

Odetchnęłam. Wera była ekspertem od spraw głębinowych, a do tego mistrzynią small talku i szybkiego przełamywania lodów. Mogłam więc spokojnie zająć się kwestiami kulinariów. Jeremi zaserwował wino, a po chwili zaopiekował się towarzysko piękną, lecz powściągliwą ekspertką od prawa karnego, która właśnie nadeszła. Następny był niewysoki, misiowaty Ignacy, architekt systemów informacji, zaraz za nim pojawiła się Magdalena z imponującym i niezbyt zdyscyplinowanym biustem, który przy pierwszym schyleniu zelektryzował wszystkich obecnych panów nagłym wysunięciem się lewego sutka. Elokwencja Magdaleny była proporcjonalna do biustu, toteż na moment przejęła kontrolę nad small talkiem grupy. Ponownego podziału na dialogi w podgrupach dokonało wejście ciemnookiego muzyka, który był zabójczo w typie Wery, co nie uszło jej uwadze. Już po chwili prowadziła z nim rozmowę o domniemanych odgłosach kwiatów. Pewne zamieszanie wywołało pojawienie się Bernadetty, szczebiotliwej, pulchnej, jakby gotowej do ciągłego przytulania właścicielki agencji nieruchomości, która przyprowadziła ze sobą pudelka. Na szczęście po kilkunastu minutach obszczekiwanie każdego z osobna dał sobie spokój i położył się pod krzewem piwonii. Przystojny inżynier w sportowym outficie od razu na wejściu wpadł w oko dynamicznej Karolinie z branży usług PR-owych. Równie przystojny, lecz małomówny pilot Jacek robił wrażenie na wielu obecnych kobietach, ale swoją uwagą zaszczycił tylko szczebiotliwą Klarę, która od progu oświadczyła, że nie wierzy w przeznaczenie, tylko w motywację i wysiłek dwójki nastawionych na wspólny sukces ludzi. W powietrzu wibrowało od emocji. Ekscytacja mieszała się z niepewnością. Wszystko przebiegało zadziwiająco gładko. Kolejni goście komplementowali na przemian urodę ogrodu działkowego i przygotowanych na ten wieczór dekoracji. Zachwalali ideę samej kolacji i prawie wszyscy cmokali z uznaniem, degustując przystawki z melona przełożonego krewetkowym musem, przegrzebki z ekscentrycznym miksem z mango i cebuli oraz carpaccio z gęsi z sosem rabarbarowym, które zaserwowałam jako *entrée*. Jeremi puszczał wspaniałe bossa novy i dbał o to, by kieliszki gości były pełne. Byłam mu wdzięczna.

Jedyne, co wywołało mój prawdziwy niepokój, to fakt, że dochodził kwadrans po dziewiętnastej, a nie było jeszcze widać Claudynki. Nigdy się nie spóźniała. Zapowiedziała, że jej pociąg będzie na Centralnym po siedemnastej, więc zjawi się niespełna godzinę później. Jej telefon nie odpowiadał.

Wstawiłam turbota do piekarnika i wyłożyłam oberżynowe łódki na sito nad

parą. Szparagi czekały na swój moment. Kiedy wróciłam po kilku minutach do gości, sytuacja towarzyska nabrała dynamiki. Wera najwyraźniej przesunęła się od ciemnookiego, lecz nazbyt poważnego muzyka w kierunku jakiegoś smukłego blondyna, który ciut za mocno gestykulował. Ciemnooki natomiast ulegał coraz bardziej Magdalenie, a może raczej jej wysuwającym się sutkom. Gotowa do przytulania pośredniczka nieruchomości zanurzała spojrzenie w głębinach błękitnych oczu oceanografa. Tymczasem jakiś tajemniczy typ *à la* Clooney, który musiał przyjść, kiedy grasowałam w kuchennej części altanki, stał z boku i z wielką uwagą obserwował Werę. Już chciałam się nim zająć i wy badać, czy to nie ten niedzisiejszy mężczyzna, który w mailu zapytał, czy na event zapisały się już jakieś kobiety o szlachetnych sercach, ale w tym właśnie momencie weszła ubrana w zwiewną zielonkawą suknię Patrycja. Wyglądała jak nimfa, po prostu olśniewająco. Rozpłynęła się w zachwytach nad wystrojem ogrodu. Chwilę później pojawił się uśmiechnięty szpakowaty mężczyzna o sylwetce trenera fitness, a tuż za nim, wreszcie, wbiegła lekko zziębnięta Claudynka. Odetchnęłam z ulgą.

— *Bella*, co się stało?

— *Che sfortuna!* — nazwała swojego pecha po włosku Claudynka, co dowodziło jej podenerwowania. — Wybacz mi, Lukrusiu, to haniebne spóźnienie. Nie uwierzysz, co się stało — powiedziała, dając mi znak, żebyśmy na chwilę odsunęły się w stronę furtki.

— W pociągu, na wysokości Kuluszek, wsiada mędrzec w turbanie, zrzuca go i prosi cię o rękę — próbowałam żartować.

— Dobrze by było. Jakiś pyzaty demon z zakolami powiedział do mnie w kawiarni na Piotrkowskiej: pani to się dzisiaj świat wywróci, pani ucieka, jak się pani boi, albo niech się przygotowuje na trzęsienie ziemi — wyznała poważnie Claudynka.

— Uciekłaś czy wywróciłaś jemu świat? — Starłam się podtrzymać lekki ton, ale twarz Claudynki sugerowała, że sprawa jest poważna.

— Słuchaj, mam cały czas przyspieszone tętno. On miał profetyczne oczy. Przez to wszystko spóźniłam się na pociąg powrotny.

— Eee, ale to był pewnie jakiś zawiedzony życiem obszczymurek, co? — Wciąż nie dowierzałam, że racjonalna Claudynka mogła się przejąć takim nonsensem.

— Nie! Skąd! Żaden obleś, to był tarocista, Lukrusiu. On mi powrózył — szepnęła.

— Nie wierzę! Poszłaś w Łodzi do tarocisty? — O mało nie pisnęłam zaszokowana. — Przecież dwa dni temu ustaliłyśmy wspólnie, że tarot to kaszanka i nie będziemy się go trzymać.

— Nie, uznałyśmy tylko, że te karty Wery to kaszanka. Przecież normalnie tarot się sprawdza.

— Ale nie zawsze, a nawet prawie nigdy. — Próbowałam uspokoić Claudynkę, która była naprawdę tak roztrzęsiona, że nie mogłam jej poznać.

— No, wiesz... Tobie akurat przepowiednia spełniła się co do joty. Najpierw ta rewolucja, a zaraz potem nawet miłość, co do której jeszcze oczywiście nie mamy stuprocentowej pewności — zawiesiła głos, na moment znów była sobą. — Ale jednak się zabujałaś na tej ziemi przodków — jęknęła.

— Claudynko, przypominam, że najpierw był niewypał z Cezarym, a nie wiadomo, czy Konstanty to ten z tarota, czy efekt kilku tygodni ćwiczeń mojego orgazmicznego pilatesu, które podniosły mi wibracje do przyciągania mężczyzn — powiedziałam stanowczo, żeby ją uspokoić.

— Słuchaj, a jeśli cała moja Miss Boomboom runie, bo te majtki przestaną się sprzedawać? — zapytała rzeczowo Claudynka. — Wiesz, teraz wszędzie dochodzi do głosu skrajna prawica.

— *Bella*, co się z tobą dzieje? Co ma polityka do damskich majtek?

— Mogą lobbować w branży tekstylnej, by promować majtki o wiele więcej zakrywające niż moje — szepnęła Claudynka.

— *Bella*, napij się wina. — Pociągnęłam ją w stronę stolika z barkiem, gdzie napełniłam jej kieliszek. — Zaraz do ciebie wrócę.

To nie wyglądało na żarty. Claudynka rzeczywiście zdestabilizowała się wewnętrznie. Chciałam, by ktoś się nią zajął, bo ja musiałam pilnować podgrzewających się potraw. Wera w cieniu kasztanowca, otoczona tym razem przez szpakowatego atletę i złąknionego uwagi Ignacego od systemów informatycznych, brylowała. Jak miałabym ją wyrwać z tego kręgu? Rozejrzałam się wokół. Wszyscy tworzyli chwilowe duety, prowadzili gry spojrzeń, ich ciała, ożywione feromonami, otwierały się na różnych wysokościach, rozprężyły im się ramiona, wysuwały mostki, rozchyłały się usta. Zapachy perfum spłotyły się z zapachami kwiatów i potraw. Z głośników leciała właśnie tkliwa Rosa Morena w interpretacji João Gilberto. Zmysłowy język Brazylijczyka porwał moją wyobraźnię na portugalskie plaże, poczułam na ustach słońce od oceanu i nagrzaną słońcem skórę Konstantego. Zatęskniłam za nim.

— Męski lęk przed pełnym oddaniem się kobiecie to pochodna odrzucenia przez matkę.

Zwolniłam kroku. To przystojny inżynier wyjaśniał coś Magdalenie, rwąc słowa, by przełknąć ślinę i schować język, którego koniuszek wysuwał się poza jego kontrolą, jakby nie mógł się już powstrzymać przed przyłgnięciem do któregoś z jej sutków, balansujących na cienkiej granicy dekoltu.

— Poddanie się pragnieniu kobiety zawsze wiąże się z ryzykiem, ale czy jest sens nakładać to na wspomnienie odrzucenia przez matkę, w którejś z dziecięcych gier? — odpowiadała mu Magdalena.

Wniosłam oberzynowe łądki. Oregano z tymiankiem w sosie pomidorowym



zawirowało nad stołem, przejmując władzę nad delikatną wonią cukinii i bakłażana. Zobaczyłam plecy Claudynki, rozmawiającej z kimś przy skalniaku z pachnącym groszkiem. Odetchnęłam z ulgą.

— Usztywnienie mięśni w okolicach genitaliów to typowy dziś syndrom zamrożonego serca — szczebiotała Bernadetta z branży nieruchomości do oceanografa.

— Ochrona serca jest konieczna w czasach, kiedy kobiety ciągle pragną zwierzęcych seansów w łóżku — wyjaśniał rzeczowo.

Ułożyłam łyżki, posprzątałam zbędne serwetki i idąc po szparagi i gotowego — a przynajmniej taką miałam nadzieję — turbota, natknęłam się na tajemniczego Clooneya, który wciąż, jak mi się wydawało, przyglądał się Werze, konwersując chwilowo z piękną ekspertką od prawa karnego. Fakt takiego dziwnego zerkania oczywiście o niczym nie świadczył, ale tworzył potencjał do zaistnienia w wyobraźni zaskakujących zdarzeń. Intuicja mi mówiła, że coś się za tym kryje.

— Przebywanie w bliskości ludzi naładowanych wysokimi wibracjami to najszybciej regenerujące spa na ziemi — zagadnął mnie Jeremi. — Lukrecjo, zorganizowałaś niesamowity wieczór.

— Dzięki, oby tak właśnie się rozwijał — powiedziałam, zawieszając wzrok na zapatrzonej w siebie tuż obok nas parze.

— Chodź, poznasz moją przyjaciółkę Claudynkę — powiedziałam, widząc, że Claudyna już wymusnęła się swemu rozmówcy i stanęła samotnie z kieliszkiem pod drzewem.

Odetchnęłam, zostawiając ją w sensownym towarzystwie, i ruszyłam po resztę dań. Kiedy wracałam, niosąc pięknego skarpa z rodziny flądrowatych i szparagi, nie uszło mojej uwadze, że Clooney wyczaił wreszcie moment, gdy Wera bez otaczających ją samców podeszła nałożyć sobie jedzenie, przeprosił błyskawicznie blondynkę i ruszył w stronę stołu. Zgodnie z teorią przyciągania podobieństw bardzo by do niej pasował, dysponował i urodą, i elegancją na miarę Wery. Ale gdyby wierzyć teorii głoszonej przez Claudynkę, że to, co tak naprawdę magnesuje nas w kierunku innych, to ta część nas, tłumiona i mroczna, którą w nich wyczuwamy jako swoje skrywane odbicie, musiałby mieć w sobie chociaż kroplę neurotycznego pierwiastka i energię wody. Wyglądał tymczasem na najczystsza postać pragmatycznego żywiołu ziemi.

To, dlaczego nasze ciała wobec jednych ciał wchodzą w nieświadomy ruch, a wobec innych stoją jak zamrożone, chwilowo pozostawało nierozstrzygnięte. Kolacja natomiast wkraczała w swoje apogeum. Lampiony rzucały plamy świetlne między drzewami, które pod wpływem budzącego się wiatru od czasu do czasu lekko się kołysały. Lodowe misy z kwiatami paproci zaczynały lekko tracić swoją formę. Ogłosiłam więc, by mieć je na oku, bo tym, którzy wyłapią dla siebie ukryte

w zamrożonych liściach maleńkie białe kwiaty, będzie łatwiej o szczęście. Ułożyłam na tacy liście, owoce mango i kremowy mus. Poprosiłam Jeremiego, by wniósł ze mną swój wspaniały tort szpinakowy. Strzeliły korki szampanów i wznieśliśmy toasty.

— Za miłość, która już jest, i za tę, która nadchodzi! — zawołałam, podnosząc do góry swój kieliszek.

— Za miłość — zawtórowały mi głosy i stukające kieliszki.

— Za nadchodzącą miłość!

— Niech żyje miłość!

W tle poszybowały takty *Ti amo* Dalidy, które przygotował specjalnie na tę chwilę nieoceniony Jeremi. Obudził się nawet drzemiący przez cały wieczór pudelek puszystej pani od nieruchomości, ale temat miłości chyba szczególnie go nie wciągnął, bo obwąchawszy zebranych, wydał z siebie kilka szczeknięć i znów ułożył się pod drzewem. Goście wrócili do swoich dialogów, do wymian spojrzeń i słów. A ja przypatrywałam się, jak ich ciała, wyposażone w osobliwy dar głodu ciepła przekazywany z pokolenia na pokolenie przez setki lat ewolucji, nachylają się ku sobie. Jak dążą do wzajemnego kontaktu, po to, by zetknąć się, i po to, by wiedzieć, że po rozłączeniu ktoś będzie tęsknił za chwilą tego dotyku. Będzie pragnął do niej wrócić.

Spojrzałam na telefon w nadziei, że znajdę tam SMS od Konstantego. Nie było niczego. Może w tym samym stopniu, co dotyku, potrzebujemy słów i zapewnień, że ktoś za nami tęskni.

Lodowe misy stopiły się już na tyle, że goście wylawiali dla siebie kwiaty na szczęście. Chwyciłam więc za kulę ze złotą rybką i podchodząc do każdego z osobna, prosiłam, by szepnął jej swoje miłosne życzenie. Słowa, słowa, słowa... Szumiały mi w uszach. Jeremi, jakby wyczuwając telepatycznie moje myśli, puścił z głośników kolejną piosenkę. Stał mi przed oczami przystojny Alain Delon, który częstuje cukierkami Boską Dalidę. Wyobraziłam sobie, że ja częstuję innych słodką nadzieją, chodziłam więc ze złotą rybką, coraz weselej nucąc przewrotną piosenkę.

*Parole, parole, parole*

*Ecoute-moi.*

*Parole, parole, parole*

*Je t'en prie.*

*Parole, parole, parole*

*Je te jure.*

*Parole, parole, parole, parole, parole*

*encore des paroles que tu sèmes au vent...*

## ROZDZIAŁ 10

### *Kochaj albo rzuć, ale i tak kochaj*

Szumiało nam w uszach od pisku dzieci, śmiechu jedzących i resztek wczorajszych bąbelków. Z wystawionymi do słońca nogami, chowając przed zmarszczkotwórczym blaskiem twarze, jadłyśmy z Werą i Claudynką sobotnie śniadanie na żoliborskim targu. Byłam na haju, zmęczenie rozproszyło się w cząstkach wydychanego powietrza. Emocje z wczorajszej kolacji utrzymywały wysoki poziom energii w ciele. Delektując się warzywnymi sokami z marchwi, selera naciowego i jarmużu, aromatycznym humusem z guacamole, komentowałyśmy wydarzenia minionej nocy.

— Lukrusiu, to był spektakularny sukces — powiedziała, chrupiąc piętę, Claudynka, która podczas wczorajszej kolacji wróciła do formy po stresogennym natknięciu się na tarocistę i dziś była już sobą.

— Potwierdzam, potwierdzam — zawtórowała jej Wera. — Dziewczęta, nie obwołujcie mnie gourmandem sezonu, ale zamawiam jeszcze dla nas te wspaniałe wyglądające pieczone buraki — dodała, zrywając się z leżaka.

— Wszystko było perfekcyjne, jedzenie, dekoracje i ten pomysł z działką.

— On był chyba twój, Claudynko.

— I ta złota rybka — wyliczała Claudyna.

— Ją akurat przyniósł Jeremi.

— A właśnie, kto to jest ten tajemniczy Jeremi? — zapytała Claudynka zaintrygowanym tonem.

Akurat zadzwieczał kolejny SMS. Przeczytałam na głos podziękowania, tym razem od oceanografa, który jak się wydawało, miał najbardziej zmienny gust do kobiet w czasie wieczoru, ale finalnie zdecydował się na emanację ciepła puszystej Bernadetty od nieruchomości, znajdując jej pełną aprobatę.

— Dziewczyny, a ta brawurowa Magdalena dała komuś nadzieję na swoje imponujące piersi? — zapytała Wera, przynosząc nam pachnące kozim serem i basilico buraki.

— Wygląda na to, że temu przystojnemu inżynierowi w marynarce w prążki — powiedziałam.

— A ja na początku obstawiałam muzyka, trochę był nudnawy, ale taki niewinny i jakoś tak mi pasował na faceta, który fantazjuje o monstualnych piersiach, w które wsuwa sobie członka.

— Ona była niesamowita, wczoraj jako ładaczniczka, ale wyobrażam sobie, że wsuwa szeroką podomkę i w domowych pieleszach zmienia się w dziewicę — zauważyła Claudynka. — Marzenie każdego mężczyzny — dodała po chwili.

— No, nie każdego, nie demonizujcie — zaoponowałam.

— Ale większości — przyznała Wera.

— Niektórzy wolą kobiety pistolety, inni kobiety biustorakietne, a jeszcze inni kobiety zagadki — powiedziałam, zawieszając głos, bo właśnie zadzwoniła mi komórka. — O, proszę!

Zrobiłam minę odzwierciedlającą triumf telepatii nad gabarytem biustu. Byłam pewna, że to Konstanty, chwyciłam więc za słuchawkę z entuzjazmem i zaserwowałam do niej najbardziej zmysłową wersję swojego „Halo”.

— Cześć, córuniu, no, jak tam się udało wczoraj? — zadzwieczał głos matki.

— Świetnie, pogoda dopisała, wszystkim smakowało i nawet ryba mi się nie spaliła w tym przenośnym piekarniku — powiedziałam, starając się ukryć, jak mogłam najlepiej, rozczarowanie, że to ona, a nie spodziewany Konstanty.

— No to pięknie — przyznała matka lakonicznie, ale czuć było, że do czegoś zmierza. — A co robisz?

— Jesteśmy na śniadaniu.

— Z tym mężczyzną, który znosił zwłoki Kicusia? — zapytała dociekliwie.

— Akurat nie, z Werą i Claudynką, właśnie cię pozdrawiają. Ale pamiętam, że dziś mamy wypić razem kawę. Wszystkiego cię nauczę z tym blogiem. O której ci pasuje? — zapytałam.

— Tak czułam, że tamten facet już się zmył, dlatego nie pytałam. Kawa jak najbardziej, ale chciałam, żebyś przeczytała mój pierwszy wpis i powiedziała, co sądzisz. — Matka wreszcie przeszła do rzeczy.

— Jak to? — prawie krzyknęłam. Nie wiem, co mnie zszokowało bardziej — jej ocena mojej przyszłości z Konstantym czy fakt, że już stała się blogerką. — Mamo, to ty już sama sobie założyłaś ten blog? — dodałam.

— Miecio wszystko rozkminił i wczoraj wystartowałam. Zaraz ci wyślę link. Lukrusiu, przeczytaj to, polajkuj i zadzwoń. Aha, i niech twoje przyjaciółki też mi tam polajkują wszystko, pa — rzuciła na pożegnanie.

— Pa — szepnęłam osłupiała.

Zwolennicy rewolucji i wielbicieli świata postprawdy, który zaciera granice między realem a tym, co wirtualne, w chwilach takich jak ta być może po prostu używają słowa „nowoczesność”. Inni zwyczajnie stukają się w czoło. Ja, od prawie czterdziestu lat obserwując zachowania mojej matki, jedyne, co mogłam zrobić, to przyjąć, że tak jak ona nazywa swoją starość neomłodością, tak ja mogę jej szaleństwo nazywać neonormalnością.

— Dziewczęta, a teraz chwila z rozrywką, czyli odpalamy blog mojej matki! — zawołałam, śmiejąc się.

— O, madonno, to mama ci robi konkurencję w kulinarnej blogosferze? — Zdziwiła się Claudynka.

— Nie, kochana, nie w kulinarnej... — zawiesiłam głos, robiąc najbardziej suspensową minę, na jaką mogłam się w tej chwili zdobyć.

Kliknęłam link i kompletnie zamarłam. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie matki w bikini. Sądząc po pejzażu, zrobione podczas ostatniej wycieczki na Bornholm. Nawet jeśli ten cały Miecio rozkminił nie tylko blogowanie, ale i Photoshopa, spędzając pół nocy nad poładnianiem tego zdjęcia, musiałam przyznać, że było doskonałe. Ciało mojej prawie siedemdziesięcioletniej matki wyglądało lepiej niż moje. Styłowy kapelusz nadawał jej szyku i przysłaniał zmarszczki na twarzy. Płaski brzuch, wspaniałe, kształtne nogi, poza, światło, wszystko to razem wywoływało piorunujący efekt. Pod zdjęciem był napis: „Bogini rozkoszy. Sekrety neomłodości”. Pierwszy wpis miał tytuł *Połącz się z czułością*. Patrzyłam na to jak wryta przez dłuższą chwilę.

— Dziewczyny, weźcie głęboki oddech, oprzyjcie się na siedzeniach — powiedziałam wreszcie. — Wysyłam wam link do bloga bogini rozkoszy, czyli mojej osobistej matki — dodałam z pełną powagą, nacisnęłam „Wyślij” i zanurzyłam się w lekturze.

*Czułość to najwyższa forma rozkoszy. Zaczyna się w twojej głowie. Tylko ty sama możesz ją sobie dać, bo tylko ty masz do niej najlepszy dostęp. Jeśli od dawna twoje życie straciło blask, czas je naoliwić. Neomłodość zaczęła się wczoraj, ale nie kończy się jutro. Masz przed sobą długie lata życia pełnego rozkoszy i czułości, musisz tylko się na nią otworzyć. Najpierw zrób porządek. Wywal niemodne sukienki i stare przekonania. Zaczynaj ćwiczyć bonding-tendresse. Nie mieszaj w to od razu faceta. Ćwicz z przyjaciółką. Wygłodniałe seksu babki od razu informuję — to nie o to tu chodzi! Ćwiczmy obdarzanie się czułością. Jedna z was kładzie się na drugą i ją obejmuje. Jeśli jesteście puszyste, miejcie na względzie chrząstki przyjaciółki i połóżcie się splecione uściskiem na bokach, obok siebie. Musicie przylegać całym ciałem do drugiej osoby, bo to wbrew pozorom wywołuje mniejsze pobudzenie seksualne niż cząstkowe zetknięcie, ale za to pobudza uczucia. Po kilkunastu minutach takiego leżenia w ciszy poczujecie uczuciową symbiozę. Stopień czulej energii płynącej z serc. Praktykujcie to regularnie. Jeśli macie wytrzymałą przyjaciółkę, to codziennie, jeśli mniej, to kiedy się da. Po kilku seansach poczujecie różnicę w życiu seksualnym, w codzienności, w zwykłym dotyku. Chociaż, co ja piszę — zwykłym... Dotyk kobiety, która świadomie przeżywa swoją neomłodość, nigdy nie jest zwykły.*

*Boginie rozkoszy, życzę Wam dużo czułości!*

— O, w mordę jeża! — Westchnęła Wera, która jako pierwsza ochłonęła z wrażenia.

— Ciekawe, czy to bondingowanio-tendressowanie można też robić w trójkątach? — zapytała rzeczowo Claudynka.

— Claudynko, może zapytaj w komentarzu, mama się ucieszy. —

Wybuchnęłam śmiechem.

— Nie mam śmiałości, może na razie polajkuje — powiedziała Claudynka, robiąc dwuznaczną minę.

— Ja też lajkuje — rzuciła Wera.

W powietrzu wisiała potencjalna dyskusja nad techniką bondingowego tendressu i kto wie, do jakich byśmy doszły wniosków, gdyby nie zadzwonił telefon. Wera spojrzała na wyświetlacz, lekko się zmieszała i podniosła słuchawkę, do której rzuciła swoje najerotyczniejsze „Halo”, jakie miała w repertuarze. Po czym zrobiła przeproszający znak ręką i odeszła na bok. Zamówiliśmy dla nas trzech po espresso. Były gotowe właśnie w chwili, gdy podekscytowana Wera wróciła do stołu. Jej oczy płonęły.

— Wuuuuuuuuu! — pisnęła. — Dziewczyny, zaprosił mnie na wieczorny spacer! — wycedziła, podniecona w taki sposób, jakiego nie widziałyśmy u niej od dawien dawna.

— Bosko! — Westchnęłam.

— Ale kto? — zapytała przytomnie Claudynka.

— No, on, Piotr.

— Ktooo?! — wrzasnęłyśmy z przerażenia.

— Nie, nie! Luz blues! To nie ten mój, to znaczy już nie mój... To nie tamten dawny Piotrek. Po prostu on też się nazywa Piotr — zaćwierkała podekscytowana Wera.

— Ten Clooney z wczoraj? — Odzyskałam przytomność.

— Taaak! — Wera rozpromieniła się jak mała dziewczynka, a jej oczy lśniły intensywnie jak małe żaróweczki.

— No, czułam, że coś jest na rzeczy.

— Dziewczyny — szepnęła Wera, nachylając się nad stołem. — Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś tak mnie zelektryzował.

— O, madonno! — zawołała nagle Claudynka, unosząc się nad stołem. — Dziewczyny, to działa!

— Co? — zapytałam.

— Nasz rytuał. Wera odcięła Piotra i pojawił się ktoś nowy.

— Też Piotr — zauważyłam.

— To akurat nie najlepiej — powiedziała nazbyt szczerze Claudynka. — Lukrusiu, ty odcięłaś strach przed matką i...

— I od razu bonding-tendressing i *true love*. — Zaśmiałam się. — No, coś jest na rzeczy.

— A może twoja matka tak naprawdę dla ciebie napisała ten post, bo wiesz, ma blokady i nie umie z tobą rozmawiać o czułości? — Podkreśliła się wiecznie pełna dobrych intencji Wera.

— Obawiam się, że zachęcanie do przytulania z przyjaciółką na blogu to

może być raczej pierwsza oznaka kryzysu w pożyciu z dynamicznym Miciem — wyznałam sceptycznie.

— Dziewczyny... — Claudynka przełknęła espresso i zrobiła znaczącą pauzę. — A może ten mój tarocista z wczoraj... — Przeszła na konspiracyjny ton. — To znaczy ta jego przepowiednia...

— Myślisz, że ma związek z odcięciem więzi z Giovannim?

— Tak! Jeszcze tego nie rozumiem, ale już to przeczuwam — powiedziała nagle bardzo stanowczo.

Dolcevito miał już dość. I hałasów, i nudy siedzenia u naszych stóp pod stołem. Zaczął się łąsić o spacer. Wera, podekscytowana czekającym ją spotkaniem, też chciała się już zbierać, a Claudynka za trzy godziny miała samolot powrotny do Mediolanu. Dopiero wstając od wielkiego stołu, zauważyłam, że wszystkie trzy kobiety, które siedziały nieopodal, były w ciąży. Kupiłam jeszcze trzy małe słoiki kwiatowego miodu, wręczyłam je każdej z nas jako symbol słodyczy po nocy świętojańskiej i ruszyliśmy z żoliborskiego targu spacerem wzdłuż pięknie zieleniących się drzew na cytadeli do fortecy, gdzie Wera zostawiła auto. Po drodze minęły nas dwie kolejne kobiety w ciąży.

— Dziewczyny, czy tu jest najwyższy współczynnik płodności w kraju? — podzieliłam się spostrzeżeniem, które towarzyszyło mi podczas obserwacji kobiet na targu.

— Nie, po prostu jesteś w takim wieku, że zwracasz na to uwagę — powiedziała Claudynka, a mnie zrobiło się jakoś dziwnie nieswojo.

— W jakim wieku? — zapytałam.

— Granicznym. To normalne, że ciągle o tym myślisz, więc to dostrzegasz.

— Straszna z ciebie konserwa, Claudynko, dlaczego zakładasz, że każda bezdzietna kobieta dobijająca czterdziestki myśli o dzieciach? — włączyła się Wera.

— Nie każda. Kobieta wyobraża sobie swoje potencjalne dziecko tak, jak widzi swoje wewnętrzne dziecko. Jeśli ono jest poranione, to kobieta nie lubi siebie i wyobrażenia dziecka, które by z niej wyszło.

— Claudynko, to może my jesteśmy te przypadki, skoro żadna z nas nie ma dziecka i nie spodziewa się go mieć — zażartowała Wera.

— O, mów za siebie, Wera — powiedziałam, próbując być zabawna. — Dziewczyny, wy naprawdę sądzicie, że my... — dodałam, już nie siląc się na żarty. — Że my nie będziemy nigdy matkami?

— Lukrusiu, nie ma żadnego nigdy ani żadnego zawsze, jest to, co teraz — powiedziała Claudynka, gładząc mnie po ramieniu.

Czułam, że chciała zamknąć temat, więc przestałam drażnić. Może miała ten sam skurcz brzucha, gdy patrzyła na mijające ją ciężarne, a może po prostu była trochę zmęczona po imprezie, tarociście i sprawach zawodowych, które załatwiała



w łódzkich szwalniach. Wsiadłyśmy do auta, a ja znów spojrzałam na telefon. Konstanty milczał.

— Dziewczyny, chyba sama mu zaproponuję kino wieczorem, już nie mogę wytrzymać tego czekania.

— A kto zawsze mi powtarza, że kobieta musi chronić swoje światło i łatwo go nie rozdawać? — zażartowała Wera.

— To nie ja! Tak mówi ten kabalista Claudynki, ja go tylko cytuję — powiedziałam usprawiedliwiająco.

— Zaczekaj, niech potęskni.

— Zajmę się robieniem wpisu o detoksie. Dziewczyny, od jutra startuję — wyznałam.

— Cooo? — zapytały jednocześnie.

— Tak, robię na blogu dziesięciodniowe wyzwanie detoksykujące.

— Super, ale po co?

— Spójrz. — Podniosłam do góry bluzkę. — Muszę ten brzuch zrzucić przed wyjazdem z Konstantym do Portugalii, bo się mnie przestraszy w bikini.

— Daj spokój. Tylko chłopcy szukają płaskich brzuchów u kobiet. Prawdziwi mężczyźni wiedzą, że kobiecy brzuch to życie, więc go wielbią — pocieszała mnie jak zwykle Wera.

— Dziewczyny, chyba jednak zaproponuję mu to kino — powiedziałam, kręcąc się niespokojnie.

Wera nie odpowiedziała, spojrzała na mnie swoimi pięknymi oczami i korzystając z tego, że właśnie stanęłyśmy na czerwonym świetle, odpaliła w iTunes ścieżkę dźwiękową z Boba Marleya. Zaczęła nucić polską wersję. Po sekundzie śpiewałyśmy już wszystkie, drąc się przy tym wniebogłose. Nasze słowa płynęły przez otwarte okna, jak manifest dla całej ulicy i wszystkich zastępów kobiet, które kiedykolwiek mogły nią przechodzić.

*Jeśli ona jest niesamowita,*

*Nie będzie łatwa.*

*Jeśli jest łatwa,*

*Nie będzie niesamowita.*

*Jeżeli jest warta twoich wysiłków,*

*Nie poddasz się.*

*Jeśli się poddasz,*

*Wtedy jest jasne,*

*Że to ty*

*Nie jesteś jej wart...*

Wera wysadziła nas pod moim domem, uściskałyśmy się, życząc jej boskiej randki, i wdrapaliśmy się na górę. Claudynka zaczęła się pakować, a ja zaparzyłam dla nas pożegnalną senchę. Zauważyłam, że siadł jej nastrój. Nie wiedziałam tylko, czy smutno jej z powodu wyjazdu, czy ciągle jeszcze trawi słowa tego tarocisty. Sobota tonęła w słońcu. Usiadłyśmy na balkonie, delektując się herbatą i jedząc pistacjowe ciastka.

— Słuchaj, a ten Jeremi z wczoraj, to kim on właściwie jest? — zapytała niespodziewanie Claudynka.

— Żebym to ja wiedziała? — Zamyśliłam się, sama nie będąc pewna, jak go określić. — Nieprzenikniony gość, ale podpytaj Werę, ona go zna. Skąd to zainteresowanie?

— Dużo wie o zdrowym odżywianiu, mieliśmy ciekawą rozmowę — powiedziała dziwnym tonem Claudynka. — Wyobraź sobie, że tak jak ja interesuje się biologią totalną i praktykuje kwantowe uzdrawianie.

— O! To tym bardziej musisz zagadać z Werą. On jest podobno milionerem, to może założycie razem jakąś kwantową klinikę dusz — powiedziałam rzeczowo.

— Jaką klinikę? Nie wierzysz w przyszłość moich seksownych majtek nowej generacji? — Oburzyła się Claudynka.

— Wierzę w ciebie, w twoje majtki i wszystko, co zrobisz — zapewniłam. — Po prostu szukam sposobu, żebyś wreszcie zamieszkała w najfajniejszej stolicy Europy, która zmienia się z prędkością światła i co chwila zrzuca ci na głowę jakieś niewypały, dzięki którym możesz...

— Ciągle się rozwijać? — Zaśmiała się Claudynka.

— Możesz iść naprzód... i być blisko nas! — zawołałam, przytulając się do Claudynki.

\*\*\*

Pożegnałyśmy się czule i wesoło. Claudynka odjechała taksówką na lotnisko, a ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Chyba schodziły ze mnie emocje ostatniej doby. Nie wytrzymałam. Może kobieta musi chronić światło, ale pal sześć, czasem powinna też działać. Wysłałam do Konstantego SMS z propozycją kina. Żeby nie dręczyć się czekaniem na odpowiedź, zajęłam się opracowywaniem mojego detoksu. „Nie ma słodszej miłości od miłości do jedzenia...”. Może tak zacząć

pierwszy dietetyczny wpis? „Centrum odpowiedzialnym za kontrolę apetytu jest tak zwany ośrodek głodu i sytości, który znajduje się w podwzgórzu...”. Jeszcze gorzej — pomyślałam, pisząc drugie zdanie. Wyraźnie miałam zaćmienie umysłu. Włączyłam włoskie radio z muzyką klasyczną, żeby odpłynąć poza czas i poza przestrzeń. Nalałam sobie kieliszek chardonnay, a kiedy rozsiadłam się z nim na kanapie, by zanurzyć się w lekturze powieści Eleny Ferrante, zaświszczał SMS. *Może wpadniesz do nas na kolację? Właśnie z Lenką robimy lazanie.*

Podskoczyłam z radości. A więc jednak? To wszystko przybiera już poważne rozmiary. Inaczej nie poznawałby mnie z córką. Zawirowałam ze szczęścia. Chciało mi się tańczyć, krzyczeć, wyc w wilczym głosem. Założyłam swoją maskę, zakolysałam miednicą. Wera była na randce, Claudynka jeszcze pewnie w samolocie, nie mogłam im apdejtować o rozwoju zdarzeń. Będzie się działo! Czułam to, czułam w całym ciele, że wszystko się rozkręca.

Pobiegłam pod prysznic. Puściłam wodę i stanęłam na jednej nodze, a po paru minutach na drugiej, żeby złapać wewnętrzną harmonię. Namydliłam się tym mydłem, którego używam zawsze, gdy spotykam się z Konstantym — z olejem konopnym i gałką muszkatołową. Wybrałam szafirową sukienkę i designerski metaliczny naszyjnik, do tego bransoleta od kompletu. Zastanawiałam się, czy to nie za elegancko jak na zwykłą domową kolację. Mój głos wewnętrzny szeptał swoją ulubioną mantrę: *Po co się ograniczać? Gdy odmawiasz sobie przyjemności, zgodnie z prawem przyciągania świat też ci czegoś odmówi. Pozwalaj sobie na więcej i wyobrażaj sobie coraz więcej.*

Kwiatowo-drzewne *For You* — czy cokolwiek innego mogło lepiej oddać ten wieczór? Misterna lilia, czarny irys, aromat cedru, akcent ylang-ylang. To było to. Wsunęłam buty na niskich koturnach. Zabrałam pudełeczko kremowego musu, owoc mango i trzy liście, które pozostały z wczorajszego wieczora. Naładowana radością ruszyłam do Konstantego. Po drodze rozważałam jeszcze wstąpienie po jakiś kwiat do dekoracji stołu, ale na szczęście się opanowałam. Przecięłam Aleje Ujazdowskie, rzuciłam okiem na zabytkową wagę stojącą przy bramie parku, którą uczynię wdzięcznym świadkiem mojego detoksu, i po pięciu minutach dzwoniłam już do drzwi kamienicy przy Górnośląskiej.

— Halo? — usłyszałam zdziwiony głos dziewczynki.

— Tu Lukrecja — powiedziałam.

— Kto taki? — powtórzyło dziecko.

— Lu-kre-cja!

Zapadła cisza. Dziewczynka najwyraźniej odłożyła słuchawkę, nie naciskając przycisku otwierającego drzwi. Może zepsuł się domofon — pomyślałam. Poczulałam się nieswojo. Czekałam, czy może Konstanty schodzi do mnie, bo coś nie zadziało. Po chwili znów nacisnęłam przycisk domofonu. Nikt nie podniósł słuchawki, ale tym razem po minucie drzwi się otworzyły. Weszłam

po stromych schodach na górę. Na progu stał Konstanty.

— Zaskoczyłaś nas — powiedział, uśmiechając się.

— Jak to? Wydawało mi się, że mnie zaprosiłeś — powiedziałam zmieszana.

— Tak, ale nie odpisałaś, że przyjdiesz. Myślałem, że propozycja została odrzucona z powodu lepszych ofert. — Konstanty wciąż się uśmiechał.

— Żartujesz chyba? — odpowiedziałam pytaniem i już sięgałam ręką po telefon, by mu udowodnić niedorzeczność jego słów, kiedy uświadomiłam sobie, że w amoku szczęścia rzeczywiście chyba nie odpisałam.

— Nieważne, wchodź do środka. — Otworzył zapraszająco drzwi. — Już usiedliśmy do kolacji, ale zaraz nakryję dla ciebie — powiedział serdecznym głosem. — A to jest moja kochana Lenka. — Objął ramieniem córkę.

— Miło cię poznać, jestem Lukrecja, tata tyle mi o tobie opowiadał — powiedziałam najmilej, jak mogłam, patrząc na zblazowaną twarz dziewczynki.

— Ale dziwne imię — mruknęła Lenka, podając mi rękę, i usiadła nad swoim talerzem. — Jak gorzka przyprawa.

— Mam tu dla nas małe przysmaki na deser. — Wręczyłam Konstantemu pudełko, przelicykując bez komentarza słowa córeczki.

— O, wspaniale, cóż to? — zapytał, zaglądając do środka. — Lenko, czekają nas wyborne słodkości, Lukrecja jest mistrzynią kuchni i ma najwspanialszy blog o gotowaniu na świecie.

Rozpłynęłam się pod wpływem jego słów. Już chciałam mu powiedzieć, jakie to szczęście spotkać kogoś, kto docenia pracę swojego partnera. Jak bardzo to daje skrzydeł, ale nie zdążyłam.

— Ja i tak nie jem słodczy, mama mówi, że od tego robią się najstraszniejsze pasożyty w jelitach i psują się zęby — przypomniała o swojej obecności Lenka.

Konstanty zachowywał się tak, jakby nie słyszał, co mówi jego córeczka. Jak gdyby nigdy nic podgrzał dla mnie już ostygłą lazanię i przeszedł do streszczania, co robili z córką przez cały dzień w Centrum Nauki Kopernik, a potem na basenie. Mówił to z takim entuzjazmem, że naprawdę czułam, że jest najbardziej rodzinnym facetem pod słońcem. Kim musiała być ta jego żona, żeby go stracić? Dlaczego w ogóle mi o tym nie opowiedział?

Nałożył mi jedzenie i wreszcie przestał mówić o Lence. Zapytał, jak się udała Kolacja Świętojańska.

— Zaczęło się od przygód w ciągu dnia — powiedziałam. — Byłam w ferworze gotowania, kiedy zauważyłam, że DolceVito ciągle się nerwowo drapie. Zorientowałam się, że dręczy go pchełka, którą musiał złapać na spacerze.

— Mam nadzieję, że nie od Grazusa. — Zaśmiał się Konstanty.

— Ha ha, nie sądzę. W każdym razie kupiłam szampon uśmiercający pchły i...

— Pchły odczuwają ból, nie można ich torturować, przecież one czują — zauważyła Lenka, a ja zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby jej nie ugryźć.

— Na szczęście obyło się bez tortur — próbowałam obrócić to w żart. — Okazało się, że to nie pchła, tylko ranka, którą trzeba było opatrzyć. Udało mi się to zrobić bez pomocy weterynarza. Reszta układała się już idealnie, z pogodą włącznie.

— No, widziałem na zdjęciu, które mi wysłałaś, że była magiczna sceneria — powiedział, sięgając po telefon. — Spójrz, Lenko, jakie Lukrecja zrobiła piękne przyjęcie. — Pokazał córce telefon.

— My też mamy takie lampiony w ogrodzie, mama je pozawieszała na drzewach, ale nasze są większe, więc lepiej świecą — odpowiedziała córeczka.

Konstanty zapalił świece, ich delikatny magnoliowy zapach idealnie komponował się z minimalistycznym wystrojem przestronnego wnętrza. Zebrał talerze i dolał mi wody. A ja wstałam, żeby przygotować deser na liściach. Mango roztaczało wspaniały aromat, przełamując się z wanilią i cynamonem, zawartym w masie kremowej. Ładnie zestrajało się ze świecą.

— A może miałybyś ochotę zjeść kawałek mango bez kremu? — zaproponowałam Lence.

— My nie jemy owoców po posiłku, a już zwłaszcza po kolacji, bo one potem fermentują w przewodzie pokarmowym i się robią nieprzyjemne gazy — wyjaśniła córeczka.

— Lenko, czy ty trochę nie przesadzasz? — Konstanty próbował załagodzić sytuację. — Odrobina owocu burzy nie wywoła.

— Sam mi przecież mówisz, że mam tak nie jeść — uderzyła Lenka z grubej rury.

Oddychałam głęboko. *Uno... due... tre...* Wiedziałam, że tylko to pozwoli mi przetrwać. Nałożyłam dwa desery na liście i podałam do stołu. Lenka wstała, przynosząc się na sofę, i zaczęła klikać na iPadzie. Czułam, jakby siekiera wisiała w powietrzu. Doceniałam starania Konstantego, który puścił aksamitne dźwięki Keitha Jarretta, ale marzyłam tylko o jednym — żeby jak najszybciej to się skończyło. Jakaś część mnie coraz bardziej się spinała.

— Mhhh, wyborny, Lukrecjo — zachwycił się Konstanty. — Wyobrażam sobie, jakie wczoraj musiało tam być kulinarne szaleństwo — powiedział, kręcąc z zachwytem głową.

— Nie tylko kulinarne — próbowałam zażartować. — Były też lodowe misy z ukrytym w listkach paproci kwiatem dla potencjalnych zakochanych i złota rybka, która spełniała marzenia — opowiadałam, przez chwilę znów czując szczerą entuzjasm, a może i cichą nadzieję, że chociaż tym zainteresuję Lenkę.

— I gdzie się podziała ta rybka? — zainteresował się Konstanty, Lenka nawet nie poderwała głowy znad urządzenia.

— Czekaj, żeby cię poznać, u mnie w salonie — powiedziałam.  
— Będę zaszczycony — powiedział, szczerze się przy tym uśmiechając. — Mam nadzieję, że nie wypstrykała się z mocy spełniania życzeń, bo mam kilka.  
— Będziesz musiał sprawdzić — powiedziałam, uśmiechając się.  
— No a jak towarzystwo? Czy jakieś pary miały się ku sobie? — zapytał dociekliwie.  
— Owszem, owszem. Trzymaj kciuki za Werę, bo jeden facet nie spuszczał z niej oka, a był bardzo w jej typie. I Wera, i on znaleźli białe kwiaty w swoich misach. Jeśli więc włączy się w to jeszcze moc złotej rybki, kto wie, kto wie... — Zaśmiałam się, odzyskując dobry humor.

— Tato, jestem senna — jakby w odpowiedzi powiedziała Lenka.  
Porzuciłam złudzenie, które żywiłam, idąc na kolację, że córka najpierw mnie zauroczy, potem szybko zaśnie, a my, przytuleni, będziemy mogli rozmawiać o wszystkim, czując swoją bliskość i rytm oddechów. Sytuacja była trochę niezręczna, bo Lenka ewidentnie miała cały zestaw potrzeb przed pójściem spać. Pożegnałam się więc, życząc Konstantemu przyjemnej nocy, a córka ulokowała się w łazience, puściła wodę do wanny i tylko przez drzwi rzuciła mi „Cześć”. Zorientowałam się, że w tym tajemniczym pokoju z koroną na drzwiach, którego nie zaprezentował mi Konstanty podczas pierwszej wizyty, było właśnie jej królestwo. Jak mogłam wtedy nie wpaść na coś tak oczywistego. A może jest tak jak mówiła Claudynka, może mam w sobie poranione wewnętrzne dziecko, dlatego nie jestem matką. Może ta cała Lenka wyłapała to przez skórę? Poczułam, jak zaszkliły mi się oczy.

\*\*\*

Wieczór był ciepły i parny. Powietrze stało w miejscu, jak w paszczy olbrzyma, który nic już nie może przełknąć, bo czuje się najcięższą wersją siebie. Miasto jakby zapadło w sen. Wydawało się zupełnie opustoszałe, nie tyle z powodu godziny, bo była dopiero dziewiąta, ile przez wakacje, które właśnie się zaczęły i wyгнаły ludzi w milsze zakątki. Nad jeziora, morza, na rozgrzane piaski, na których leży się we dwoje, wpatrując się w nieskończoną linię horyzontu, wierząc, że można w tym trwać. Kiedy zbliżałam się do domu, zaświszczał SMS.

*Bella, dziękuję, zrobiłaś mój czerwiec. W domu na przywitanie pękła rura, właśnie skończyłam walkę z żywiołem, sąsiad obiecał mnie zabić, bo żywioł przeciekl. Także nie lekceważmy tarocistów! Dzieje się! Lofka forever <3*

Weszłam do klatki. Powonienie podpowiadało, że chwilę wcześniej musiała tędy przechodzić Patrycja. Zastanawiałam się, czy ten wysportowany dryblas, z którym wczoraj najdłużej rozmawiała, w jakikolwiek sposób mógłby sprostać jej wyrafinowanym estetycznym potrzebom. Jak długo zdołaliby przetrwać razem? Na pierwszy rzut oka byli przecież tak od siebie różni. Czy im trwalszy związek, tym

dłuższa twoja lista kompromisów, na które poszłaś ze szczęściem?

Na półpiętrze przystanąłam z niedowierzaniem. Imponujący meksykański sukulent, taki sam jak ten, na który czekałam, zniknął bez śladu, jakby był moim snem. W domu napiłam się wody z solą himalajską, chcąc poinformować ból głowy, który mógł nadejść, że i tak go nie wpuszczę. Zabrałam DolceVita na szybki spacer.

Park Ujazdowski był zupełnie pusty. Zatrzymałam się na mostku obwieszonym miłosnymi klódeczkami i spojrzałam na pergolę po drugiej stronie stawu, pod którą staliśmy dwa dni temu przytuleni. Zrobiło mi się dziwnie smutno. Obeszłam staw. Kiedy doszliśmy do placu zabaw, DolceVito zaczął biegać pod drabinkami. Był taki śmieszny, gdy się rozpędzał i chwiał na boki. Przysiadłam na jednej z huśtawek i zaczęłam mu się przyglądać.

*By nie żyć samotnie, żyjemy z psem...*

*By nie żyć samotnie, czekamy na wiosnę...*

W głowie zadźwięczały mi słowa prześladowanej mnie często piosenki. Wychyliłam się do tyłu i zaczęłam się huścić. Coraz mocniej, coraz szybciej. Wzbijałam się i opadałam, włosy ześlizgiwały się na moją twarz. Drzewa malały i rosły, budynki przy Alejach zbliżały się i oddalały. Ciało stało się lekkie, jakby płynęło w powietrzu. Wiatr łaskotał mnie w ręce, nogi, twarz. A ja falowałam. Było mi błogo. Wciągałam powietrze i wypuszczałam je. Wylatywały z nim wszystkie rozpieszczone Lenki świata, wszystkie lęki o to, że nigdy nie zamieszkamy razem. Wzbijałam się górę i znów czułam nowy powiew. Kołysałam się w przestworzach, a moje ciało, jak czuła mapa zmian, poddawało się moim oddechom. Im głębiej wciągałam powietrze i mocniej je wypuszczałam, tym stawało się lżejsze. Wszystkie zapisane w powieziach smutki i strachy wypadały z nanocząstkami powietrza, przefiltrowane przez moje płuca. Czułam, że moja mapa zależy tylko ode mnie. Że mogę wyrzucić z niej wszystkie ślady zranień. Starość to przeładowana lękami i smutkiem mapa ciała, która ciąży ku ziemi. Wystarczy ją pozamiatać.

Zatrzymałam huśtawkę i weszłam na zjeżdżalnię. Zaświstało mi w uszach, zjechałam raz jeszcze i jeszcze. DolceVito skakał z podekscytowania, biegając dookoła, jakby sam też chciał spróbować. Wtaszczyłam go na rękach i zjechaliliśmy razem. Śmiałam się jak szalona, a on szczekał najgłośniejszym, jak potrafił. Odgłosy niosły się między drzewami we wszystkie strony miasta. Podbiegłam do karuzeli. Rozpędziłam ją i wskoczyłam na siedzenie, a potem znowu i znowu, aż zawirowało mi w głowie i padłam na miękką nawierzchnię placu. Leżałam tam lekka, jakby moje ciało było mgłą. Polem czystego przepływu. Było mi tak lekko w każdym mięśniu, każdym kawałku skóry, jak gdyby ktoś kołysał mnie w wielkiej bańce.

Dolcevito poliział mnie po twarzy i zamerdał ogonem, dając znak, że już pora się ruszyć. Przyjemny ciepły wiatr towarzyszył nam w drodze powrotnej.

\*\*\*

*Córeczka Konstantego to potwór, z kamienicy zaczęły znikać egzotyczne rośliny, a ja dzień przed detoksem wiruję na karuzelach, jest pięknie, lofka <3*

Odpisałam na SMS Claudynki i weszłam do kamienicy. Na półpiętrze znów znieruchomiałam. Prężył się tam ponownie *Pachyphytum compactum* o pięknych, geometrycznych liściach, pokrytych delikatnym białym nalotem, których brzegi przypominały szlify brylantu. Miałam nawet wrażenie, że lśniły niczym szlachetne kamienie. Przetarłam oczy niepewna, czy od tego wirowania nie mam przywidzeń. Roślina stała dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej. Jeden z listków opadł na podłogę. Zabrałam go na dowód, że nie śnię.

Zaparzyłam mieszankę z libańskiej szaławii, której słodkawy aromat i orzeźwiający smak przyjemnie dopełniały uczucia błogości. Podeszłam do laptopa. Może ta dzisiejsza kolacja była jak znikający kwiat. Może nie muszę nawet jej pamiętać? Nacisnęłam przepowiednię. Wypadł heksagram 12: Stagnacja. *Niebo na górze. Ziemia na dole. Wszystko, co nowe, może cię przerażać i stanowić zagrożenie. Oszczędzaj siły. Skup się na tym, co już masz, i bądź bardzo ostrożny.*

Wzięłam łyk naparu z szaławii. Podeszłam do lodówki, napisałam na kartce: *Niczego nie naprawiaj, niczego się nie bój, tylko doświadczaj!* Przykleiłam ją i przytuliłam się do mojego buldożka.



## ROZDZIAŁ 11

### *Naszkić sobie raj i wskakuj do środka*

Delikatny stukot wyrwał mnie ze snu. Nie był jego częścią. Przez chwilę wsłuchiwałam się w jego rytm, próbując ustalić, czy na pewno dobiega zza moich drzwi. Powoli zsunęłam się z łóżka i poszłam otworzyć.

— Ciao, *bella*! No, chyba cię nie budzę — zaświergotała rozpromieniona Wera.

— O, madonno! Wyglądasz jak bogini słońca! — zawołałam, przypatrując się jej obłądnej zwiewnej kreacji w odcieniach delikatnego różu.

— Nie przeszkadzam? — zapytała, wchodząc. — Nie mogłam wytrzymać. Słuchaj... — Wstrzymała oddech. — On jest emanacją mojego snu — pisnęła.

— Kto? — zapytałam. — Ten Piotr?

— Taaak! — zawołała Wera. — Wczoraj nagle położył moją głowę na swoich kolanach, w ten sposób...

— Już mieliście seks? — zapytałam zaskoczona. — Zrobię kawy, dobrze? — zaproponowałam.

— Tak!

— Wow!

— To znaczy kawa tak, seks jeszcze nie — sprostowała Wera, która, nie ulegało wątpliwości, była na endorfinowym haju. — Wczoraj mieliśmy niesamowitą randkę i w pewnej chwili w amfiteatrze trochę się przytulaliśmy i nagle on jakoś tak mnie objął, że moja głowa zsunęła się na jego kolana. Dokładnie tak jak w tym moim śnie, pamiętasz? Tym, co go miałam po masażu czakr u pana Rajmunda. Wtedy zobaczyłam, w tym śnie, mężczyznę, który trzyma mnie na swoich kolanach, i ta twarz w księżycu była taka sama.

— Nie mówiłaś, że w tym śnie widziałaś jego twarz.

— On miał na twarzy półksiężyc w tym śnie. I wczoraj wieczorem, jak tak oparłam głowę, spojrzałam w górę i był tam niesamowity rosnący księżyc, dokładnie na wysokości jego twarzy. Tak jakby ją przysłał.

— Niesamowite — szepnęłam poruszona. — Powiedziałaś mu to? — zapytałam, wyjmując filiżanki do kawy.

— Nie, no co ty! Jemu jeszcze nie. Dlatego przybiegłam, żeby powiedzieć to tobie — wstrzymała oddech. — Lukrusiu, mówi ci, to jest on, to będzie *true love*! — zawołała.

Rozdrobniłam kilka ziaren kardamonu, dodałam cynamon i podałam kawę. Twarz Wery świeciła takim blaskiem, jakby ten księżyc oprószył ją złotem. Przypomniałam sobie wpatrzona w nią przez cały wieczór oczy Clooneya i nie miałam wątpliwości, że coś się kroi. Nawet jeśli Wera miewała pewną skłonność

do przesady na punkcie łączenia swoich profetycznych snów z rzeczywistością, to najwyraźniej nie był ten moment, w którym się myliła.

— Kim on jest? — zapytałam, przypominając sobie, że przedstawił się na kolacji najbardziej lakonicznie ze wszystkich gości.

— Jest prawdziwym wizjonerem, rozmawialiśmy o zanikających gatunkach roślin i nadmiernej eksploatacji minerałów na Ziemi — powiedziała rozmarzonym tonem.

— Ale coś ci powiedział o sobie?

— No cóż, wszystko coś mówi o człowieku. Sama przecież wiesz. Po tym, na co zwraca uwagę, już się zorientowałam, że ma niesłychanie wytworny gust. — Ekscytowała się Wera.

— No, ale kim on jest, że się tak wyrażę, z zawodu? — zapytałam.

— Odezwała się Claudynka. — Zaśmiała się Wera. — A ty kiedy się zorientowałaś, czym się zajmuje Konstanty, jeśli wolno spytać? — zapytała prowokacyjnie.

— To fakt. — Uśmiechnęłam się. — Ale przynajmniej po pierwszej randce wiedziałam, że interesują go jaja od muzykalnych kur. — Wybuchnęłam śmiechem.

— O ile temat jaj jest jeszcze dla mnie tajemnicą — zaczęła Wera swoim aktorskim tonem — o tyle muzykalnością, owszem, emanuje. Doceniał śpiew ptaków. — Zaśmiała się, popijając kawę.

— Nie ma córki, mam nadzieję? — przeszedłam do pytań taktycznych.

— Żadnych córek, synów, żon. I nawet nie musiałam pytać, uff... — Wypuściła powietrze. — Sam mi to powiedział.

— O! Dobry znak, zależy mu! A jada boczek lub salceson?

— Nie no, Lukrusiu, opanuj się. Aż tak się jeszcze nie znamy. Jedliśmy humus na Poznańskiej, a potem lody.

— Hm, dziwne, jak go zobaczyłam, nie wyglądał mi na kogoś, kto jada humus w śródmiejskich barach. — Zamyśliłam się.

— Co masz na myśli? — Zaniepokoiła się Wera.

— A nie, nic konkretnego — odpowiedziałam. — Masz ochotę na podsmażonego banana w syropie klonowym?

— Taaak!

— O rany, stop! To znaczy tobie mogę zrobić, ale ja mam przecież od dziś detoks. Zapomniałam, nawet kawy nie mogę — jęknęłam.

— To zacznij od jutra! Dzisiaj celebруем naszą przyszłą miłość — powiedziała, wznosząc filiżankę jak do toastu.

— Zaczekaj! — poprosiłam.

Wyjęłam butelkę z nalewką pigwową i wyciągnęłam z górnej półki dwa kieliszki. Zdjęłam nakrętkę i powąchałam. Obłądny słodkawy aromat rozniósł się

po pokoju. Słońce odbiło się w kryształowych kieliszkach. Rzadko ich używałam. To były moje drogocenne prezenty od ciotki Aurelii.

— *Bella*, zrobimy z tej okazji debiut mojej nowej pigwówki. Jak mawiała Aurelia, toasty za miłość muszą mieć moc — powiedziałam.

— Lukrusiu, życz mi, proszę, żeby to była historia inna niż wszystkie, żeby to wreszcie było coś naprawdę — powiedziała Wera wzruszonym głosem.

— Niech będzie tak, jak chcemy, żeby było! *Vivat* miłość — zawołałam.

— *Vivat* nowe wersje nas! — zawtórowała Wera.

\*\*\*

Wera popędziła na spotkanie z klientem. Ledwie zdążyła wyjść, zaesemesowała, że Piotr już się z nią umówił na wieczór. Żeby nie kusiło mnie wychodzenie przed szereg z propozycjami dla Konstantego, zajęłam się przygotowaniem do swojego występu na panelu dyskusyjnym podczas konferencji kulinarnej, na którym miałam przemawiać za dwa dni. Postanowiłam skupić się na przyszłości i opowiedzieć, jak będą się zmieniać nasze zwyczaje kulinarne w związku ze zmieniającym się stylem życia i malejącymi zasobami Ziemi.

Wychodząc z Dolcevitem, spotkałam Patrycję, która zaproponowała mi wspólny wypad wieczorem na jakiś metafizyczny taniec. Wahałam się. Bo co, jeśli Konstanty zaesemesuje z propozycją pójścia do kina? Postanowiłam jednak nie czekać, tylko doświadczać. Zgodziłam się. A może zaprosić Konstantego na tę konferencję? — pomyślałam, wracając do domu. Chociaż lepiej nie, nie wiadomo, jak wypadną.

Zatrzymałam się przed kwaciarnią. Na wystawie stały kędzierzawe lawendowo-niebieskie scobiosy. Musiała to być odmiana *Butterfly Blue*. Nie mogłam się oprzeć. Przed jutrzejszym detoksem zasługuję na coś pięknego — pomyślałam. Kupiłam jeszcze na straganie grejpfruty na sok i wdrapałam się na górę. Zblendowałam buraka, owoce i imbir. Ustawiłam szklankę na tle mojego romantycznego fikusa i sfotografowałam. Otworzyłam laptop i zaczęłam pisać:

*„Stałyśmy się tymi mężczyznami, których chciałyśmy poślubić” — mawiała amerykańska feministka Gloria Steinem. A ja proponuję Wam, byśmy się stały tymi kobietami, w których same chcemy się zakochać. Zapraszam Was, byście od jutra razem ze mną podjęły wyzwanie oczyszczenia siebie z toksyn, nieużytecznych przekonań i rzeczy. Dziś w ramach przygotowania zblendujemy koktajl z buraka, grejpfruta, jabłka, połowy cytryny i kawałka imbiru. Po jego wypiciu podarujemy ten wieczór ciału. Wsłuchajmy się w jego rytm. Wytańczmy to, co nas uwiera, i to, co już nam nie służy. Nasze niepokoje, nasze małe i duże niewiary w siebie. Tańczmy, pamiętając o każdej cząstce naszego ciała, którą przynależymy do kobiecego plemienia. Tańczmy, jakby każdy ruch był witaminą i minerałem. O ich przyływ w naszej diecie zadbamy już od jutra... Dziś tańczmy!*

Wpół do szóstej Patrycja i ja, ubrane w legginsy i zwiewne koszulki, ruszyłyśmy na tajemniczy taniec, na który mnie zaprosiła. Przez całą drogę rozmawiałyśmy o zapachach. Przeczucia mnie nie zawiodły. Patrycja była ekspertką. Zajmowała się, jak to określiła, uwodzeniem klientów przez zapach.

— Pracujesz w perfumerii? — zapytałam.

— W wielu naraz. — Zaśmiała się. — Ale sprzedaję wszystko oprócz zapachów.

— Jaśniej proszę.

— To właśnie mnie wynajmują specjaliści od marketingu, którzy za pomocą wrażeń sensorycznych starają się nakłonić cię do zakupu rzeczy, o których myślałaś, że zupełnie ich nie potrzebujesz.

— Czyli to przez ciebie czujemy się miło w sklepach z ciuchami, wracamy do domu i orientujemy się, że kupione rzeczy się nie dopinają? — Wybuchnęłam śmiechem.

— Niedopinanie każdy ma już we własnym zakresie — powiedziała pogodnie.

— Właśnie zaczynam drogę ku dopinaniu — przyznałam się. — Jutro ruszam z detoksem.

— Ja też chcę.

— *Stay tuned*. Szczegóły na blogu — puściłam oczko.

Rozbawione dotarłyśmy na miejsce. Patrycja zaparkowała samochód, a mnie przeszył dreszcz. Zaczęłam się rozglądać wokół. A więc to jest ten warszawski Brooklyn? Ten obrzydliwy krajobraz? Poczułam się jak w zupełnie innym świecie. W oddali majaczyły kontury Dworca Wschodniego. Ostatnio byłam tu chyba ze trzydzieści lat temu. Wysiedliśmy tu wtedy całą klasą z pociągu, wracając z wycieczki do Trójmiasta. Czułam, jakby to się działo w jakimś innym życiu, zupełnie nie umiałam odnaleźć we wspomnieniach tej małej dziewczynki, którą wtedy byłam.

Patrycja skierowała się w małą, obskurną uliczkę. Przy parkanie sikał jakiś pijaczek. Po drugiej stronie wysypywały się ze śmietnika sterty śmieci. Weszłyśmy na ponure podwórko. Śmierdziało moczem i zgnilizną. Kiedy już powoli zaczynałam żałować, że dałam się namówić na tak osobliwą wycieczkę, dotarłyśmy akurat na właściwe piętro i drzwi otworzyła nam kobieta o niezwyklej twarzy. Miała jeszcze większe oczy niż Wera i patrzyła nimi w hipnotyzujący sposób. Jej ostre semickie rysy przedziwnie kontrastowały z łagodnością jej twarzy, która wyrażała się w spojrzeniu, uśmiechu i jakiejś niesamowitej energii, jaką ta kobieta emanowała. Przywitała się z nami jednym słowem, ale był w nim taki ładunek serdeczności i otwartości, jakich nie widywałam u nieznanym mi ludzi. Kiedy weszłyśmy na salę, zobaczyłam, z jaką lekkością idzie, jakby płynęła,

każda cząsteczka jej ciała wydawała się zsynchronizowana z jej intencją. Była zachwycająca.

Zaciemnione okna tworzyły tajemniczy półmrok. We wnętrzu była już grupka ludzi w sportowych strojach. Niektórzy się rozciągali, inni rozmawiali ze sobą. Nie było dobrze widać ich twarze, raczej sylwetki odcinające się od tła ścian. W sali nie było ani jednego lustra. Po krótkiej chwili prowadząca stanęła na środku i powiedziała:

— Witam tych, którzy są tu pierwszy raz, i tych, z którymi spotykam się po raz kolejny. Jestem Mia. Za chwilę zbudzimy nasze ciała i zmieniając rytmy, będziemy badać światło i cienie lęku. Poszukamy naszej siły we własnej bezbronności. Zakorzenimy się w tym tak, by idąc przez życie, pełniej go doświadczać. Poczujemy, jak nasza energia porusza się falami. Staniemy się tą energią, niczym więcej ani mniej, staniemy się tańcem.

Z głośników popłynęła muzyka. Mia zaczęła poruszać ciałem, rozgrzewając je, a my wszyscy, nasze ciała, ruszyliśmy w ślad za nią. *Flowing*. Tak nazywał się pierwszy rytm. Był łagodny. I takie stały się nasze ruchy. Symbolizował kobiecą energię. Nasze stopy były otwarte. Szukały kontaktu z ziemią, z korzeniami. Podążaliśmy za nimi. Delikatnie, płynnie. Gdy ten rytm się wysycił, pojawił się następny. *Staccato*. Energia ognia. Męska. Ruchy stały się mocne, pewne siebie, zdecydowane. Stawialiśmy granice przestrzeni, temu, co nas otacza. Łączyliśmy się z sercem. Potem przyszedł rytm chaosu. Puszczania kontroli. Poddania się temu, co jest. Puszczania wszystkiego, co niepotrzebne i już nam nie służy. Ruchy stały się nieprzewidywalne, chaotyczne, jakby szukające fuzji żeńskości z męskością. W końcu chaos ucichł, przeszedł w rytm liryki. Po zrzuceniu z siebie ciężarów nasze ciała poczuły lekkość, niebywałą swobodę płynięcia we wszystkich kierunkach. Stały się wolne i autentyczne. Pojawiła się w nas przestrzeń do czegoś nowego. Aż w końcu dotarliśmy do piątego rytmu. Rytm ostatni to było *stillness*. Zwolnienie oddechu. Powolność. Wyciszenie. Stan błogiej pustki. Połączenie z ciszą wewnętrzną, połączenie z tym, co wokół. Bycie w pełni.

\*\*\*

Wyszliśmy z sali w stanie uniesienia. Wszystko wydawało się powodem do radości. Ulica, jeszcze przed chwilą śmierdząca, zamajaczyła jakąś egzotyką. Wsiadliśmy do auta i ruszyliśmy tajemniczymi uliczkami, na które osuwała się powoli ciemność nadchodzącej nocy. Oświetlony pięknie most przypominał raketę, niosącą nas w granatowe przestworza. Budynki po obu stronach Wisły migwały jak oddalone na Mlecznej Drodze małe gwiazdy. Gry umysłu, które jeszcze kilka godzin temu kluczyły bezwładnie w różnych kierunkach, teraz, tuż po zetknięciu się z autentycznymi lękami, po wytańczeniu ich, dogasały. Czulałam, że jestem tu i teraz. Gotowa poruszać się zgodnie ze swoim instynktem. Dla miłości,

dla przygody, dla rozkoszy.

\*\*\*

Pożegnałam się serdecznie z Patrycją. Nie znajdowałam słów wdzięczności za ten piękny wieczór, więc zaraz po tym, jak się rozstałyśmy, wyjęłam z wazonu moją lawendowo-niebieską scobiosę w odmianie *Butterfly Blue* i wychodząc z Dolcevitom na wieczorny spacer, zawiesiłam jej kwiat na klamce.

Zadzwoiła Wera.

— Ach, *bella*, co za dzień, kwadrans temu Piotr odwiózł mnie do domu. Spędziliśmy cudowny wieczór na rowerach — rozświergotała się.

— To on jeździ na rowerze? — zapytałam zaskoczona.

— Tak! Opcja *full romantic*. Mieliliśmy popołudniowy piknik nad Wisłą, on przyniósł nawet bidon i kanapki — referowała rozanielona.

— Rzeczywiście romantyk. — Westchnęłam.

— Wiesz, jutro umówiliśmy się do kina, a pojutrze, jeśli uda mi się przełożyć spotkanie, pojedziemy rowerami nad Świder, ma być najgorętszy dzień czerwca.

— Tak w środku tygodnia? A on nie chodzi do pracy? — zapytałam przytomnie.

Mimo stanu uniesienia i niezwyklej błogości, które odczuwałam w ciele i duszy, byłam jednak trochę zaszokowana tym nadmiarem jego wolnego czasu i... bidonem. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić mojej ekskluzywnej Wery w dopasowanych sukienkach eksponujących jej boską talię, w szpilkach i na rowerze, pijącej z bidonu herbatę. Najwyraźniej wszystko jednak było przede mną. Sądząc z jej rozanielonego głosu, sprawa na poważnie się rozkręcała, i to w szalonym tempie. Już o nic jej nie pytałam, ani o jego zawód, ani o to, czy był seks. Czulałam, że sama mi powie, gdy nadejdzie właściwy moment.

Teraz już porzucałam bieganinę myśli, chciałam ocalić uczucie płynięcia na fali, utrzymać rytm *stillness*. Wzięłam ciepły prysznic, delektując się mieszanką naturalnych zapachów mojego muszkatolowego mydła. Zaparzyłam sobie herbatę z mięty z trawą cytrynową i krztyną kurkumy. Usiadłam na balkonie, wdychając intensywniejsze niż zwykle zapachy wieczoru. Celebrowałam picie naparu. Zasnęłam przy blasku księżyca.

\*\*\*

Słońce kibicowało nowym wyzwaniom. Obudziłam się przed siódmą i zaczęłam od praktyki wdzięczności. Podziękowałam światu za jasny dzień, za wczorajszy taniec, za dzisiejszy początek detoksu, za to, że jutro będę już o ileś gramów, a może nawet kilogramów czystsza i lżejsza. Wyciągnęłam ręce do nieba, wspięłam się na palce, naprężyłam i opadłam całymi stopami na dół, mocno

wyczuwając pod sobą grunt. Zatoczyłam krąg ramionami. Wzięłam głęboki oddech, *uno, due, tre...* Zrobiłam dwadzieścia jogicznych powitań słońca. Wypiłam szklankę wody z cytryną i, przyjemnie orzeźwiona naprzemiennym prysznicem, zabrałam psa na spacer, robiąc po drodze ćwiczenia twarzy zapobiegające starzeniu się.

Było bosko, smutkiem napawał mnie jedynie przyjemny aromat kawy dobiegający z narożnej kawiarni. Dziś był ten dzień. Pierwszy od kilku lat dzień, kiedy miałam nie wypić ani jednej filiżanki mojej ukochanej kawy. Powtórzyłam afirmację, że mój dzień jest równie piękny bez kawy jak z nią. Wróciłam do domu i zajęłam się blendowaniem koktajlu z jarmużu, kiwi, chlorelli, kawałka imbiru i zmielonych nasion lnu. Sfotografowałam go na balkonie na tle doskonale białych chmur. Zamieściłam przepisy na pierwszy dzień detoksu i zaczęłam przygotowania do jutrzejszej konferencji. Przyszłość naszego kulinarnego życia według futurologów nie zapowiada się zbyt romantycznie. Im bardziej zanurzałam się w temat, tym większy czułam niepokój. Temat kompletnie mnie pochłonął i pewnie zapomniałabym o bożym świecie, gdyby nie Wera.

— Lukrusiu, on mi wysłał najpiękniejsze SMS-y świata, a dziś rano wychodzę z domu, a tam za wycieraczką mojego samochodu bukietik piwonii. Masz pojęcie? — zaczęła Wera. — *Bella*, ja się chyba w nim zakocham — dodała nieśmiało.

— Werciu, będę szczerą, ty już chyba wpadłeś po uszy. — Zaśmiałam się.

— Słuchaj, a może poszlibyśmy dziś razem z Piotrem i Konstantym na kolację, wiesz, tak we czwórkę, co o tym sądzisz? — Podekscytowała się Wera.

— *Bella*, pójdziemy jeszcze nieraz, ale dziś przygotowuję się do jutrzejszej konferencji, muszę się skupić.

— A, no tak. Słuchaj, zamieść na blogu info, że tam występujesz — powiedziała Wera.

— Zwariowałaś, ktoś mógłby wtedy tam przyjść.

— Wariatko, i o to chodzi! Niebawem będziesz kulinarną celebrytką, musisz się lansować! — zawołała Wera, jak zwykle wlewając we mnie tonę optymizmu. — Trzymam kciuki, dryndnę jutro, pa.

\*\*\*

W południe zjadłam sałatkę z cukinii i napiłam się soku z pomidorów. Już koło siedemnastej czułam się tak lekka, że wydawało mi się, że zeszły ze mnie ze dwa kilogramy tłuszczu i wiadro toksyn. Nie wychodziłam z domu, tylko ubogacałam moją wiedzę. Na blogu zatrzesło się od komentarzy, ale odłożyłam ich lekturę na jutro. Stosując od dziś zasadę kwadratu Eisenhowera, umieściłam to w rubryce „bardzo ważne”, ale nie „pilne”. W pierwszym kwadracie — rzeczy bardzo ważnych i wysoce pilnych — wpisałam na dziś tylko: przygotowanie do

występu oraz ćwiczenia oddechowe. Przez cały wieczór czułam dziwne mrowienie, nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio występowałam publicznie. Miałam nadzieję, że oddechy ocalą mnie przed tremą.

Przed dziesiątą zaświszczał SMS: *Rozbudź w nich jutro wielkie apetyty, trzymam kciuki*. Wera miała rację z tym lansowaniem się na blogu. Przynajmniej dzięki temu wreszcie napisał do mnie Konstanty. Zrobiło mi się ciepło w całym ciele. Wysłałam mu najbardziej wyrafinowany zestaw całusów emotikonowych i wzięłam gorącą kąpiel w chlorku magnezu, by dobroczynnie zadziałał na mój stan emocjonalny, eliminując zbierający się od kilku godzin stres. Położyłam się do łóżka przed jedenastą, zgodnie z zasadą, że dobry i głęboki sen to gwarancja urody i bystrości umysłu.

\*\*\*

Nic nie pomagało, ani oddechy, ani wizualizacje, ani afirmacje, ani nawet liczenie baranów. Wiłam się bezsennie na prześcieradle do świtu. Kiedy o siódmej zadzwonił budzik, pomyliłam go z młotem pneumatycznym, który rozwierca mi ściany. Głowa ważyła tyle, co załadowana ciężarówka wyjeżdżająca z kamieniołomu. Dwa worki pod oczami jako pierwsze przywitały mnie w lustrze. Odechciało mi się praktykowania wdzięczności, nie miałam siły na powitanie słońca. Marzyłam tylko o kawie. Ocalił mnie przed nią SMS od Claudynki: *Gratuluje przetrwania pierwszego dnia detoksu, kibicuję drugiemu, nie zrażaj się łomotem w czaszce, toksyny żegnają cię z hukiem. Trzymam kciuki za twój występ, lofka*.

Naprzemienne prysznicze oraz koktajl z natki pietruszki, jabłka i liści moringi postawiły mnie na nogi. Stojąc przed lustrem, odniosłam nawet wrażenie, że ubyło mi ze dwa centymetry w pasie. Nawet jeśli to tylko złudne wrażenie, poczułam wdzięczność za zdolność jego odczuwania. Dzięki niej odważyłam się założyć dopasowaną sukienkę. Wypiłam ze trzy szklanki wody z solą, ale ból głowy, choć nieco zelżał, wciąż mnie nie opuszczał. Czułam się fatalnie. Potrzebowałam, żeby ktoś mnie pogłaskał. Tymczasem zawsze wspierająca w takich chwilach Wera, zakręcona miłością, najwyraźniej o mnie zapomniała.

\*\*\*

Punktualnie o dziesiątej, w przywracającym młodość pudrze, który podarowała mi Wera, w majtkach nowoczesnej generacji zaprojektowanych przez Claudynkę, w dopasowanej zielonej sukience, z ceglastą szminką na ustach, weszłam do sali, by zasiąść w fotelu panelistki, obok masywnego kucharza, gadatliwego krytyka kulinarnego i zaspanej dziennikarki lifestylowego miesięcznika o gotowaniu. W głowie miałam już nie ciężarówkę, ale czołg z gigantyczną lufą, która, wydawało mi się, że zaraz wyceluje mi w gardło



i ulokuje tam armatnią kulę odbierającą mi zdolność wydobywania głosu. W brzuchu czułam takie bulgoty, że czekałam tylko chwili, jak mnie rozsądzi. Sala była pełna ludzi. Na szczęście ich twarze nie były widoczne ze sceny z powodu sztucznych reflektorów ustawionych dla potrzeb rejestracji wideo.

Prowadząca poprawiała już sobie mikrofon, by zacząć, i właśnie wtedy zaświszczał SMS: *Bella, siedzę w pierwszym rzędzie. Wyglądasz jak bogini, lśniesz jak królowa, powalisz świat na kolana, lofka*. Poczułam, jak przyjemne ciepło wypełnia mi całe ciało, jak robi się przestrzeń w przetyku, a kula armatnia rozsypuje się jak puch. Kochana Wera. Nie ma takiej miłości, która uszczknęłaby przyjaźń. Wyłączyłam telefon.

— Pani Lukrecjo, powiedzieliśmy przed chwilą, że Polacy, jak cały zachodni świat, oszaleli na punkcie gotowania i zdrowego żywienia. Czy zgadza się pani z tym, że kolejne generacje będą jeść staranniej, lepiej i zdrowiej, tak jak twierdzą pani przedmówcy?

— Optymizm na pewno umiła życie, ale w nadciągającej kulturze nanosekundy zapewne nawet on nie wystarczy, by urzeczywistnić nasze marzenia o zdrowszym jedzeniu. Najbliższe lata, w świecie kurczących się zasobów Ziemi, mogą pozbawić nas nie tylko dostępu do zdrowych upraw, ale i tego, co najprzyjemniejsze — rozkoszy, jaka płynie z zasiadania do wspólnego stołu, które od wieków podtrzymywało nasze więzi, pielęgnowało naszą bliskość i umacniało wspólnotę. Do wyprodukowania jednego burgera trzeba zużyć około dwustu litrów wody, trzy kilogramy paszy i ziarna, ponad dwadzieścia metrów kwadratowych ziemi i ponad 1 MW energii. Przyznacie państwo, że to dużo! Dlatego w amerykańskich laboratoriach już pracuje się nad stworzeniem sztucznego mięsa. Mięsa *in vitro*. Dlatego też z coraz większą uwagą oczy naukowców kierują się na świat owadów, których wciąż jest jeszcze pod dostatkiem, a wiemy już, że ich białko jest bardzo pożywne. Już dziś możemy znaleźć na świecie restauracje, gdzie serwuje się larwy drewnojadów, powiedzmy — prażone w cynamonie albo ciasteczka z larwami mącznika zalewane miodem. By uciec przed ekstremami pogodowymi, uprawy zejda pod ziemię, rośliny będą hodowane w specjalnych, sztucznie nasłonecznianych grotach. By zredukować koszty magazynowania żywności, pojawią się aerofoody — odżywcze formy piany, genetycznie zaprojektowanej tak, by był w niej budulec odżywczy. Samą pianę łatwo będzie transportować i dostarczać bezpośrednio do użytkowników, którzy dolewać będą do niej wody i uzyskiwać potrawy o konsystencji waty. W związku z zaawansowanymi badaniami nad poznaniem genotypu naukowcy zaczną serwować spersonalizowane twory w proszku z substancjami dopasowanymi do mankamentów zdrowotnych danego konsumenta. Jedzenie będzie tym, czym dzisiaj są pigułki na zaziębienie.

— Przyznam, że jestem zszokowana pani wizją — przerwała prowadząca

panel.

— To nie jest moja wizja, to obserwacja tego, w którą stronę zmierza świat. Moja wizja jest taka, że to, co możemy zrobić, by nieuchronne prognozy oddalić, to celebrować każdą chwilę wspólnego posiłku, a pomiędzy nimi zacząć dbać o Ziemię. Możemy sensowniej robić zakupy, bez brania dziesiątek torebek foliowych, możemy kupować mniej, żeby jedzenie się nie psuło, i głównie u lokalnych rolników, by ich wspierać. Możemy sami hodować zdrowe zioła na balkonach, możemy zamienić czasem jedzenie boczku na sałatę i traktować posiłek jako przywilej, a nie powinność. Wtedy, być może nawet w 2050 roku, kiedy Ziemia ma dobić do dziesięciu miliardów mieszkańców, te mroczne wizje nie będą nas jeszcze zanadto dotyczyć.

Huragan braw, jaki się zerwał po moim wystąpieniu, przerwał dalsze pytania dziennikarki. Ludzie zaczęli podchodzić do mnie z gratulacjami, a ja stałam jak zahipnotyzowana. Prowadząca powiedziała więc tylko, że zachęca do dalszej dyskusji w kularach i w razie pytań wszyscy goście i ona sama są oczywiście do dyspozycji publiczności. Po chwili dobiegła do mnie Wera z bukietem różowych lilii.

— O, bogini, brak mi słów! — Rzuciła mi się na szyję z zaszklonymi ze wzruszenia oczami.

— Dzięki, *bella*, za tego SMS-a, to on mnie ocalił — szepnęłam.

— Byłaś niedościgniona.

— Dzięki.

— Ty będziesz miała swój program, mówię ci, i to w TVN-ie w niedzielę.

— Córuniu, no, nadzwyczajnie wypadłaś, tę łatwość występów to ty masz po mnie. — Wyrosła przede mną matka.

— Mamuś?! Co ty tu robisz? Skąd wiedziałaś? — wydukałam oszołomiona kompletnie jej widokiem.

— No, Lukrusiu, odkąd stałam się blogerką, interesuję się, co wyprawia moja konkurencja. — Zaśmiała się. — A mówiąc serio, chciałam się zorientować w temacie. Wiesz, powiem nieskromnie, też planuję niebawem organizować konferencje propagujące neomłodość i edukujące kobiety, jak stać się bezwiekową boginią i czerpać radość z seksu, no i w ogóle z życia — wyjaśniła rzeczowo matka.

— Wspaniale! To fantastyczny pomysł — weszła jej w słowo Wera. Byłam jej niezmiernie wdzięczna za to wybawienie. — Zawiadomię moją mamę, żeby wzięła w czymś takim udział — dodała.

— Wy też będziecie musiały przyjść, żeby się doszkolić. — Ucieszyła się matka.

— Oczywiście, że będziemy — zapewniła ją słodko i szczerze Wera.

— No i koniecznie lajkujcie moje wpisy. Weruś, mamie też powiedz, żeby

lajkowała i udostępniała. Bo im więcej udostępnień, tym szybciej będę influencerką — dodała.

— Kim, mamuś? — Zdębiałam.

— Influencerką! Widzę, córuś, że ty się musisz u mnie sporo poduczyć w tym blogowaniu — powiedziała matka swoim ulubionym tonem eksperta. — Może przyjedziesz w niedzielę do nas na obiad, to ci wszystko wytłumaczę, a przy okazji zobaczysz, jak ciekawie zaaranżowaliśmy oranżerię.

— To wy z Miciem już razem?... — wydukałam, ledwo kryjąc zaskoczenie. — To znaczy — on się do ciebie wprowadził?

— No skąd, Lukrusiu, prowadzimy tak ruchliwe życie, że mieszkanie u mnie pod Warszawą nie miało sensu, więc ja wprowadziłam się do niego. Naturalnie musiałam trochę przearanżować jego dom, żeby nam było wygodnie, więc robimy właśnie różne remonty — wyjaśniła rzeczowo matka. — Wspominałam ci przecież, że zorganizujemy jeden pokój, gdzie będę robić swoje sesje fotograficzne na blog i na Instagram — dodała.

— To ty na Instagramie też już jesteś?

— No ba, Fejs już się podobno prawie nie liczy, Instagram to podstawa w budowaniu siebie jako *celebrity*.

— Jako co?

— Lukrusiu, koniecznie przyjedź na ten obiad. — Westchnęła matka, uśmiechając się porozumiewawczo do Wery. — Ty też, Werciu, zapraszam.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że, owszem, słowo „influencerka” obilo mi się już o uszy, wspominała o nim kiedyś Claudynka. Ale z całą pewnością nie obił mi się o uszy fakt, że matka robi sobie jakieś studio foto w domu Micia, żeby się obfotografowywać do internetu. Tym bardziej nie miałam pojęcia, że moja własna matka będzie teraz *celebrity*. Z chwilowego stuporu wyrwał mnie SMS od Claudynki: *Bella, gratulacje, już wiem, że byłaś niezemska. Triumfuj! Zadzwoń później, lofka*. Zanim zdążyłam odpisać, usłyszałam znajomy głos.

— Lukrecjo, gratuluję, świetne wystąpienie — powiedział Jeremi, wręczając mi piękny bukiet lewkonii.

— O, jak miło, że przyszedłeś, czyżbyś też czytał mój blog? — Uśmiechnęłam się szczerze.

— Mówią, że to najgorętszy blog w mieście — zażartował. — A tak poważnie, to musimy się spotkać na kawę. Mam pewien pomysł na współpracę w związku z twoim blogiem — dodał.

— Czyżby pan zajmował się może reklamą natywną? Chętnie się czegoś dowiem. Krystyna jestem, mama Lukresi, pewnie córka wspominała, że ja też jestem blogerką — wtrąciła się matka.

— Jeremi Wagner, bardzo mi miło.

Mimo wielkiej wyrozumiałości, jaką czułam do matki od czasu rytuału

odcienia, który przeprowadziłyśmy z Claudynką, poczułam, że już naprawdę przegina. Zastanawiałam się właśnie, jak w miarę delikatnie uciąć jej dialog z Jeremim, kiedy poczułam na plecach ciepłą dłoń. Odwróciłam głowę i zamarłam. Zza bukietu czerwonych róż wystawała uśmiechnięta twarz Konstantego.

— Niełatwo się dopchać do gwiazdy — zażartował. — Lukrecjo, byłaś fenomenalna! Choć nie spodziewałem się, że boczek w jajecznicy aż tak cię dręczy — powiedział, wręczając mi bukiet, i pocałował mnie w czoło.

— A ja nie spodziewałam się ciebie — powiedziałam kompletnie zaskoczona.

— Mężczyźni nie są po to, by się ich spodziewać, mężczyźni są po to, by być — odparł swoim aksamitnym basem.

## ROZDZIAŁ 12

### *Śluchaj ciała, ale daj mu czas*

Leżeliśmy wtuleni, obserwując, jak delikatnie poruszają się nocne cienie kołysanej wiatrem monstery. Sączyliśmy soki z buraka. Konstanty odmówił samotnego picia likieru. „Jeśli masz detoks — powiedział — to wznieśmy dziś toast czymś, co wygląda jak wino, ale nie zakwasza”. Naprawdę czułam się boginią. Przez cały wieczór komplementował moje wystąpienie, mój wygląd, posunął się nawet do tego, że skomplementował wygląd mojej matki.

— Musisz zobaczyć blog mojej matki — powiedziałam. — A jeszcze lepiej jej Instagram, wtedy poznasz więcej atrybutów jej wyglądu. — Zaśmiałam się.

— Czy to blog tylko dla dorosłych? — zapytał ubawiony.

— Na razie trudno powiedzieć, ale kto wie, czy nie w tę stronę to zmierza — zażartowałam.

— Niezły musisz mieć genotyp. — Uśmiechnął się.

— Ech, moja matka zawsze była kompletnie nieprzewidywalna, ale na starość szaleństwo wyraźnie zaczyna się intensyfikować — powiedziałam, śmiejąc się. — Nieraz już tak jej miałam dosyć, że byłam gotowa zerwać z nią wszelkie relacje, ale zawsze jakoś odpuszczałam. Może to się właśnie nazywa bezwarunkowa miłość?

— To się nazywa twoje wielkie serce i twoja mądrość. Dzięki temu, że masz moc, by ją kochać taką, jaka jest, szybujesz w życiu — powiedział spokojnym tonem.

— Co masz na myśli?

— Sukces ma twarz naszej matki. Nie słyszałaś nigdy o tym? — przyjął coacherski ton. — Nasza obfitość, nasze relacje z ludźmi zależą od tego, jaką mamy relację z własną matką — wyjaśnił.

— Ciekawe. A ty jakie masz ze swoją? — zapytałam, czując, że to dobry moment.

— Zmarła, gdy byłem dzieckiem, więc słabo ją pamiętam — powiedział.

— Przepraszam. — Zmieszałam się.

— Nie przepraszaj. Śmierć jest tak samo naturalna jak życie. I tak musimy ją przyjmować, nawet jeśli strata boli albo bolała kiedyś. Milcząc o śmierci, nie możemy jej przyjąć, nie możemy przeżyć żałoby, a jak nie odbędziemy po kimś żałoby, to wiadomo, stoimy tyłem do świata, bo przodem wciąż zwracamy się do tego rodzica, którego utraciliśmy, nie możemy się od niego odłączyć.

— Masz rację. Nie myślałam o tym w ten sposób. Tylko czasem są takie chwile, kiedy nie chcemy czegoś przywoływać, żeby nie zepsuć komuś nastroju, żeby go nie zasmucić, po prostu — wyjaśniłam. — Dorastałeś tylko z tatą? —

zapytałam.

— Przez pewien czas także z moim starszym bratem, ale potem on wyjechał na stypendium do Stanów i tam został.

— A na co umarła twoja mama?

— Na strach o kogoś z nas, o gniazdo rodzinne.

— Nie rozumiem — szepnęłam zdezorientowana.

— Rak w lewej piersi to lęk o kogoś bliskiego, przeżywany w samotności wewnętrzny konflikt, za trudny dla kobiety — wyjaśnił.

— Myślisz, że twoi rodzice nie byli zbyt blisko? — zapytałam, zdumiona tym, co powiedział, jednocześnie przypominając sobie, że zainteresowana biologią totalną Claudynka już kiedyś o czymś takim mi wspominała.

— Trudno to ocenić z perspektywy oczu dziecka. Ojciec jest bardzo zamknięty. Może dlatego żałobę po mamie przeżyłem dopiero dziesięć lat temu, kiedy odkryłem na psychoterapii, że cały czas ją wypierałem. Wtedy właśnie zacząłem ćwiczyć kyūdō — wyznał, a ja czułam, że tej nocy pokonujemy mile świetlne na wspólnej drodze do naszej bliskości.

— Dlaczego coś tak rzadkiego jak kyūdō? — zapytałam.

— Gdy byłem mały, pojechaliśmy z rodzicami do Japonii, mama miała tam wykład. Wtedy zabrała mnie do jakiegoś znajomego z Tokio na kolację i on właśnie ćwiczył kyūdō. Pokazał mi swój łuk. Zrobił na mnie ogromne wrażenie, to był największy łuk, jaki w życiu widziałem. Wtedy matka powiedziała mi, że jak już będę dorosły, to mi taki kupi.

— Więc kupiłeś go sobie sam, jak wyrosłeś z żałoby?

— Coś takiego — przytaknął Konstanty.

— Piękne — szepnęłam i przytuliłam się do niego bardzo mocno, tak jakbym chciała objąć ciepłym uściskiem całą tę jego trudną historię, którą mi opowiedział.

Nasze ciała zetknęły się ze sobą całymi powierzchniami, nakładając na siebie swoje ciepło, mieszając jego nanocząsteczki, jak coś wspólnego, co tworzy jeden organizm. Zetknęły się ze sobą nasze historie, jeszcze nie całkiem opowiedziane, losy naszych przodków, które tkwiły gdzieś w pamięci naszych genotypów. Nasze oddechy dopasowały do siebie swoje tempa. Popłynęliśmy razem, najpierw delikatnie, miękko, jakbyśmy wędrowali przez kobiecy rytm, swoisty *flowing*. A potem Konstanty przewrócił mnie raptownie na plecy i porwał w ognisty wir siłą swojej męskości. Ostрым *staccato*, szalonym, pewnym siebie i szybkim, ale połączonym z energią serca. Przeturlał mnie przez łóżko, porywając tym razem w rytm chaosu, w którym mieszało się to, co żeńskie, z tym, co męskie, gdzie raz ja byłam górą, raz on, gdzie niczego nie dawało się przewidzieć. Zaraz potem poczuliśmy wspólną lekkość, wolność płynięcia razem w nieznaną, wtuleni w siebie czuliśmy, jak nasze oddechy powoli, bardzo powoli uspokajają się.

Wchodzą w ostatnią fazę, poza czasem i przestrzenią, łącząc nas ze wszystkim wokół. Na jawie i we śnie.

\*\*\*

Ze snu wyrwał nas Dolcevito, zebrzący popiskiwaniami o spacer. Niebo było czyste i gotowe na przezroczystość chmur. Konstanty zadeklarował ekspresowe wyswobodzenie psa z ciężących mu kwestii fizjologicznych, a ja, lekka i szczęśliwa, zrobiłam dla nas koktajle z natki, gruszki i nasion chia. Zblendowałam namoczone wczoraj migdały na mleko do płatków jaglanych. Wypiłam wodę z solą i poszłam pod prysznic. Stając na jednej nodze, polewałam się raz zimnym, raz ciepłym strumieniem, robiąc przy tym swój zestaw ćwiczeń chroniących przed obwisami na twarzy.

— Wow! — krzyknęłam z entuzjazmem, widząc, że Konstanty po powrocie ze spaceru z psem pościelił łóżko. — Porządniś z ciebie, lubię to. — Pocałowałam go w głowę.

— To się jeszcze okaże. — Zaśmiał się. — A jeśli mogę być niedyskretny, te dziwne odgłosy konia pod prysznicem to jedna z form twoich medytacji, o których wspominałaś? — powiedział z lekkim przekąsem.

— Parskanie służy młodości moich ust — odpowiedziałam rzeczowym tonem. — O! Poczekaj, sfotografuję koktajle na blog, jest boskie światło. — Chwyciłam za komórkę.

— Obydwa?

— Tak! „Podwójna rozkosz detoksykacji”, może tak to zatytułuję? I nawet dostawię moją złotą rybkę. — Zaśmiałam się.

— *À propos* rozkoszy i młodości, co robisz pojutrze? — zapytał.

— Szósty dzień detoksu — powiedziałam z dumą.

— My, wierni czytelnicy, już to wiemy. — Zaśmiał się, niosąc do stołu na balkonie płatki w migdałowym mleku. — A może miałabyś ochotę pojechać ze mną do pięknego pałacu pod Warszawą, gdzie będę miał wykład? Potem zaproszę cię na przywracający młodość zabieg z pijawkami — zaproponował.

— Z czym? — Mało się nie zakrztusiłam koktajlem z natki.

— Nigdy nie słyszałaś o dobroczynnych właściwościach hirudokosmetyki? — Zdziwił się.

— W życiu — odparłam.

Jedząc powoli nasze detoksykujące śniadanie na skąpanym w słońcu balkonie, zaczęłam przyglądać się z uwagą pięknym rysom twarzy Konstantego. Jego czoło było wyraziste i bardzo gładkie. Bez lwiej zmarszczki typowej dla czterdziestolatków. Nozdrza łagodne, z prawie niedostrzegalnymi bruzdami ciągnącymi się w kierunku ust. Pięknie zarysowana żuchwa. Dopiero teraz zauważyłam, że wokół jego ciemnych oczu właściwie w ogóle nie ma zmarszczek.

Poczułam dziwny niepokój. Czy to możliwe, że mój przystojny coach tę wspaniałą twarz o tak łagodnym wyrazie, ciepłym i przenikliwym spojrzeniu zawdzięcza nie tylko balansowi wewnętrznemu, jaki dają japońskie łucznictwo i medytacja, ale że może stoją za tym również jakieś pijawki, którymi odsysa sobie toksyny z krwi, by zapewnić sobie młodość? Nie byłam gotowa na taką ekstrawagancję. Założę się, że nawet eksperymentująca Claudynka i dbająca wybitnie o swoją urodę Wera brzydziłyby się czegoś takiego.

Zgodziłam się na wycieczkę, zastrzegając, że zamiast pijawek wybiorę inny masaż z oferty pałacowego spa. Konstanty ucałował mnie na pożegnanie, jeszcze raz gratulując wczorajszego sukcesu, i poszedł do pracy, a ja zanurkowałam do sieci. Skrzyńka ugięła się od maili. Na blogu wysyp komentarzy. Zalew pytań o to, czy można jeść owoce podczas detoksu, czy raczej nie, czy ziaren typu siemę lniane nie lepiej wyeliminować na czas oczyszczania. Trochę mnie to przytłoczyło. Może porywam się z motyką na księżyc? Może za mało wiem o leczniczych właściwościach jedzenia, by robić całe to detoksowe wyzwanie? Na szczęście lawina lajków i pozytywnych komentarzy oraz gratulacji po wczorajszym występie szybko rozwiała moje lęki.

*No, no, bella, słyszałam, że amant stanął na wysokości i przytachał róże. Chyba go wreszcie polubię. Jeszcze raz graty, do usłyszenia. Twoja wierna fluencerka.*

SMS Claudynki wyrwał mnie z gąszczu wiadomości. Uśmiechnęłam się pod nosem, wysłałam jej serce z podpisem: *Ubóstwiam cię, moja fluencerko*, i spojrzałam na zdjęcie, które zrobiłam porannym koktajlom. Po prawej stronie uchwyciłam kawałek dłoni Konstantego, po lewej fragment mojego kolana. To nasze pierwsze wspólne zdjęcie — pomyślałam z czułością. Przez chwilę wahałam się, czy umieszczać je na blogu. Ale poczułam, że w końcu to blog o kulinariach w służbie miłości. Napisałam post o kolejnym dniu detoksu i o tym, jak wspaniale jest czuć, że ktoś cię wspiera.

\*\*\*

— Nasza kulinarna trendsetterko, jak się miewasz? — zaświergotała Wera w słuchawce. Widzę na blogu, że było wspólne śniadanko!

— Ach, Weruś, nie mogę w to wszystko uwierzyć. Wyobraź sobie, jedziemy pojutrze do jakiegoś pałacu — odpowiedziałam rozmarzona. — A! Właśnie, *bella*, czy ty słyszałaś kiedyś o hirudokosmetyce?

— Och! To jest rewelacja! Wiem, bo Paulinka to robi co jakiś czas. Podobno o czterdzieści dwa procent wzrasta nawilżenie skóry, a o osiemnaście poprawia się elastyczność. A co, chcesz iść przed tym wyjazdem?

— I ty sobie to robisz? — zapytałam z niedowierzaniem.

— Ja mam łaskotki, więc się trochę boję, ale podobno te enzymy pijawek



niesamowicie normalizują skórę. Jak chcesz, to Paulinka ci poleci świetny salon.

— Nie, ja się chyba nie przełamie.

— Ach, muszę ci powiedzieć, że ja przez tego mojego Piotra mam niesamowicie gładką cerę...

— Czyżby już oblewał cię złotym eliksirem? — zapytałam dociekliwie.

— Nie, ale to chyba te endorfiny. Wiesz, wczoraj byłam już u niego na kawie po południu. On tak wspaniale celebrował życie, zupełnie jak ty. Tylko jest chyba bardziej minimalistą, bo ma strasznie mało rzeczy w domu. — Zamyśliła się Wera.

— Jak ktoś ma wielkie mieszkanie, to rzeczy nie rzucają się tak w oczy, jak u mnie. — Zaśmiałam się.

— Nie, coś ty, to kawalerka, ale taka przytulna, z ładnym widokiem na cerkiew.

— To on mieszka na starej Pradze? — Zdziwiłam się.

— Tak, na Targowej. No wiesz, miłutkie miejsce, ale razem tam się nie pomieścimy, więc w razie czego to on się wprowadzi do mnie — relacjonowała Wera.

Powiedzieć, że byłam w szoku, to naprawdę nic nie powiedzieć. Mężczyzna, który wyglądał jak Clooney, a w ruchach miał wytworność taką, jakby był księciem, który urodził się w pałacu, mieszkał w kawalerce i jeździł na piknik rowerowy z bidonem. A Wera, najwytworniejsza laska w całym Śródmieściu, która potrafiła wydać dwa tysiące na szpilki Christiana Louboutina, tłumacząc nam, że jeśli masz luksusowe buty, to czujesz lepszy kontakt z Matką Ziemią, planowała, by ten mężczyzna zamieszkał w jej wydesignowanym mieszkaniu. I zupełnie nie martwiła się faktem, że dla jego wycieczek rowerowych będzie się musiała przesiąść ze swoich ekskluzywnych szpilek na trampki. Jedno nie uległo wątpliwości — Wera najwyraźniej zabijała się na amen.

\*\*\*

Wysłałam z Dolcevitem po warzywa. Mijając witrynę z okularami przeciwsłonecznymi, zatrzymałam się, wpatrując się w swoje lustrzane odbicie. Nie, nie mogło mi się zdawać, zeszczuplałam. Może nie każdy jeszcze by to zauważył, w końcu to dopiero trzeci dzień, ale ktoś tak obeznany ze swoim ciałem jak ja nie mógł się mylić.

Podeksytowana przyspieszyłam kroku. Wbiegłam po schodach, zrzuciłam sukienkę, bieliznę i stanęłam przed lustrem. Euforia nieco opadła. Trudno powiedzieć, czy była to kwestia zmiany lustra, czy może mniej korzystnego światła w moim mieszkaniu, ale efekt wyszczuplenia nie rzucał się już tak w oczy jak na ulicy. Mimo to popatrzyłam na siebie z czułością. Trochę tak, jakbym nagle dostrzegła w sobie tę małą, odległą dziewczynkę, która z dwoma huśtającymi się

kucykami biegła przed siebie. Uśmiechnęłam się i instynktownie zaczęłam poruszać biodrami. Trochę jak hawajskie tancerki podczas tańca hula. Kołysałam się w takt jakiejś wewnętrznej muzyki. Miałam czterdzieści lat i pięć zbędnych kilogramów, a naprawdę czułam się lekka. Wyraźnie detoks zaczynał uwalniać mnie nie tylko z nadmiaru tkanki tłuszczowej, ale i z niekorzystnych myśli na swój temat.

\*\*\*

Wreszcie nadszedł zamówiony sukulent, był piękny i szalenie ekspresyjny w formie. Jego liście lśniły jak brylanty i rzeczywiście wyglądał tak jak ten na klatce, był tylko trochę mniejszy. Ustawiłam go po przeciwnej stronie pokoju w stosunku do monstery, żeby nie wchodzili sobie w drogę.

Kolejny dzień minął na przygotowaniach do warsztatów kulinarnych, które za trzy dni miałam poprowadzić, na odpisywaniu na komentarze i na wyczekiwaniu jutrzejszego wyjazdu z Konstantym. Czułam się bosko. Jedząc tylko warzywa gotowane na parze i pijąc zielone koktajle, czułam napływ energii.

Późnym popołudniem usiadłam przy nasłonecznionym placu Zbawiciela i czekając na Werę, sączyłam wodę z cytryną, afirmując w myślach, że moc wody jest większa niż moc posypanego cynamonem espresso. Wakacyjne rozleniwienie, które zapanowało wraz z początkiem lipca w mieście, tu przybierało przyjemny towarzyski charakter.

— *Ciao, bella*, co za boski dzień! — zawołała Wera rozpromieniona.

— Wyglądasz niesamowicie — jęknęłam, patrząc na jej dopasowaną jedwabną sukienkę. — Nie wierzę, masz sandały na płaskim obcasie? — zawołałam, patrząc na jej stopy.

— Dziś wyjątkowo, bo po naszym spotkaniu idę na spacer z Piotrem, a on tak lubi długie chodzenie, że na szpilkach to nie ma sensu — wyjaśniła. — No, ale ty przepięknie lśniesz już na tym detoksie! Żeby cię nie dręczyć kawą, też zamówię wodę — dodała.

— A gdzie idziecie na ten spacer? — zapytałam.

— Koło niego, wzdłuż Wisły, po praskiej stronie... — Wera nagle zawiesiła głos. — Lukrusiu, wiesz, że my wczoraj już, u niego...

— Był seeeks?! — wrzasnęłam ożywiona, powodując odwrócenie się kilku osób przy stolikach obok.

— Tak! Niesamowicie czuły. Lukrusiu... — Zawiesiła się na chwilę, przełykając ślinę, a jej oczy zrobiły się tak wielkie, jakby zaraz miały się rozplątać. — Lukrusiu, to jest miłość mojego życia, czuję to — powiedziała.

— A potem rano zrobił ci śniadanie? — zapytałam, wciąż będąc pod wrażeniem wyznania przyjaciółki.

— No, nie w domu, bo on ma niepodłączoną lodówkę, ale zabrał mnie do

kawiarni.

— Jak to ma niepodłączoną lodówkę? To on się tam teraz dopiero wprowadził? — zapytałam zaskoczona.

— Nie, już dawno, ale nie używał jej, bo jada na mieście.

— Słuchaj, może dopiero kupił nową. To niemożliwe, żeby w ogóle nie używać lodówki w domu. Gdzie by chłodził wino albo nawet głupi jogurt?

— Nie wiem, no to może niedawno kupił, nieważne. Pokażę ci, jaką fotkę mi przysłał, przed chwilą właśnie napisał, że wyszedł z domu i zobaczył niebo, które mogę polubić — powiedziała Wera, demonstrując mi z entuzjazmem zdjęcie.

Poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku, ale przełknęłam ślinę i patrząc na rozanieloną Werę, nie odważyłam się nic powiedzieć ponad to, że jest bardzo ładne. Wstąpiłyśmy jeszcze razem do sklepu z kostiumami kąpielowymi. Wera pomogła mi wybrać strój na mój wyjazd do Portugalii. Chciałam go kupić już, na wypadek gdyby jutro w podwarszawskim pałacu z pijawkami był basen. Potem pożegnaliśmy się serdecznie. Ledwo Wera zniknęła za rogiem alei Wyzwolenia, wykręciłam numer do Claudynki.

— *Ciao, bella*, słuchaj, czarno widzę tę *love* Wery — powiedziałam, dając wreszcie upust emocjom.

— Co się stało? Wera jednak nie reflektuje na pana z kanapkami na rowerze? — Zaśmiała się Claudynka.

— Wprost przeciwnie, ona jest zabujana na amen, już nawet przebąkuje, że chciałaby, żeby u niej zamieszkał.

— A dlaczego nie ona u niego? — zapytała Claudynka.

— Bo on mieszka w małej kawalerce — powiedziałam. — Właśnie w tej sprawie dzwonię. Czuję, że on w niej wcale nie mieszka — powiedziałam. — Słuchaj, on tam nie ma podłączonej lodówki.

— Skąd wiesz? — zapytała Claudynka, a jej głos natychmiast przybrał poważny ton.

— Wera się wygadała. Poza tym, co gorsza, przysłał jej widoczek nieba z dopiskiem: „Zrobiłem je dla ciebie pod moim domem”, ale to nie było jego niebo.

— Skąd wiesz? — zapytała przejęta Claudynka. — A czyje?

— Ta kawalerka jest na Pradze, a to było niebo z Konstancina, bo z boku był kawałek placyku, na którym stał sprzedawca ekologicznych miodów, który działa w Konstancinie, ja go kojarzę. Claudynko, powiem wprost, ten Piotr coś ściemnia — wyrzuciłam z siebie.

— Powiedziałaś to Werze?

— Nie, bałam się, że sprawię jej przykrość. Jakbyś ją zobaczyła! Ona jest w zupełnym miłosnym odlocie. Claudynko, co robimy?

— Trzeba ustalić, czy on tam śpi codziennie, czy nie. Albo w tym Konstancinie ma żonę i na tę Pragę jeździ podczas tak zwanych delegacji,

albo... — Claudynka zamyśliła się. — Albo to oszust matrymonialny.

— Nie no, z tym oszustem chyba przesadzasz, to już raczej żona — powiedziałam.

— Ale po co żonaty facet by się zapisał na kolację dla singli? Pomyśl, za duże ryzyko, mógłby spotkać kogoś znajomego — zauważyła przenikliwie Claudynka. — To może być grubsza sprawa. Zresztą, umówmy się, ten jego bidonik i kanapeczki też mi do niego nie pasują. Na kolacji miał marynarke od Armaniego.

— Skąd wiesz?

— Widziałam. Słuchaj, Lukrusiu, pojedź pod ten dom i się zaczej, nie ma innego wyjścia.

— Zwariowałaś? On mnie pozna. — Oburzyłam się.

— Ukryjesz się w aucie.

— Przecież ja nie mam auta — odpaliłam. — Chociaż, może mogłabym pożyczyć. Coś wykombinuję, a ty spróbuj wydobyć od Wery więcej informacji. Jesteśmy w taczku, pa, *bella*.

Oszust matrymonialny? Jak abstrakcyjnie to brzmiało. Tylko Claudynka mogła wpaść na tak szalony koncept, ale z drugiej strony rzeczywiście — po co tak atrakcyjny facet miałby fatygować się na kolację dla singli, gdyby miał żonę i szukał tylko laski na przelotny seks? Wystarczy, że poszedłby na godzinę do Syreniego Śpiewu i miałby dziesięć gotowych lasek do wyboru. Nic się nie kleiło. Może mogłabym pożyczyć auto na zwiady od Patrycji? — pomyślałam, wychodząc rano z psem. Wysłałam do niej SMS z propozycją kawy.

\*\*\*

Dzień był trochę pochmurny, ale mój detoks przynosił dobroczynne skutki, czułam wysoki poziom energii. Konstanty punktualnie o czternastej przyjechał pod mój dom, a ja, lekka jak koliber, zbiegłam do niego i ruszyliśmy w drogę.

Radość rozpierała każdy skrawek mojego ciała. Konstanty, zwykle tak opanowany, też wyglądał na podekscytowanego. Miałam nadzieję, że była to w tym samym stopniu ekscytacja wykładem, co naszą wycieczką.

— Nawiązując do twoich katastroficznych wizji w świecie żywienia... — zaczął, gdy wyjechaliśmy za Warszawę. — Słyszałem, że katastrofę ekologiczną oceanów przeżyją tylko meduzy. Myślisz, Lukrusiu, że meduzy też będziemy jeść? — zapytał.

— Już je jemy. Może nie my, głównie odważni smakosze z południowej Azji. To luksusowa zabawa, bo przygotowanie takiej hodowlanej meduzy do spożycia, całe to czyszczenie błon śluzowych, genitaliów, korpusu, osuszanie, to proces trwający kilka tygodni.

— Wow, twoja wiedza jest naprawdę imponująca. Czy zdarza ci się czegoś

nie wiedzieć? — Uśmiechnął się i pogłaskał mnie po nodze.

— Nie wiem na przykład, po co mężczyźni oszukują kobiety — powiedziałam kokieteryjnie.

— Czy to pytanie podchwytliwe? — Zaśmiał się.

— Nie, tak się po prostu zastanawiam. Ciągłe słyszę jakieś historie, że taki był romantyczny, deklarował miłość, a potem coś mrocznego wyszło na wierzch.

— Że chciał tylko seksu?

— No, na przykład.

— Mężczyźni oszukują kobiety, gdy czują, że mogą odnieść sukces na tym polu, a tak się składa, że nie odnoszą sukcesów w innych dziedzinach życia — odpowiedział spokojnie swoim coachowskim tonem Konstanty.

Spojrzałam na niego z uznaniem i czułością. Może to właśnie uwielbiałam w nim najbardziej, to połączenie naturalności, konkretności, mówienia tego, co się myśli, z delikatnością. Poczułam wewnętrzną ulgę, że siedziałam właśnie obok faceta, który odnosił sukcesy, nie miał więc powodu, by podbijać sobie ego zwodzeniem kobiet. Najgorsze było jednak to, że Piotr świetnie pasował do kogoś, kto urodził się, by odnieść sukces — widać to było w jego spojrzeniu, gestach. Jeśli więc rzeczywiście go nie odniósł, idealnie pasował na tego, kto potrzebuje poprawić sobie samopoczucie. Wera, na kolejny raz zadane pytanie, czym on się zajmuje, przebaknęła tylko, że teraz przygotowuje się do założenia nowej firmy, ale nie zdradza szczegółów, żeby nie zapeszyć. Brzmiało to jak idealna odpowiedź bankruta lub frustrata, może nawet Wera, odnosząca coraz większe sukcesy w nieruchomościach, miała z tym jakiś problem, bo szybko zmieniła temat.

Tymczasem zalesioną drogą dojechaliśmy do starorzecza Bugu. Wjeżdżając do pięknego, utrzymanego w stylu angielskim parku minęliśmy stawy rybne, ukwiecone alejki i stanęliśmy przed imponującym pałacem. Kiedy weszliśmy do klimatycznego wnętrza, oniemiałam z zachwytu. Stare polichromie lub, jak twierdził Konstanty, odtworzone tak, by wyglądały na stare, z pietyzmem skompletowane stylowe meble nadawały wnętrzą niepowtarzalny urok.

Idąc korytarzem do naszego pokoju, poczułam intensywny słodkawy zapach. Konstanty twierdził, że nic nie czuje. Nie byłam pewna, czy to wyostrenie zmysłów na detoksie, czy urojenie płynące z tęsknoty za słodyczą. Ale jak się okazało, nie myliłam się. Recepcjonista zaprowadził nas do podziemi pałacu, gdzie była urocza miodopitnia z kolekcją przednich trunków. Westchnęłam tylko, sycąc oczy ich widokiem, i pomyślałam z czułością o moim ciele, które już niebawem podziękuje mi za ciąg tych wyrzeczeń. Już niebawem, w kusym bikini, na piaskach portugalskich plaż.

\*\*\*

Wszystko się ze wszystkim łączy — pomyślałam, gdy Konstanty zaczął swój

wykład o kryzysie męskości w czasach niedomkniętych związków od słów: „Żyjemy w epoce zdominowanej rytmem chaosu i zawrotnych prędkości, ale to nasza epoka, musimy więc nauczyć nasze ciała i umysły, jak się w niej poruszać, by nie zaburzać wewnętrznego balansu i naszych więzi. Świat po latach funkcjonowania w strukturach energii męskiej stanął wobec odradzającej się siły energii żeńskiej, która odzyskała swój głos. A tym samym prawo do wychodzenia ze związków. Niesatysfakcjonujących związków, dodajmy”. Słuchałam z uwagą, jak Konstanty opowiadał o patchworkowych modelach rodziny, w których pojawia się chaos zobowiązań wobec dzieci z poprzednich związków, tworzenia więzi między obecnymi partnerami i ich dziećmi. Miałam wrażenie, że cała ta wycieczka była po to, żebym usłyszała, jak wielkim wyzwaniem staje się dla współczesnego mężczyzny godzenie roli ojca i nowego partnera. I im dłużej tego słuchałam, tym większe czułam pomieszanie zmysłów. Z jednej strony, byłam wzruszona, że oto mam u swojego boku tak wrażliwego i mądrego mężczyznę, który inspiruje innych mężczyzn do dorastania do swojej męskości, z drugiej strony, uświadamiałam sobie, że ceną tego stawania wobec zobowiązań będą moje samotne wieczory.

To chyba ten mętnik uczuć, mieszanka zachwytu i smutku, sprawił, że zdecydowałam się jednak pójść na pijawki. Zwłaszcza że Konstanty miał jeszcze dwa spotkania indywidualne, w których nie mogłam uczestniczyć. Wizja, że w Portugalii nie tylko będę miała ciało bogini, ale i twarz dwudziestolatki, jędrną, różową, gładką i elastyczną, mile mnie polectała. Kiedy schodziłam do gabinetu, zadzwonił telefon.

— Jak się miewasz, Lukrecjo? — usłyszałam w słuchawce szarmancki ton Jeremiego.

— Właśnie za chwilę zamierzam odzyskać młodość, dzięki przyssanym do mnie pijawkom w gabinecie spa — powiedziałam, śmiejąc się.

— Brrr... Nie wspominając nawet o kwestiach niehumanitarnego podejścia do biednych żyjątek — zaczął swoim żartobliwo-mentorskim tonem — czy jesteś świadoma, co cię może czekać?

— Czyżby jutrzejsza opuchlizna? — zapytałam niespokojnie.

— W przypadku przegryzienia przez pijawkę większego naczynka żylnego — utrata dużej ilości krwi, omdlenie spowodowane spadkiem ciśnienia tętniczego, zakażenie bakteryjne, ciężkie reakcje alergiczne, zmiany skórne, a nawet wstrząs anafilaktyczny — wyliczył szybko Jeremi.

— Umiesz wesprzeć na duchu — powiedziałam z przekąsem.

— Lukrecjo, po twoim imponującym wykładzie o tym, jak możemy odzyskać szacunek dla planety, a tym samym zapewnić sobie dostęp do zdrowego pokarmu i jakościowego życia, te pijawki są jak pięść do nosa, jak, wybacz dosadność, pomieszanie zmysłów — dodał miękkim tonem.

— Może masz rację — przyznałam szczerze. — Ale mam dla ciebie też

dowód na odmieszanie zmysłów. Wyobraź sobie, że jestem piąty dzień na detoksie i na poważnie rozważam po jego zakończeniu zredukowanie niezdrowego jedzenia — wyznałam.

— Właśnie w tej sprawie dzwonię. Obiło mi się o uszy, że chcesz się doksztalić w zdrowotnych aspektach jedzenia, mam więc dla ciebie propozycję — zaczął intrygującym tonem.

— A mianowicie?

— Zapraszam cię na kurs prozdrowotnych aspektów kuchni ajurwedyjskich. Dostaniesz go ode mnie w prezencie, odbywa się w jednym z moich ośrodków. A na początku będzie wspaniały rytuał oczyszczenia, więc idealnie się komponuje.

— Wooow! — aż pisnęłam z wrażenia. — Jeremi, jesteś boski, ale jak ja ci się odwdzięczę? — zapytałam.

— Połączysz zmysły ze zdrowiem i będziesz tworzyć przepisy, dzięki którym setki ludzi zaczną zdrowiej gotować — wyjaśnił. — Mówiąc krótko, włączam cię do mojej osobistej wojny z kotletową chipsolandią. — Zaśmiał się serdecznie.

\*\*\*

Czy to wszystko mi się nie śni? Zadałam sobie to pytanie, budząc się nazajutrz rano w jedwabnej pałacowej pościeli, otulona ramieniem Konstantego. Po sukcesie odwiedzenia go od ryzykowania wstrząsem anafilaktycznym udaliśmy się do sauny fińskiej, naenergetyzowaliśmy się w jacuzzi, a potem doznaliśmy detoksykującego masażu z użyciem miodu, wykonanego podciśnieniową, zasysaną za pomocą ognia bańką szklaną. Upojeni błogością kołysaliśmy się na białych prześcieradłach aż do wschodu słońca, które wynurzyło się zza starego drzewostanu jak wierny kibic naszych miłosnych rozkoszy.

W drodze powrotnej do Warszawy, zrelaksowani i wypoczęci, słuchaliśmy jazzu. Nawet milczenie było formą dialogu. Nasze psy siedziały z tyłu, przyjazne sobie, jakby świadome, że są już częścią nowej wspólnoty.

\*\*\*

Ucałowałam Konstantego pod domem i wbiegłam z Dolcevitom na górę. Stałam przed lodówką i wypisałam na kartce listę szczęść. Jutro kończyłam detoks, po tygodniu oczyszczania byłam o trzy kilogramy lżejsza i miałam świetlistą cerę. Na blogu setki nowych fanów. Za dwa dni wyjeżdżałam z moim ukochanym na wakacje życia do słonecznej Portugalii. Wkrótce zaczynałam kurs ajurwedyjskiego gotowania i czekał na mnie jeszcze rytuał hinduskiego oczyszczania. Zastanawiałam się tylko, skąd Jeremi wiedział, że rozważam zajęcie się zdrowym odżywianiem. Czy to możliwe, że Claudynka napomknęła mu o tym podczas Kolacji Świętojańskiej? Ale nie miało to teraz znaczenia. Jedyne, co mnie

naprawdę niepokoiło, to nierozwiązana zagadka Piotra. Claudynka, jak zwykle, zadzwoniła w samą porę.

— Nie uwierzysz, *bella!* — gruchnęła w słuchawkę, a ja wyprostowałam się jak strzała gotowa do lotu.

— Mów!

— On napomknął Werze o wakacjach pod namiotem — wypaliła Claudynka.

— Cooo? Nie, no rzeczywiście! Może jeszcze te trampki do roweru u Wery można sobie wyobrazić, ale mieszanie w garze nad ogniskiem to już szczyt — jęknęłam. — Chociaż wiesz, może chodzi o pole namiotowe i podróż camperem, wtedy to by nawet było romantyczne.

— Nie, Lukrusiu, to już nawet nie jest śmieszne. Zaraz się okaże, że wkręci Werę w jakiś projekt swojego życia pod hasłem „Trzy jurty i dwa konie. Podróż dzikim azjatyckim stepem, by poczuć się jak prawdziwy nomada”.

— Nie, na to nie możemy pozwolić. Nawet jeśli nie jest oszustem matrymonialnym, tylko zwykłą pijawką. Tak, użyję tego słowa, bo jak się dowiedziałam, pijawki mogą wywołać...

— Wstrząs anafilaktyczny — weszła mi w słowo Claudynka.

— Tak, a skąd wiesz? — Zdziwiłam się.

— No ba...

— No więc musimy przejąć kontrolę nad tym Piotrem pijawką, musimy go rozpracować! — zawołałam gotowa do boju.

— Musisz zacząć go śledzić, to jedyna metoda.

— Masz rację, ale założmy, że wytropię, jak wraca do jakiejś nadzianej konstancińskiej konkubiny, co wtedy?

— Zbierzesz dokumentację.

— Przecież nigdy nie odważy się pokazać tego Werze... — jęknęłam.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy. Obydwie myślałyśmy o tym samym. Owszem, może słynąca ze szczerości Claudynka bywała czasami zbyt rozrzutna w swojej szczerości i potrafiła zbyt dosadnie dzielić się swoimi przypuszczeniami, ale ani ona, ani tym bardziej ja nie odważyłybyśmy się pokazać dowodu zdrady lub kłamstwa faceta, w którym zakochała się na amen nasza najlepsza przyjaciółka, od lat bezskutecznie poszukująca miłości.

— Claudynko — powiedziałam po dłuższej pauzie. — W dwa dni Wery nie zbawimy. Na wakacjach w Portugalii będę miała dużo czasu, opracuję jakiś sensowny plan jej odkochania, który wdrożymy po moim powrocie. Przez ten czas musimy monitorować sprawę SMS-ami — powiedziałam rzeczowo.

— Tak zrobimy! — zgodziła się Claudynka.

\*\*\*

Odpisałam na maile i komentarze. Wyciągnęłam z szafy moją seledynową



walizkę i postanowiłam dla utrzymania błęgiego stanu ducha po pobycie w spa już dziś zacząć pakowanie. Mierzenie sukienek w szóstym dniu detoksu to najmiłsza rzecz, jaka może przydarzyć się kobiecie z nie całkiem idealnym metabolizmem, jak mój. Cokolwiek wkładałam, czyniło mnie jeszcze radośniejszą niż chwilę temu. Mój brzuch był zupełnie płaski. Moje baleroniki nad biodrami zniknęły, a fałdki, które dawały o sobie znać tuż pod linią biustonosza, rozpląły się bez śladu. Włożyłam nowe bikini, stanęłam przed lustrem i poczułam się jak milion dolarów. Uśmiechnęłam się do siebie i zaczęłam wirować delikatnie miednicą. Właśnie wtedy, jakby słysząc odę do radości wypływającą z głębin mojego podbrzusza, zadzwonił Konstanty.

— Lukrecjo, nie mam dobrych wiadomości — zaczął grobowym tonem.

— Coś się stało? — Zadałam to idiotyczne pytanie z braku lepszego.

— Lenka złamała nogę, właśnie wróciliśmy ze szpitala — powiedział.

— Ojej, biedactwo, mam nadzieję, że dobrze ją znieczulili — powiedziałam szczerze, oddychając z ulgą, że nie stało się nic gorszego.

— Tak. Ale to oznacza, że muszę cię przeprosić, bo odwołałem nasz wyjazd do Portugalii.

— Cooo takiego? — wydukałam oniemiała.

— W tej sytuacji Lenka nie może pojechać na obóz, na który miała jutro ruszać, i muszę się nią zająć, bo jej mama jest na urlopie — wyjaśnił, starając się utrzymać swój zbalansowany ton.

— Rozumiem — szepnęłam, czując, jak dwie wielkie łzy z siłą tsunami napływają mi do oczu.

## ROZDZIAŁ 13

### *Otwórz się na nowy początek*

Zbiegłam na dół. Kupiłam sobie kwiaty. Lwie paszcze. Różowawe, słodkie, cały bukiet. Wróciłam do domu, zaplotłam z nich wianek i wsunęłam na głowę jak koronę dla zwycięzcy, którym stanę się jutro, kończąc swój detoks. A jednocześnie jak koronę cierniową dla przegranej, którą stałam się przed chwilą. Stanęłam przed lustrem, patrząc na siebie jak na mapę, która jest zapisem tego, co się wydarzyło w naszym życiu od pierwszej sekundy od narodzin, i próbowałam sobie wyobrazić, gdzie ulokował się skurcz rozpacz, który przeszył mnie kilkanaście minut temu. Chciałam na to popatrzeć. Chciałam to oswoić i wypuścić. Oddać stracie szacunek, a potem poleżeć trochę we łzach, żeby poczuć ulgę. Ale nie chciało mi się płakać, chciało mi się tańczyć ze smutkiem. Włączyłam Marianne Faithfull i kołysząc najpierw miednicą, a potem całym ciałem, zaczęłam nucić.

*How many times have I found myself in this place?*

*Different reasons and excuses*

*So many times to go round and round in space*

*Looking for something, looking for someone*

*Looking for you*

*Looking for you*

*Falling back into myself again.*

A potem stanęłam przed szafą. Przyniosłam z kuchni duży czarny wór na śmieci i stojąc przed półkami, zaczęłam wyciągać najróżniejsze ubrania. Nie te, z którymi chciałam jechać nad ocean, nie te, w których chciałam wyginać się do słońca. Te wciąż leżały w seledynowej walizce, która donikąd nie wyruszy. Wymowałam rzeczy, których chciałam się pozbyć z życia, jak zbędnych kilogramów i toksyn z ciała. Niektóre mierzyłam, innych nawet nie przykładałam do ciała. Wrzucałam do worka wszystko to, co chciałam w sobie pożegnać. Z każdą wyrzuconą rzeczą moje ciało stawało się lżejsze. W końcu zapełniłam cały wór i zesłałam z nim na dziedziniec, do śmietnika. Schodząc, poczułam na klatce ożywczy akord zielonkawej, soczystej nuty, zmieszany z pięknym piżmem. Czyżby ten detoks obudził zapachy ze wspomnień? — pomyślałam. Kiedy wchodziłam

z powrotem, poczułam go jeszcze mocniej. Wkroczyłam na schody i zobaczyłam naprzeciwko zbliżający się piękny sukulent z półpiętra, z geometrycznymi, lśniącymi liśćmi, które przypominały brylanty. Stałam jak wryta.

— Ściągnąłem cię myślami, Lukrecjo — powiedział Cezary. — Jak widać, przyciąganie kwantowe działa. Masz piękny wianek.

— Przyszedłeś wykraść stąd ten kwiat? — zapytałam niepewna, czy jestem na jawie, bo to, co widziałam, wyraźnie wskazywało na sen.

— Można tak to nazwać. Kupiłem go mojej córce parę dni temu na urodziny, ale okazał się za duży, więc wystawiła go na korytarz — zaczął Cezary.

— Chcesz powiedzieć, że tu mieszka twoja córka?

— Tak, Zosia wprowadziła się tu do swojego chłopaka — wyjaśnił spokojnie. — No więc, gdy okazał się za duży, przyjechałem po paru dniach go zabrać, zniosłem go, ale mój samochód okazał się za mały, więc wstawiłem doniczkę z powrotem, a dzisiaj przyjechałem znowu, tym razem pożyczonym autem.

— I co z nim zrobisz?

Zapytałam o kwiat, bo zupełnie nie wiedziałam, o co innego mogę spytać swoją nieudaną miłość, spotykając ją na własnych schodach podczas wynoszenia na śmietnik wora ciuchów, których chciałam się pozbyć, tak jak człowiek chce się pozbyć złości i rozpaczy w chwili, gdy jego aktualna miłość odwołuje pierwsze wspólne wymarzone wakacje.

— W tej sytuacji zapytam ciebie: czy mogę ci go ofiarować? — powiedział nieoczekiwanie Cezary.

Mów do niego tak jak on do ciebie, ale najpierw postaraj się zrozumieć jego rzeczywistość. Przemknęło mi przez myśl zdanie z jakiegoś poradnika z cyklu „Jak komunikować się z trudnym mężczyzną”. Ale czy naprawdę było mi to potrzebne? Patrzyłam na Cezarego z pomieszaniem sentymentu, serdeczności i pewnego zdziwienia. Jak mogłam kilka miesięcy temu tak się zafiksować na jego punkcie? Tak drzeć przed każdym spotkaniem, analizować każde słowo. Patrząc na niego, czułam lekki ucisk w brzuchu, ale jednocześnie jakąś pewność siebie, która łączyła wszystkie kawałki mojego ciała w silną całość, pozwalała mi stać naprzeciwko niego w pozie świadomej swej mocy wilczycy.

— Biorę — powiedziałam nieoczekiwanie dla samej siebie. — Potraktuję to jako prezent z okazji zakończenia jutrzejszego detoksu. — Zaśmiałam się.

— Będę zaszczycony — odpowiedział i wniósł kwiat do mojego domu.

— Ja dziś piję jeszcze tylko zieleń i wodę, ale może mogę cię czymś poczęstować? — zaproponowałam.

— To może poproszę wodę bez zieleń — odpowiedział, uśmiechając się. — Trochę tu poprzestawiałaś — zauważył czujnie.

— Ruch to życie — odparłam, sięgając po wibrujący telefon.

Konstanty miał wycucie chwili. Zawahałam się, ale nie podniosłam słuchawki. Cezary spojrział na mnie czujnie, ale nie skomentował. Zatrzymał wzrok na monsterze. A potem przeniósł go na sukulent, który ostatnio kupiłam, dokładnie taki sam jak ten, który przytargał.

— Masz identyczny? — zapytał, stając jak wryty.

— Tak, będą teraz parą — odpowiedziałam, śmiejąc się. — Ten od ciebie to będzie mężczyzna, który się w niej zabuja.

— Nie do wiary — szepnął. — A moja córeczka go nie chciała.

— Córka jest zakochana w tym swoim chłopaku? — zapytałam zniechęcona.

— Hm, sam chciałbym to wiedzieć, nie wygląda na specjalnie zainteresowaną porywami serca. — Zamyślił się.

— Może to niewłaściwy chłopak? — powiedziałam.

— Może... — urwał Cezary. — A może moja córka należy do generacji kobiet, które odziedziczyły po swoich matkach skazę termiczną?

— Co masz na myśli? — zapytałam, zaskoczona tym nagłym szczerym wyznaniem.

— Dzisiejsze czterdziestolatki często mają zimne łona — powiedział Cezary.

— Co takiego? — Zamarłam.

— Zimne od gniewu, który przekazały im ich matki wściekle na mężczyzn, które tego gniewu nie miały odwagi wypuścić. I te kobiety przekazują chłód swoim córkom, a na tym chłodzie budują szklane bańki, w których się ukrywają przed mężczyznami — dodał. — Dlatego jako cywilizacja stygniemy. Nieogrzeni mężczyźni mogą albo znów wyruszyć na wojny, albo schować się za ekranami iPadów.

Nie byłam pewna, czy słowa Cezarego to efekt jakiegoś kursu męskiego samorozwoju, któremu się poddał, w co trudno mi było uwierzyć, czy może raczej zaczął prenumerować newsletter motywacyjny dla mężczyzn. Byłam pod wrażeniem.

Trudno powiedzieć, dokąd doprowadziłaby nas ta analiza termiczna łona, gdyby nie zaklikał dźwięk domofonu, sugerujący, że ktoś, kto już znał kod do moich drzwi, właśnie nadciąga. Poczulałam lekki skurcz w brzuchu. Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczę Konstantemu, który sunie tu pewnie z kwiatami, by mi osłodzić odwołanie wakacji, siedzącego u mnie o tej porze Cezarego. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Cezary spojrział na mnie pytająco. Ugięły się pode mną nogi, ale nagle, czując pod stopami ziemię, przypomniałam sobie słowa Mii, która na koniec naszego tańca pięciu rytmów powiedziała: „Kiedy żyjemy zgodnie ze swoją mocą, relaksujemy się, rozluźniamy i niczego nikomu nie musimy udowadniać, pozwalamy sobie czuć smaki, zapachy i emocje”. Pukanie powtórzyło się, a ja, biorąc spokojny, głęboki oddech, podeszłam do drzwi.

— *Ciao, bella*, jaki piękny wianek. Zauważyłam światło w oknach,

więc... — urwała Wera na widok Cezarego. — Nie przeszkadzam? — zapytała zmieszana.

— Wero, miło cię widzieć — przywitał się Cezary.

— Cześć — odpowiedziała. — To może zajrzę później?

— Nie, kochana, siadaj, zrobić ci coś do picia? — Mrugnęłam do niej porozumiewawczo, żeby została.

Rozmowa przestała się kleić, więc Cezary po wymianie kilku kurtuazyjnych zdań z Werą pożegnał się i wyszedł. Przedstawiłam jej kuriozalność naszego spotkania i tajemnicze powiązanie z kwiatem.

— Wy się pewnie ściągacie energetycznie — powiedziała zaniepokojona Wera. — Może musisz w stosunku do Cezarego też zrobić ten rytuał odłączania? — zapytała.

— Eee, bez przesady. No ale co u Piotra aktualnego? *Love* kwitnie? — zapytałam dociekliwie.

— Słuchaj... — Wera zawiesiła głos, a jej oczy tak się rozszerzyły, że poczułam skurcz w brzuchu. — Kwitnie, ale on... Wiesz, on nigdy przy mnie nie rozmawia przez telefon, ciągle wychodzi albo go rozłącza, albo mówi: „Oddzwonię później”, i odkłada słuchawkę. No i wiesz, w ogóle mi nie przedstawia żadnych znajomych, po prostu nikogo. Czy to nie jest dziwne? — zapytała niespokojnym głosem.

— Jest — przyznałam stanowczo.

— Jak myślisz, czy on coś ukrywa?

— Tak! — powiedziałam zdecydowanie. — *Bella*, a czy on podłączył już tę lodówkę? — Przeszłam do konkretów.

— No nie, wczoraj jeszcze nie była podłączona, ale wiesz, on jej nie używa, to akurat nie ma znaczenia — jęknęła Wera.

— Ma! Słuchaj, napisz do niego SMS z pytaniem, co porabia, jak spędza wieczór, jak gdyby nigdy nic.

— Ale po co? Esemesowaliśmy godzinę temu. Napisał mi, że siedzi w domu przed laptopem, bo musi trochę popracować, więc się nie zobaczymy.

— Bingo, *bella*, jedziemy! Czekaj, tylko się ubiorę! — zawołałam podekscytowana.

— Ale gdzie? — Zdezorientowała się Wera.

— Pod to jego mieszkanie na Pradze, żeby sprawdzić, czy się świeci w oknie.

— Zwariowałaś? A jak on nas zobaczy?

— Nie zobaczy. Chodź, zaparkujesz ulicę dalej — powiedziałam, wkładając buty.

\*\*\*

Jechałyśmy w milczeniu. Wera włączyła radio z muzyką klasyczną, chyba głównie po to, żeby nikt nie mógł usłyszeć, jak wali jej serce. Dochodziła jedenasta w nocy. Ulice były puste. Na Wiśle, gdy przejeżdżałyśmy przez most, odbijały się setki świateł. Praska strona miasta była jak pogrążona we śnie. Wera zjechała we Floriańską i zaparkowała samochód. Przez chwilę jeszcze siedziała, jakby szamocząc się z myślami, w końcu wstała energicznie i podeszłyśmy do rogu ulicy Wileńskiej. Wera spojrzała w górę, a jej twarz skamieniała.

— Ciemno — szepnęła i łzy napłynęły jej do oczu.

— Może to nie to okno — powiedziałam, żeby tylko nie słyszeć ciszy.

— Na pewno to, na czwartym piętrze.

— A może już się położył spać, bo był zmęczony?

— Chodź! — zawołała Wera, podeszła w stronę drzwi i nacisnęła domofon.

— Zwariowałaś, Wera? Co mu powiesz? Że go śledzisz? — zapytałam.

— Nic nie muszę mówić — odpowiedziała po chwili milczenia, kiedy dzwonek pozostał bez odpowiedzi.

Wracałyśmy w grobowej ciszy. Wera nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę, a ja musiałam to uszanować. Odmówiła pozostania u mnie na noc. Na pożegnanie mocno się do mnie przytuliła i poszła do domu, a ja nie mogłam zrobić nic, żeby ją zatrzymać. Znałam ją całe dorosłe życie i wiedziałam nazbyt dobrze, że w chwilach takich jak ta Wera zakłada swoją rakową skorupę i jedyne, co można zrobić, to poczekać, aż ją zdejmie.

Claudynka nie odbierała telefonu. Konstanty pewnie już spał albo usypiał swoją córeczkę. Finał mojego detoksu marnie wyglądał. Mimo że obiecałam sobie już tego nie robić, kliknęłam przepowiednię, zadając pytanie, jak teraz wesprzeć Werę. Wypadł heksagram 30: *Ogień. Ogień na górze. Ogień na dole. Doznasz oświecenia i wszystko stanie się dla ciebie jasne. Będiesz wiedział, co robić, bez względu na to, w jakiej sytuacji się znajdujesz.*

\*\*\*

Obudził mnie deszcz. Dochodziła siódma rano, ale mimo letniego dnia było ciemno i szaro. Obwieściłam na blogu triumfalny finał detoksu. Nie wiedziałam, czym się zająć, by nie myśleć o tym, że dziś właśnie miałam zacząć się wygrzewać na portugalskiej plaży. Wychodząc z Dolcevitom, natknęłam się na Patrycję.

— Lukrecjo, wybaczone, że tak zwlekam z naszą kawą, ale jestem w strasznym wirze, robię monstrualny projekt dedykowania zapachu dla europejskiej sieci sklepów tego milionera, co był u ciebie na kolacji. Urwanie głowy.

— Jeremiego? — zapytałam.

— Nie, tego Piotra.

— Cooo? Jakiego Piotra?

— No, tego potentata, co wygląda jak Clooney — odpowiedziała

Patrycja. — Muszę lecieć. Umówmy się w weekend, to ci wszystko opowiem.

Olśniło mnie. Pognałam jak szalona do domu. W historii przelewów odnalazłam na koncie wpłaty za Kolację Świętojańską od osób, które zgłosiły się poprzez blog. Bingo. Sprawdziłam nazwisko nadawcy. Wrzuciłam go w Google i zaniemówiłam. Tajemniczy Clooney był w pierwszej setce „Forbesa”. Nie mogłam w to uwierzyć. Zrobiło mi się gorąco. Już miałam dzwonić do Wery, kiedy na ekranie komórki wyświetlił się nieznanym numer.

— Dzień dobry, dzwoniemy z telewizji śniadaniowej, chcielibyśmy zaprosić panią jako gościa do rozmowy na żywo o tym, jak zdrowo przeprowadzać detoks organizmu...

Zawirowało mi przed oczami. Czy to się dzieje naprawdę? Co za dzień. Przyjęłam zaproszenie i zadzwoniłam podekscytowana do Konstantego. Nie odbierał. Wera też nie odbierała. Postanowiłam zrobić celebrację pierwszej kawy. Nastawiłam ekspres. Roztarłam kardamon. Dodałam kroplę miodu i cynamon. Cudowny aromat rozpostarł się po całym domu. Usiadłam na balkonie i delektowałam się moim boskim napojem. A potem zabrałam się do odpisywania na maile i komentarze.

W pewnej chwili poczułam, że jest mi trochę niedobrze. Może za szybko po takim detoksie na kawę — pomyślałam. Chciało mi się wymiotować. Położyłam się na łóżko i chyba lekko przysnęłam. Z drzemki wyrwał mnie telefon.

— Córeńko, dzwonię z prawdziwą bombą, usiądź wygodnie! — zawołała matka.

— Co się stało? — zapytałam przerażona.

— Będiesz moją druhną.

— Co takiego?

— Pobieramy się z Mieciem, właśnie mi się oświadczył! — krzyknęła rozradowana matka.

— O, madonno! Mamuś, gratuluję — szepnęłam oszołomiona.

— Takie szczęście, Lukrusiu, to jest miłość mojego życia. A przy okazji, gratuluję, córeńko, tego detoksu, dzielna jesteś, naprawdę, moja krew!

— Dzięki, mamuś, bardzo się cieszę!

— No to pa, muszę obdzwonić psiapsiuły.

Zadudniło mi w uszach. Co za dzień. Jeszcze ten ślub. Chyba oszaleję. „Dzielna jesteś, naprawdę, moja krew” — odbiło się echem. Wstrzymałam oddech. Chwyciłam za telefon i otworzyłam swoją kobiecą aplikację. Poczułam, jak ślina staje mi w gardle. Jak je zatyka. Było trzy dni po terminie, nawet tego nie zauważyłam.

Pobiegłam do apteki. Spocona wróciłam pędem do domu. Przeskakując po dwa schodki. Zrobiłam siusiu, by wykonać test. Wyszłam na balkon. Napiłam się wody. Zaczęłam robić ćwiczenia oddechowe. Przerwałam. Spojrzałam na zegarek.

Pobiegłam do łazienki. Wstrzymałam oddech. I wydałam z siebie najdzikszy odgłos pod słońcem. Coś między wyciem wilczycy a rykiem lwicy. Podskoczyłam do góry. Przybiegł Dolcecito, zaczął nerwowo ujadać. Zadzwoiłam do Konstantego.

— Słuchaj, za dziesięć minut pod pergolą w Ujazdowskim, możesz? — powiedziałam, nie mogąc złapać tchu.

— Coś się stało? — Przestraszył się.

— Nie, tak, możesz?

— Dobrze, już idę — odpowiedział, o nic nie pytając.

Nalałam sobie wody z solą. Wylałam ją do zlewu. Nalałam wody bez soli. Wypiłam duszkiem całą szklankę i zbiegłam na dół. Stałam przed kamienicą, żeby złapać tchu. Zawirowało mi w głowie. Ruszyłam w stronę parku. Konstanty już czekał. W tym samym miejscu, co wtedy, podczas naszej randki z psami. Na mój widok podniósł wyczekująco twarz.

— Lukrecjo, co się stało? Jesteś cała spocona — zapytał, obejmując mnie.

— Konstanty — szepnęłam.

— Co się stało?!

— Konstanty... — powtórzyłam, nie mogąc wydusić nic więcej.

— Lukrecjo, co się dzieje? — zapytał zdenerwowany.

— Ja... ja mam... w sobie dwa serca — szepnęłam.

— Co takiego?

— Maaam dwaaa sercaaa! — wrzasnęłam, nagle zalana jakąś falą mocy, z taką siłą, że mój głos wypełnił cały park.

— Czy to znaczy, że my? — zająknął się oszołomiony.

— Będziemy mieli... — przełknęłam ślinę. Będziemy mieli dziecko!

Konstanty objął mnie bardzo mocno. A potem, odgarniając mi włosy, zaczął całować mnie po twarzy.

— Lukrecjo, to najpiękniejszy prezent urodzinowy świata — szepnął wzruszony. — Dziękuję.

— Masz dziś urodziny? — zapytałam oniemiała.

— Jutro. Chciałem, żebyśmy zjedli razem tort na portugalskiej plaży, ale w tej sytuacji... — urwał w połowie, popatrzył na mnie tym swoim przeciągłym spojrzeniem. — Kocham cię, Lukrecjo — powiedział i przytulił mnie tak, że cały park jak dziwna fala zaczął się kołysać.

\*\*\*

Przespałam pół dnia. O trzynastej przyjechał po mnie Konstanty, żeby zabrać mnie na japońską supkę. W progu wręczył mi wielki bukiet z białych eustom i piwonii. Czulałam się jak na haju. Po powrocie do domu próbowałam ochłoniąć i przygotować się do jutrzejszego występu w telewizji. Konstanty do wieczora miał



sesje coachingowe, a potem musiał zająć się córką. Obiecał, że przyjedzie po mnie rano, żeby mnie zawieźć do telewizji.

Claudynka i Wera nie odbierały telefonu, jakby się zmówiły. Nie wiedziałam, co się dzieje, zaczęłam się martwić o Werę. W końcu przysłała mi lakoniczny SMS: *Pardon, Lukrusiu, dziś mam full spotkań, jutro dzwონka*. Napisałam jej, żeby jutro o ósmej oglądała TVN, i padłam z emocji na łóżko.

\*\*\*

Zbudziłam się z uczuciem lekkiej mętności. Gdyby nie fakt, że Konstanty miał się zaraz zjawić, odpuściłabym sobie przygodę z ekranem. Za bardzo się zestresowałam. Naprzemienny prysznic przywrócił mi nieco do formy. Włożyłam szafirową sukienkę, buty na płaskim obcasie, żeby wyeliminować ryzyko potknięć, i nastawiłam ekspres. Kiedy przyjemny zapach kawy rozniósł się po domu, poczułam, że zupełnie nie mam na nią ochoty. Zblendowałam jarmuż z jabłkiem. Spojrzałam w niebo, było idealnie czyste. Wypiłam koktajl i usłyszałam dzwonek. Zeszłam na dół. Zaśpiewałam mu „Sto lat” i wręczyłam breloczek ze złotym orłem.

— Dostałam go od dziadka, żeby mnie chronił. Teraz niech chroni ciebie, bo ty będziesz chronił mnie — powiedziałam, puszczając oczko.

Konstanty jęknął z zachwytu, a ja przez całą drogę zerkałam na jego profil, jakbym chciała się upewnić, czy on naprawdę istnieje. Wciąż jeszcze to wszystko do mnie nie docierało.

Przed moim wejściem na antenę uściskał mnie bardzo długo i czule.

— Masz teraz dwa serca, więc tym łatwiej wzbudzisz w ludziach wielkie namiętności — szepnął. — Trzymam kciuki, Lukrecjo.

— Dzięki, kochany.

Kiedy upudrowana weszłam do oświetlonego studia, wydawało mi się, że łomot mojego serca rozsądzi zaraz mikrofony. Odruchowo dałam krok w tył, chciałam uciekać. Nagle poczułam lekki skurcz w brzuchu, zatrzymałam się. Próbowałam sobie wyobrazić, ile milimetrów może mieć teraz ta mała kropeczka. Położyłam rękę na brzuchu i poczułam przyjemny strumień ciepła.

— Spokojnie, kochanie, nie myśl sobie, że ci się trafiła jakaś rąbnięta mamusia, która zwiewa sprzed kamery — szepnęłam do własnego brzucha i podeszłam pewnym krokiem do wskazanego fotela obok prowadzącej.

Zrobiłam głęboki oddech, *uno... due... tre...* Poczułam w sobie moc dzikiej wilczycy. Spokojnie odpowiadałam na wszystkie pytania, iskrzyłam humorem, byłam tylko tu i teraz. W tym tajemniczym stanie szczęścia, ze swoim sercem i małym punktem, z którego niebawem miało wykluć się kolejne.

Kiedy program się skończył, Konstanty, który czekał pod studiem, objął mnie serdecznie.

— Byłaś boska! — powiedział. — A teraz zapraszam cię na urodzinowe śniadanie — dodał tajemniczo.

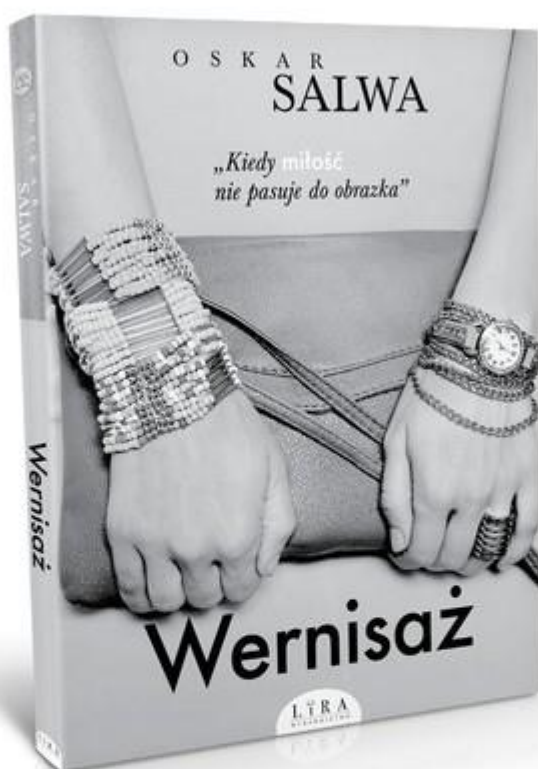
Minęliśmy Królikarnię i zjechaliśmy w dół. Po chwili Konstanty zaparkował. Widząc moją zaskoczoną minę, tylko mrugnął tajemniczo okiem, objął mnie i podszedł do furtki. Nacisnął dzwonek. Furtka się otworzyła i weszliśmy do pięknego, porośniętego drzewami ogrodu. Między drzewami stał cudownie zastawiony stół. Byłam oszołomiona, nie wyglądało to na restaurację. W pewnej chwili zza drzewa po lewej stronie wyszła Wera, a za nią Piotr, zza drugiego Claudynka, dalej Jeremi, zza trzeciego matka z Mieczysławem i wszyscy zaczęli bić brawo.

— Konstanty, błagam cię, uszczypnij mnie, bo ja chyba mam zwidy — szepnęłam. — Skąd oni się tu wzięli?

— Po prostu przyszli zjeść coś dobrego w miłym towarzystwie. — Uśmiechnął się przewrotnie Konstanty. — Sama niedawno mówiłaś, że tylko rozkoszując się wspólnie jedzeniem, możemy ocalić więzi.

Usiadłam przy stole, jak w środku jakiegoś snu. Docierały do mnie skrawki zdań. O tym, jak Piotr chciał poznać kogoś, kto tak zwyczajnie się w nim zakocha, więc postanowił ukryć swój majątek i własną tożsamość. Jak Claudynka, zaintrygowana Jeremim, zaproponowała mu wspólną produkcję ekologicznych majtek i nagle, esemesując, poczuli do siebie miętę. O tym, jak matka postanowiła organizować warsztaty miłosne dla par w okresie neomłodości, i o wielu innych rzeczach, które szybowały wokół mnie, mieszając się z drobinkami zapachów z ogrodowych kwiatów i potraw na stole. Czułam, jak moje ciało płynie raz w łagodnym żeńskim rytmie, a potem w ostrym, męskim, jak zatapia się w chaosie i jak się z niego wyłania, przechodząc w stan liryczny, a potem w beztroską pustkę. Spoglądałam w ciemne oczy Konstantego, próbowałam kolejnych potraw ze stołu i z chwili na chwilę przestawałam się dziwić tym nagłym kolejom losu. Rozkoszowałam się smakami, czując, że w nich skrywają się wszystkie niezadane pytania i wyczekiwane odpowiedzi.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

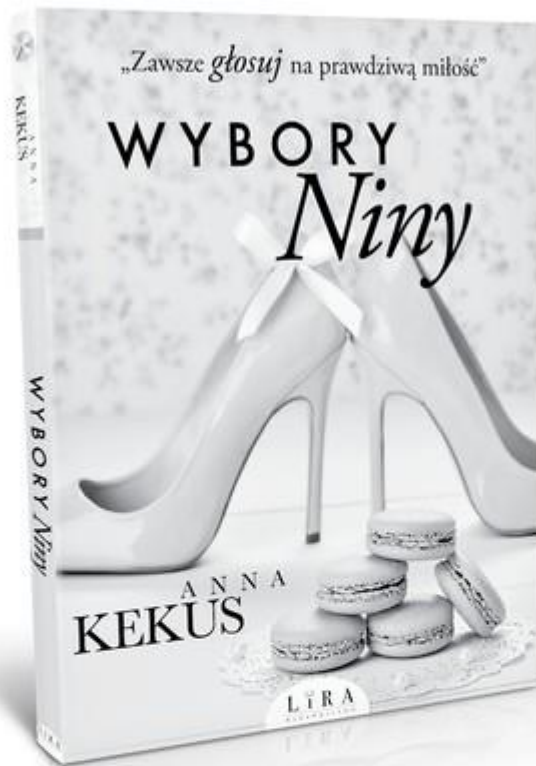


Eleganckie galerie sztuki i klimatyczne, stare zaułki. Zbuntowani artyści i niedzielni malarze. Centrum artystycznej Warszawy staje się dla Marty miejscem, gdzie lekcja plastyki zmienia się w lekcję uczuć. Czy bohaterka książki będzie umiała z niej skorzystać?

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Floryda. Wybory do lokalnych władz i wielka miłość, która nie podlega głosowaniu... Przekonaj się, czy w świecie politycznych salonów i amerykańskiego blichtru jest miejsce dla dziewczyny z nad Wisły i romansu, który skończy się *happy endem!*

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**LIRA**  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2017

ISBN wydania elektronicznego EPUB: 978-83-65838-19-3

ISBN wydania elektronicznego MOBI: 978-83-65838-20-9

